CHIMERA

TADEUSZ JAROSZYŃSKI

CHIMERA

POWIEŚĆ
Z ŻYCIA
ARTYSTÓW.

PETERSBURG
KSIĘGARNIA K. GRENDYSZYŃSKIEGO.
Druk Piotra Laskauera i S-ki w Warszawie.
1903.

Дозволено Цензурою
Варшава, 9 Января 1902 г.

Dorożka dudni po pustych ulicach.

Godzina przedświtu: Sine, opalowe mgły zalegają głębie perspektywy, drzemią w załamach ulic, we wnękach architektury. Dreszcz jakiegoś lęku przebiega ciało... bo nie północ, legendowa godzina duchów, ale owa szara chwila niepewności, chwila przełomu, kiedy niewidzialne jeszcze na niebiosach słońce, wysyła pierwsze brzaski do walki z mrokami nocy — jest groźna tajemniczością początku.

Cisza. Odgłos kopyt końskich w ciszy tej rozbrzmiewa dalekiem, spotworniałem echem, niby uderzenia młotów w jakiejś bajecznej, cyklopiej kuźni.

Paryż!

Witold Ordon, młody artysta-rzeźbiarz, przyjechał tu po raz pierwszy, przyjechał w celu doskonalenia się w swej sztuce.

Po trzydniowej podróży w niewygodnych wagonach trzeciej klasy, po trzech dobach wsłuchiwania się w klekot kół po szynach,

patrzy teraz półprzytomnie na puste ulice wielkiego miasta. Senność, wyczerpanie fizyczne i miarowe kołysanie się powozu wprawiają go w ów stan półświadomości, pół-gorączkowego marzenia. Podniecona wyobraźnia podjęła szczególniejszą pracę mieszania, piętrzenia na sobie wszystkich obrazów, wszystkich wrażeń, zapamiętanych z czytania i opowieści, z rycin, z teatru, z całego duchowego importu, jaki wysyła nam ten nowożytny Babilon, pod postacią romansów kryminalistycznych, drastycznych nowel i istotnie najwspanialszych arcydzieł literatury i sztuki. Bohaterowie tych utworów, ująwszy się za ręce, ciągną teraz przed zmęczonymi oczyma jako długi, różnobarwny korowód. Margrabiowie i wytworne damy salonów, pieroci, gryzetki, oszuści w wielkim stylu, heroiny poświęcenia, ciemne postacie zaułków miejskich, ponure twarze skazańców z La Roquette, przewijają się jak w jasełkach, migocą chwilę w przestrzeni i w nicość się rozpływają. Rozognione fantastyczną grą oko, zda się przenikać zamknięte okna domów, wdzierać przez zapuszczone żaluzye, ciężkie firanki, do wnętrza tajemniczych ustroni, gdzie nie ustaje występny romans.

Paryż śpi — krótka to chwila, kiedy jedni jeszcze nie wstali, a inni dopiero co się spać położyli.

Na rogach ulic, w spiczastych kapiszonach na głowie, stoją policyanci. Z popielatych, wilgotnych dali, niby z za tarlatanowej opony, wynurza się grupa zamiatyczy ulic. Idą szeregami, jak żołnierze, z miotłami na ramionach. Mężczyźni i kobiety w łachmanach, o twarzach ciemnych, zmiętych, ziemistych, napiętnowanych namiętnościami i nałogiem posuwają się chwiejnie i apatycznie. To nie jednolity żywioł pracowników, którym los od kolebki wyznaczył stałe drogi, więc dążą po nich krokiem pewnym i zrezygnowanym — to garść wykolejonych, zwichniętych istnień, którym u progów życia świeciło może słońce blaskami wszystkich szczęśliwości ziemskich. To odpadki najróżnorodniejszych sfer towarzyskich, smutne ofiary zwodniczości ambicyi i obliczeń ludzkich. Oto obok starca o wyrazie twarzy bezmyślnym, prawie zwierzęcym, pozbawionym śladów życia intelektualnego, drepcze szczególniejsza figura człowiecza, ciekawy okaz upadku, co pomimo dawno niegolonej brody, mimo przygarbionych ramion i strzępów odzieży zachował pozory elegancyi, swobodę i lekkość ruchów człowieka dobrego tonu.

Na trotuarze zatrzymała się kobieta w aksamitnym kaftanie, w olbrzymim, nastroszonym piórami kapeluszu. Tępym wzrokiem przepro-

wadza dorożkę i uśmiecha się mdłem wykrzywieniem wymalowanych warg.

Tak, to Paryż!

Powóz przebiega most. Rzeka spowita w całuny oparów wodnych i pod ich osłoną prawie niewidzialna w swem kamiennem ocembrowaniu, od czasu do czasu tylko błyśnie falą do bladych świateł latarni nadbrzeżnych bladych, w rozbielonych cieniach poranku.

Dolata zmieszany, jakby stopiony w jeden pomruk, gwar tysięcznych odgłosów. Stopniowo gwar ten rośnie, potężnieje, wyosabniają się pojedyńcze oddźwięki; skrzyp kół, parskanie koni, nawoływanie woźniców. Drogę przecina trakt, którym dążą ładowne wozy to jeden z przewodów pokarmowych żarłocznego olbrzyma. Paryż, jak potworny głowonóg, rozrzucił we wsze strony długie macki i wsysa niemi chciwie soki łanów Francyi.

Witold mija wielkie, na dwóch ogromnych kołach arki, wyładowane po brzegi płodami ziemi, przeznaczonymi dziś na pożarcie Molochowi. Ciągną się one do hal nieprzerwanym łańcuchem po spadku szerokiego bulwaru, na kształt strumienia, spływającego z góry ciemną wstęgą ku nieznanemu jakiemuś zbiornikowi.

Dorożka wjechała w wązkie, brudne, o poszarpanym profilu uliczki i po kilku zawrotach między starymi murami zatrzymała się

przed wysokim, wązkim, bo zaledwie cztery okna frontu liczącym domem. Nad drzwiami widniał napis „Table d'hôte“, wyżej wisiał długi blaszany szyld „Hôtel de Pot de Vins“.

Witold z wyjętą z kieszeni kartką sprawdził numer domu i nazwę hotelu, wysiadł i zadzwonił do drzwi wejściowych. Nikt jednak nie wychodził na jego spotkanie. Mała podręczna walizka spoczywała jeszcze w powozie. Woźnica, nie złażąc z kozła, nachylił się, podniósł ją do góry, potrząsając znacząco; odebrał mu ją więc z rąk, zapłacił za jazdę i czekał w dalszym ciągu. Po chwili usłyszał w sieni gniewne mruczenie i stara, rozespana kobieta w spiczastej szlafmycy, zamiast czepka na głowie, przywitała go ostrą przemową:

— Czemu pan nie wchodzisz, do licha — także będę z łóżka wstawała...

Podróżny przekonał się wtedy, że drzwi otworzyły się odrazu i należało wejść, nie czekając na nikogo. Przekonał się jeszcze nadto, że po francuzku nie rozumie. Znał wprawdzie język na tyle, że zupełnie swobodnie czytał, znajomość ta jednakże okazała się niedostateczną do porozumienia się z odźwierną.

— Pan Miron? — zapytał.

— Najprzód mówi się: Pan Miron s'il vous plait, a powtóre... tu zarzuciła go potokiem słów, z których nie tyle zrozumiał, ile domy-

ślił się, że tak wczesna godzina nie jest bynajmniej właściwą do odwiedzin.

— Chcę wynająć pokój — przerwał nieśmiało.

— Pokój? a to co innego — mówiła nieco udobruchana już jejmość — mamy właśnie jeden numer wolny. Pan Miron, nawet już zapowiedział pański przyjazd, ale w ostatnich czasach się nie pokazuje, niepodobna go złapać. Już to na polaków nie można bardzo liczyć... Ale wejdź pan, proszę, pogadamy.

Zatrzasnęła drzwi i zaprowadziła przyszłego lokatora do małej klitki, w której za całe umeblowanie stały dwa stołki, stół, a nad nim szafka z ponumerowanemi przedziałkami na klucze i świece.

— Chce pan obejrzeć swój pokój — spytała. — Jestem właścicielką.

— Byle nie drogo, nie będę wybredny.

— Nie drogo! nie drogo! Mój dobry panie, nikt w Paryżu darmo nie mieszka. I znów polał się obfity strumień słów, co by jednak znaczyć miały, tego nie tylko nie rozumiał, ale już nawet domyśleć się nie próbował. Usłyszał tylko ostatecznie, wyraźnie wymówioną sumę czterdzieści franków.

— Czy na miesiąc? — zapytał.

Francuzka zaczęła długo i szeroko opowiadać, ale nowy lokator położył na stole dwa

błyszczące luidory i tem przerwał wartki prąd wymowy, zupełnie już przejednanej pani właścicielki hotelu. Wyjęła z szuflady kartkę i kazała wypełnić wskazane w niej rubryki. Więc imię, nazwisko, powołanie, zkąd przybywa i t. d.

Kiedy załatwiono już tę formalność, zjawił się zaspany, rozczochrany garson, wziął z szafki klucz i lichtarz ze świecą, tudzież na wyraźne żądanie Witolda i walizkę jego, którą niósł niedbale pod pachą i po krętych ciemnych schodach zaprowadził na piąte piętro do przeznaczonego numeru.

Była to wązka izba, której połowę przynajmniej zajmowało olbrzymie, szerokie łoże, osłonięte niebieską draperyą w kształcie namiotu. Umeblowania dopełniały dwa krzesła, fotel z wysokiem oparciem, tak zwany Voltaire, szafa z lustrem, umywalnia i nocny stolik przed łóżkiem. Na marmurowym kominku stał stary bronzowy zegar pod kloszem.

Zaledwie Witold zdążył zrobić pobieżny przegląd ruchomości w swej przyszłej siedzibie, niedomknięte drzwi otworzyły się z hałasem na ścieżaj i na podobieństwo wiatru wpadł przez nie zadyszany Miron.

— Mówiła mi propieterka — huczał potężnym basem, żeś przyjechał. Jak się masz, daj łapę — u nas mężczyźni w gębę się nie całują.

Nie byłem na dworcu, bo, bo... widzisz, miałem interes... zasiedziałem się.. dopiero wracam... Cóż Paryż podobał ci się?

— Nie widziałem go prawie.

— Zobaczysz — upewniał. Ba! Monety huk przywiozłeś, co?

— Mam jeszcze czterysta pięćdziesiąt franków — odpowiedział Witold.

— Phi, niedaleko zajdziesz z taką flotą — rzekł kwaśno krzywiąc się paryżanin — co to za pieniądz.

Witold rzeczywiscie bał się nieco tej wyprawy z małymi funduszami i w kraju jeszcze gdzie mógł i jak mógł, dowiadywał się o warunki istnienia w tem olbrzymiem mrowisku ludzkiem. Z jednym z malarzy, który tu dłuższe studya odbywał, układali nawet bardzo szczegółowy budżet przyszłych wydatków.

Wypadło z tego, że pieniądze, jakie ze sobą wiezie, wystarczyć powinny przynajmniej na kwartał już z wynajęciem i jakiem takiem urządzeniem pracowni. Czas ten miał wystarczyć na obeznanie się z wymaganiami miejscowymi, na wyrobienie sobie stosunków i co zatem idzie zbytu dla prac, które następnie powinny były zapewnić utrzymanie artyście.

Miron wydął usta.

— Phi, zapewne — cedził — na Glasierach może by wystarczyło — oni tam koninę poże-

rają, jak baszybuzuki. No, nie wiem, będzie trudno... Z zarobkiem... ho, ho, ho...

— Ale może byś co zjadł — spytał nagle. Jest już po piątej, *kremerye* otwierają — napilibyśmy się kawy albo czekolady.

— Właściwie spać mi się chce przedewszystkiem, — odparł zagadnięty — z jedzeniem mogę się wstrzymać.

— Ba, ale ja wolę się nie wstrzymywać. Głodny jestem, jak owczarski pies. Chodź — nalegał.

Witold wprawdzie niechętnie, dźwignął się jednak z wygodnego voltaire'a i wyszli.

* * *

Miron był to chłop wspaniały, wysoki, barczysty z czarnym zadartym po szwedzku wąsem, z czarną brodą przyciętą à la Henri IV. Długie wijące się nad czołem w filuternych skrętach włosy, nadawały twarzy wygląd fantazyjny, bardzo różny od przeciętnych fizyognomii, wymuskanych i krótko ostrzyżonych elegantów mieszczańskich. Wogóle przedstawiał doskonały okaz artystycznego kokieta strojem i całym sposobem zachowania się; wrodzone przymioty postaci potrafił podnieść do nader estetycznej całości, potrafił, powiedziećby można, wystylizować się w pewnym

określonym duchu. Ubierał się wykwintnie, lecz z widoczną tendencyą do oryginalności. Cylinder jego, naprzykład, imponująco lśniący, miał szerokie zupełnie płaskie koliska, z pod których dopiero naprawdę dobrze wyglądały pukle czarnych kędziorów. Pod zwyczajnym cylindrem pukle takie stanowczo byłyby nie na miejscu. Czarny, dobrze skrojony, z wdziękiem przypadający do bioder, surdut, zazwyczaj niezapięty i ukazujący pod sobą białą pikową kamizelkę, czynił zeń wytwornego w każdym calu bulwarowego dżentelmana.

Z Witoldem łączyły go stosunki bardzo dawnej zażyłości. Miron, nieco starszy, wcześnie bardzo, bo jakoś w 14 czy 15 roku życia, zaczął na dobre studya malarskie, a przy dużych rzeczywiście zdolnościach szybkie robił postępy, tak, że mając lat dwadzieścia, wymalował samodzielnie obraz, który zwrócił powszechną uwagę i wyjednał mu znaczne stypendyum na wyjazd za granicę. Przez cztery lata siedział to w Monachium, to w Paryżu, wysyłając raz do roku jakąś pracę na wystawy warszawskie. W ostatnich czasach stypendyum mu cofnięto. Było to podobno skutkiem intryg koleżeńskich, a może też poprostu ów szczodrobliwy opiekun nie uważał za stosowne wspierać dłużej wyrobionego już artystę pieniędzmi, które przeznaczył na kształce-

nie innego wielce obiecującego młodzieńca. W każdym razie sprawa ta rozgoryczyła zawiedzionego stypendystę w najwyższym stopniu i zniechęciła do wysyłania obrazów do kraju. Przy sposobności wieszał psy na dawnym swoim dobroczyńcy, na komitecie towarzystwa zachęty, że dzieł jego nie kupowało i na całem społeczeństwie polskiem, że się na jego geniuszu poznać nie umiało. Witolda traktował z lekkim odcieniem wyższości hierarchicznej.

Już to wogóle Miron należał do tej kategoryi typów, które pewien uczony francuzki nazwał rozkazodawczymi. Rzeczywiście, na wszystkich szczeblach drabiny społecznej spotyka się jednostki, co wobec środowiska swego przyjmują postawę przodujących. Z ludzi tych, zapewne nie zawsze wyrastają „protektorowie“ na miarę Kromwella, ale nieodzownie warunki takie posiadać musieli zdobywcy najwyższej władzy ziemskiej, jak Napoleon I.

Ludzie tacy, jeżeli dzięki wrodzonej mocy panowania nie wybijają się bezwzględnie ponad tłumy, to przynajmniej wśród najbliższego otoczenia zdobywają stanowiska naczelne, a wyższe często nad istotne ich zdolności i zasługi. Działa tu przedewszystkiem pewność siebie, stanowczość i bezwzględność. Są to przeważnie jednostki pozbawione subtelniej-

szych uczuć, sentymentów, często wprost delikatności towarzyskiej, ale posiadają upór i silną wolę. Wolą tą imponują czułym, miękim sentymentalnym, tkliwym, niezdecydowanym mazgajom. Miron miał wolę silną, przynajmniej wierzył w nią niezłomnie, nie łatwo też ustępował komukolwiek; opozycyi między równymi wprost nie znosił. Oczywiście, jako człowiek dobrze przysposobiony do ciężkiej walki o byt, umiał w razie potrzeby, to jest wobec mocniejszych i potężniejszych, wobec tych na których mu zależało, być układnym i pozornie uległym. Między kolegami natomiast on wyłącznie mówił i musiał być słuchany. Kiedy ktoś inny również rościł sobie pretensye do głosu — następowało starcie, i jeżeli Miron nie wyszedł z niego zwycięzko, pod pierwszym lepszym pozorem opuszczał towarzystwo. Najciekawsze sceny rozgrywały się z tego powodu przy wspólnem malowaniu modela. On go zawsze musiał ustawić i oświetlić, koledzy w większości znosili tę tyranię, gdyż słuszność każe przyznać, że rzeczy te robił bardzo umiejętnie. Kiedy jednak znalazł się jakiś uparty oponent, a nie wypadało wykręcić się prostem wyjściem za drzwi — sprawa się zaogniała. Zdarzyło się, że przyjechał do Warszawy wychowaniec akademii petersburskiej, malarz wyżej w sztuce zaawansowany,

który w krótkim czasie zawojował całe koło młodszych kolegów, wytrącając hegemonię z rąk Mirona, ten, podrażniony do najwyższego stopnia w miłości własnej, doprowadził aż do pojedynku. W pojedynku tym otrzymał wprawdzie bardzo nieznaczne draśnięcie w ramię, ale stanowiska wśród kolegów już nie odzyskał. Historya ta ostatecznie przyspieszyła nawet wyjazd jego za granicę.

Witolda obdarzał szczególniejszą sympatyą i względami. Uznawał w nim inteligencyę, temperament artystyczny a nawet talent, co wobec różnych, jakkolwiek pokrewnych sobie zawodów, nie kosztowało go zbyt wiele. Nieby nie miał przeciwko temu, żeby był pierwszym rzeźbiarzem polskim, byle jemu przyznano pierwszeństwo jako malarzowi. Tamten znów ze swej strony marzyciel, fantastyk, zupełnie niezaradny w sprawach życia powszedniego, poddawał się chętnie kierownictwu sprężystego kolegi, co jak młody dębczak krzepko trzymał się w posadach i rozrastał potężnie. Znosił też obojętnie, a może nawet niespostrzegając się wcale, ton mentorski, jaki Miron stale wobec niego zachowywał.

I teraz, jako stary paryżanin, czuje się w obowiązku ująć ster łodzi nowego przybysza na niespokojnem morzu życia w stolicy

świata i wskazywać mu ścieżki, jakiemi chadząc winien.

— Przedewszystkiem kupisz sobie cylinder — mówił — kiedy wyszli z ciemnego korytarza hotelu i znaleźli się na ulicy, oświetlonej pełnymi już promieniami słońca — kapelusik twój dyabelnie nie licuje w Paryżu, po prostu jest kompromitujący, żadna, szanująca się kobieta nie wyszłaby z tobą na ulicę.

Witold, zdumiony tą uwagą, gdyż kupił sobie zupełnie nowy kapelusz na wyjezdnem i miał o nim jak najlepsze pojęcie, otworzył szeroko oczy.

— Ha, ha, ha, śmiał się mentor. — Zrozumiesz to kiedyś... W Warszawie zadawałeś szyku co? Nagle trącił w bok towarzysza.

— Widzisz tam na rogu tego *banhomme'a* — ładny numer co? Siedzi mu na łbie taki sam grzyb jak twój ha, ha, ha.

Rzeczywiście, człowiek stojący na trotuarze pod latarnią, miał na głowie mały, okrągły kapelusz filcowy, formą ba zo zbliżony do tego, jaki nosił Witold. Człowiek ten miał co prawda przy tem minę bezczelną i wstrętną głowę kretyna, osadzoną na długiej, mocno wydekoltowanej szyi, nie usprawiedliwiało t^ jednak zarzutu przeciw filcowym kapeluszom w ogólności.

— Poznasz tajemnice Paryża, tymczasem ci powiem krótko: kup sobie cylinder jak najprędzej. Jako rzeźbiarz, mógłbyś wprawdzie nosić kapelusz z szerokiemi skrzydłami, ale to dobre dla tych *rapin'ów* z Montmartre, tu wychodzi z mody. Nowi artyści uważasz, uni kają tej abnegacyi, zaniedbania, artystycznego układu. Dzisiaj już się burżuazya na taką cygańską charakteryzacyę nie bierze. Wy tam jesteście trochę brudasy; nosicie jakieś kapelusze z pod zdechłego medora, wściekłe czapeczki, zeszyte ze starych halek przez rozmaite ciocie. Tu, uważasz, artysta musi być *pchut* a przedewszystkiem *chapeau haut de forme*, to daje *prestige*.

Tu ów elegancki pan w cylindrze otworzył drzwi nędznego, ale to bardzo nędznego sklepiku, ubikacyi, o wyglądzie mocno nie zachęcającym, i wepchnął tam towarzysza. Znaleźli się w ciemnej, wilgotnej i przeraźliwie brudnej, sklepionej w łuki izbie, gdzie za bufetem siedziała tłusta, zaspana jejmość. Na bufecie grzało się coś na gazie w dwóch kotłach blaszanych. W głębi, pod ścianą za stołem, gwarzyło półgłosem kilka postaci w łachmanach, zbiedzonych i wynędzniałych, jakoby członkowie owej brygady zamiataczy; przy drugim stole siedział robotnik w czystej, niebieskiej bluzie, z dziennikiem w ręku.

— Kawa czy czekolada? — spytał Miron.

— Widzę, że chcesz najpierw pokazać Paryż ze strony melodramatycznej — zauważył. śmiejąc się Witold. — Ależ to wspaniałe tło do romansu Montepin'a. I tu mamy jeść śniadanie?

— O, nie dziw się tak wszystkiemu, jak obywatel z Zapiecka - oburzył się tamten. — Korona ci z głowy nie spadnie, jeżeli zjesz tu a nie gdzieindziej, bo zresztą wszystko o tej porze jeszcze pozamykane. Mój drogi, żebyś wiedział, w jakiem ja towarzystwie, w jakich salonach, jadłem wczoraj obiad — i jaki obiad! Ręczę, że nie masz o podobnym przepychu, o podobnem bogactwie nawet przybliżonego pojęcia — prowincyonalisto! Może hotel Europejski w Warszawie, co? Tu się nikt niczego nie wstydzi... No, kawa czy czekolada?

Kiedy Miron kazał podać dwie czekolady, pani z za bufetu przyniosła żądane przysmaki w miskach fajansowych, takich właśnie, jakie u nas używają do zupy w restauracyach drugorzędnych, położyła przytem dwie wielkie łyżki stołowe i po pół funta chleba białego na osobę. Witold, stosując się do napomnień swego kierownika, nie wyraził głośno zdziwienia z powodu misek i łyżek stołowych do czekolady, nie mniej przecież niezręcznie mu było jeść czekoladę ową łyżką, nadto strasznie

korciło go podzielić się z towarzyszem spostrzeżeniami nad współbiesiadnikami śniadania, nad ich wyglądem, w każdym razie mało wytwornym w zestawieniu z elegancką postawą malarza.

— Mój drogi — tłómaczył tamten — tu różnice społeczne nie występują z taką jaskrawością, jak to się dzieje u nas. Zapewne w Warszawie nie wszedłbym w tem ubraniu do szynku, gdzieś na Bugaju, lub Czerniakowskiej, wiesz przecie, iż wstydziłem się chodzić do taniej kuchni i ćwiczyłem serdelki na schodach pałacu Korngeldów przed lekcyą rysunków z panną bankierówną. Niech ich dunder świśnie. A no, tu ma się przynajmniej grubo szersze pole obserwacyi. Pogadaj z którym z tych łapserdaków, co tam siedzą pod ścianą, i pisz romans. Żyli, użyli, mają przeszłość, mają swoją historyę. Dziś z pewnością łaził bestya przez całą noc po bulwarze i czekał aż „mama Poirson“ otworzy *butikę.* Będzie tu siedział póki słońce dobrze nie przygrzeje, i pójdzie spać na fortyfikacye. Ho, ho, ho, kopalnia tematów, typów...

Rzekłbyś, podsunięto gorejącą pochodnię pod okap słomianej strzechy. Mały płomyk rzucił się na suchą słomę i pełza z szybkością jaszczurki dalej, dalej i już cały dach stoi w płomieniach.

— Tak. Jął fantazyować w podnieceniu, jak o wczuje się w ową nędzę, w dramat namiętności ludzkich i wyrazi to w grupach wściekłych, okropnych, nadzwyczajnych, przerażających, że wstrząśnie najgrubszymi mydlarzami zatarga nerwami najobojętniejszych zjadaczy chleba, że przekona ludzkość, iż glina może być równie wymowną, jak słowo, że może krzyczeć, płakać, śmiać się, cierpieć i radować. Gdyby mógł jutro, dziś jeszcze mieć pracownię, stanąć do pracy...

— Fiu, fiu — pogwizdywał drwiąco paryżanin. — Jutro do pracy! Braciszku, drapnie cię jeszcze ten Paryż, zanim zaczniesz spokojnie pracować. Naleje ci się wody w uszy, zanim nauczysz się pływać — to ocean. Trzeba umieć żyć.

— Naucz mnie.

— Bą — ziewnął szeroko Miron. — Pogadamy o tem potem. Sztuka? Ho, ho, ho. Albo wy macie pojęcie o sztuce... No zapłać i chodźmy spać.

Było już dobrze po południu, kiedy Witold obudził się z twardego snu, znacznie wypoczęty wprawdzie po trudach podróży, ale pełen jeszcze jakiegoś nieokreślonego szumu w uszach i dziwnego rozmarzenia. Nie wstał odrazu, nie układał planów na własną rękę, gdyż przyjdzie Miron i weźmie na siebie ciężar myślenia o tych pierwszych krokach na paryzkim bruku.

Jest jakieś szczególniejsze lenistwo, właściwe organizacyom marzycielskim, co każe im zrzekać się inicyatywy w kwestyach najbliższej rzeczywistości. Zajmują się tem jedynie z konieczności, natomiast skwapliwie korzystając ze sposobności, troskę o dzień dzisiejszy zwalają na cudze barki, aby oddać się swobodnie ściganiu mar nieuchwytnych, po bezmiernych przestworach fantazyi. Więc i teraz, czekając na zapowiedzianą wizytę kolegi, leży sobie na wygodnem, obszernem łożu, puściwszy zupełnie wodze rozbujałej wyobraźni, cały pogrążony w dumach to smętnych, to rados-

nych, to żaląc się nad sobą, nad dolą macoszą, nad zbyt ciężkim losem, to rojąc sen jasny, przedziwny o sławie, rozkoszach, o miłości.

Nagle z mętnych majaczeń, jak lśniący dyament świetnej gwiazdy z wątłej mgławicy, wyłaniać się zaczęła postać jedna, niby znana już kiedyś dawniej z sennych marzeń, z zaziemskich wycieczek ducha — przybierać kształty widome, jasne, zdecydowane, niemal dotykalne.

To ona!

Nosił się oddawna z pomysłem wspaniałej kompozycyi rzeźbiarskiej — kompozycyi, która miała stanowić o jego przyszłości artystycznej — dać sławę, znaczenie, majątek, skarby wielkie, niewyczerpane stosy złota, złota, co pozwala żyć całym zasobem sił młodych, pulsowaniem wszystkiej krwi gorącej, bezwzględnie, bez ograniczeń, bez prywacyi. Jakież to było dotąd jego życie. Musiał nawet odmawiać sobie tych niekosztownych zabaw swego otoczenia, koleżeńskich zebrań przy piwie w taniej knajpie, brudnej, zadymionej, hałaśliwej a jednak, licho wie dla czego pociągającej. Zabawy takie, pomimo całej oględności, pozostawiały zawsze zbyt wielką szczerbę w budżecie, którą trzeba było łatać przymusowym postem i wytężoną pracą około zarobkowania, co znowu odrywało go od studyów i oddalało

kres ostatecznego wyzwolenia. — Eh, wszystko, lub nic wcale! Marzył o świetnej dekoracyi rozkoszy, o pałacu, pełnym blasków jarzących się świateł, o słonecznych krajobrazach w bogactwie barw i woni, o majestatycznych mórz przestworach, na groźnie wzburzonej fali, w łodzi... z nią.

Dotąd wśród nadmiernej pracy, jednocześnie dla sztuki i dla wywalczenia bodaj najskromniejszej egzystencyi wśród braku najniezbędniejszych potrzeb przy dumie bigalda — nie kochał.

Nie zaznał bodaj tej studenckiej, przelotnej miłości, pełnej, poezyi; bo beznadziejnej i bezinteresownej. Nie znał tych wiośnianych porywów młodości, co dwa serca, ogrzane ich tchnieniem, unoszą w zaświaty, by jak śnieżne płatki kwiecia jabłoni powiewem wiatru miecione w błękity, tańczyły pean święta natury. Onieśmielony ubóstwem, ambitny artysta nie zbliżał się do tych pysznych kwiatów salonu, strojnych, wykwintnych, delikatnych, jak pyłek skrzydeł motylich... Nie spotkał też na drodze swej skromnego dziewczęcia o prostem, szczerem sercu — istoty ukochanej, do której mógłby powiedzieć: chodź ze mną przez życie, zarzuć mi białe swe ramiona na szyję, ja cię zaniosę na szczyty podniebne, do krainy rozkosznych upojeń, do krainy wiecznego szczęścia.

— Ha, ha, o ironio! A przecież przed odjazdem na szczyty trzeba zjeść obiad z ukochaną na ziemi.

„Z pałaców sterczących dumnie,
Zejdź luba do mej chatki!
Ale zabierz swe manatki...
Bo hołotę znajdziesz u mnie.

— Wstrętne, głupie nieznośne! Bieda nie jest może występkiem, ale jest czemś okropnie upadlającem, jest największym wrogiem godności człowieczej, jest bezwarunkowo czemś, co hańbi, upokarza, poniża, z czem się kryć należy, jak z grzechem śmiertelnym, jak z występkiem.

Żachnął się.

Dreszcz wstrętu czy obrzydzenia zmącił tok marzeń. Jak kamień, rzucony w łono cichej wód toni, pokraje w liczne pierścienie odbity w niej obraz, połamie sylwety wierzb nadbrzeżnych, potnie pręgami jasny błękit nieba, tak owe przypomnienie porwało w drżące kręgi zwierciadło jego dumań. Ale powierzchnia wygładzi się za chwilę, ostatnie zmarszczki skonają na wodzie i znowu toń pogodnem patrzy okiem w lazur nieba i na nadbrzeżne wierzby.

Jest młody, bardzo jeszcze młody, ma talent, ma cały świat przed sobą. Ma sztukę. Będzie ją miał w swych objęciach tę piękną,

ukochaną, zaróżowioną wzruszeniem, będzie ją mógł przycisnąć do piersi, wezbranej radością, wdychać zapach jej warkoczy, spojrzeć w oczy przyćmione od upojenia, na usta rozchylone rozkoszą, na gorące karminowe usta, złożyć pocałunek i w pocałunku tym trwać do zapamiętania się, do skonu. Widzi ją w blaskach promiennego piękna, o nieskazitelnej harmonii kształtów, o niewypowiedzianym uroku linii falistej, miękkiej słodkiej. Stanęła przed nim, jako posąg nagi, przeczysty w swej nagości— bo ona jest posągiem... Biały marmur, pod uderzeniami dłuta ożywia się, krew pulsuje w przezroczu szlachetnego materyału. Białe odbryzgi kamienia, biały pył marmuru sypie mu się na głowę, na ręce, ubiela całego... Ostatnie uderzenie młota, ostatnie pociągnięcie raszpli...

Dzieło skończone — ukochanie w marmur zaklęte — w marmurze pogrzebione — w marmurze nieśmiertelne!

Wyczerpany artysta osunął się w niemocy u stóp swego dzieła. Mgła przedśmiertna przysłania mu oczy, dłuto wypada z osłabionej dłoni, ciało przebiega spazm konania. Naokół biało, marmurowo. Spojrzał jeszcze raz w twarz posągu, w twarz piękną, zimną, niewzruszoną i umiera w zachwyceniu. Głowa jego biała, obsypana marmurem zwisła bez-

władnie, ciało osypane marmurem łączy się z blokiem kamienia, tworzy jedną całość... i tak zostało.

Wizya plastyczna trwa, widzi grupę oczami wyobraźni tak wypukłą, tak wyraźną, tak cudownie skomponowaną po rzeźbiarsku.

Zerwał się gwałtownie z łóżka. Uczuł nieprzepartą potrzebę naszkicowania swej wizyi. Pamięta najdrobniejszy rys układu, wyraz, ruch, czuje miękkość ciała, widzi każdy załam draperyi, wszystkie przejścia i połączenia w kompozycyi. Ma ją w sobie całą, piękną, skończoną. Gdyby miał glinę pod ręką, ulepił by grupę bez wahań, bez poprawek, bez szukania, bo ją ciągle widzi, jak gdyby wykutą z fantastycznej jakiejś substancyi, z drgań świetlanych, z cząstek eteru.

Gliny jednak pod ręką nie miał. Podniecony gorączką twórczą biegał niecierpliwie po pokoju. Spojrzał na zegarek — dochodziła czwarta.

Czy miał dłużej czekać na Mirona?

Oczywiście nie mógł sprowadzać gliny do hotelu, gdyby znaleźć choć kilka funtów plasteliny i na gorąco, pod wrażeniem, zanim wynajdzie sobie pracownię, ulepić szkic w małych rozmiarach. W pracowni zabierze się do wymodelowania grupy naturalnej wielkości, wykuje w marmurze, stworzy arcydzieło.

Tymczasem odszukał w walizie album rysunkowe i starał się pomysł w głównych zarysach zanotować. Nie umiejąc jednak swobodnie poczynać sobie ze skróceniami, nie mógł wyrazić myśli swej na płaszczyźnie papieru z taką dokładnością, jakby to uczynił w miękkiej plastycznej masie, posłusznej palcom artysty. Przytem czuł, iż w walce z materyalnem przedstawieniem przy niedołężnych, sztywnych kreskach rysunku, wizya jego blednie i zatraca urok pierwotnej koncepcyi, rzucił więc ze złością ołówek i postanowił bądź co bądź wyruszyć na poszukiwanie plasteliny. Ubrał się tedy i już miał wychodzić, kiedy do drzwi zapukano.

Wszedł Miron, elegancki, wyświeżony, pełen dystynkcyi.

— Wychodzisz? — zapytał.

— Ach mój drogi — wybuchnął nerwowo Witold — oddałbym połowę całej swojej gotówki za jeden szaflik gliny. Miałem, tak dokładną, plastyczną wizyę dawnego pomysłu, że tylko bierz i kładź... Pamiętam wizyę... wspaniała!..

— Ależ ci się tu gliną nie pozwolą babrać — przerwał malarz — ładnie byś im hotel urządził.

— Domyślam się i dla tego wybierałem się, aby kupić kilka funtów plasteliny. Musisz mnie zaprowadzić do składu...

— Plastelina droga rzecz — tłomaczył tamten — pomysł nie ucieknie. Najmiesz pracownię — za te pieniądze będziesz miał całą furę doskonałej gliny, Po co ta gorączka?

— Muszę zanotować — nalegał podniecony artysta. — Wizya zatrze się, zblednie, zniknie. Nie zobaczę już tej harmonii linii, tych cudnych kształtów, tego wdzięku.

— Narysuj.

— Ba, żebym to umiał — westchnął ciężko. — Próbowałem. Nie mam swobody, nie mam pewności pociągnięcia; ołówek mnie nie słucha, nie moja rzecz... Palce poprostu tęsknią do gliny, proszą się o glinę... tak bym chlastał...

I zaczął wykonywać w powietrzu gorączkowe ruchy, jakby modelował niewidzialną jakąś figurę. Ręce niby ugniatają glinę, rzucają ją na właściwe miejsce, to znowu śmiały energiczny ruch wielkiego palca wyrywa wklęsłości, podcina kształty, znaczy rysunek.

— Próbowałem rysować — wołał gwałtownie — ale to nędza; nie umiem skrócić, nie umiem komponować konturem — sztywne, głupie, ordynarne, nie daje najmniejszego pojęcia — karykatura! podłość! może tylko obrzydzić cały pomysł, zniechęcić... A takie mam przywiązanie do tej swojej chimery, bo to chimera istna — opętanie jakieś... tak bym ją chciał wypieścić, wycackać, tak bym chciał w nią

wleźć cały z nogami, z rękami, z duszą... Antek na miłość boską, daj mi gliny, niech bym już zaczął lepić, bo mnie dyabli porwą.

Tamten słuchał spokojnie, uśmiechając się od czasu do czasu pobłażliwie, wreszcie wziąwszy album ze stołu, przyglądał się rysunkowi ciekawie. Wtedy Witold jął tłomaczyć znaczenie szkicu.

— Rzuć te niedołężne bazgroty; nie jestem rysownikiem. Opowiem ci: Widzisz wlazła mi w łeb myśl jedna, wbiła się jak gwóźdź, wierci, kłuje, spokoju nie daje... Uważasz — wyobrażam sobie, że prawdziwy szczery artysta spala się w atmosferze na ołtarzu sztuki, a każde dzieło jego jest niby urną, w której zamknięto popioły uczuć i myśli, strawionych ogniem, aby wskrzesnąć jak feniks z popiołów w tworach swej wyobraźni i już trwać wiecznie, żyć nieśmiertelnie. Nie wiem, dlaczego, ale powołanie artysty przedstawia mi się z dziwnie tragicznej strony. Już legenda wyprowadza ród ten od jednego z kaimowych synów, który był ojcem grających na lutni. Wierzę też, iż rodzą się z piętnem Kaina na czole, z góry skazani na wieczną rozterkę ducha, na wiekuistą walkę z samym sobą, na bezkresną pogoń za urojeniem, za chimerą. Tak chimera to fatum, to konieczność ich przyrodzenia, która pcha do samoofiary, do samozatra-

cenia. Tworzymy z miłości, albo z nienawiści. Tylko potężne uczucie może zrodzić potężne dzieło. Jeżeli kocham bardzo, a kochaniu swemu chcę dać silny wyraz w sztuce, to pragnę uczucie to wyrwać z siebie całkowicie z korzeniami i przenieść na marmur, na płótno, zakląć w kształty, w barwy, w ton muzyczny, w słowa poematu. Jeżeli nienawiść podszepnie pomysł artystyczny, niechże będzie tak jadowity, ażeby się twórca sam zabił nim, jak skorpion własnym żądłem.

— Czy kocham sztukę dla sztuki samej, czy dla sławy, dla uznania, dla użycia, czy dla kobiety, którą przez nią będę kochał? Niewiem. Pragnę, tęsknię, czekam czegoś...

— Słuchaj — mówił, zapalając się coraz bardziej — słuchaj. Nie mogę przywołać obrazu przyszłości swojej, gdziebym się widział w roli małżonka, ojca rodziny. To dla mnie niedostępne, zdaje mi się, jakoby raj ten fatalnie dla mnie był zamknięty, a sztuka-fatum, sztuka-chimera, niby archanioł z ognistym mieczem stanęła na straży u jego podwoi. Mydlarz każdy ożeni się pewnego pięknego poranku — doczeka się dzieci, a jeśli mu zdrowie służy — wnuków. Miłość ziemska artysty zrodzić może wspaniałe dzieło sztuki, a potem... już nie widzę nic, ciemno, pustka, niebyt... niech się świat wali. Umrzeć wcześnie, póki

jeszcze trzeźwa starość nie rozproszy snów ułudy! Kiedy myślę o miłości — marzę pocałunki, upojenie, rozkosz i... rzeźbę. Ona mi pozuje, oddaje ukochane ciało, przecudne kształty na posąg — stwarzam arcydzieło i dalej myśl mi się kończy... Czuję, że mogę odejść, bo jestem bez duszy, bez czucia, pusty jak dzwon, któremu serce wyrwano.

— Oto co chciałbym wyrazić w tej kompozycyi. Oto Chimera moja. Tajemniczo uśmiechnięta, z blaskiem tajemniczości w oczach, niby słodka, miękka, miłosna, a przecież okrutna, stoi w majestacie piękna... Tyle razy przeżywałem uczucia te w wyobraźni, że zdaje się powinienem znaleść wyraz dość silny...

— Wielka szkoda — przerwał nagle malarz z lekkim odcieniem ironii w głosie — szkoda, że nie znajdziesz na te wszystkie piękne rzeczy dostatecznych środków w swej sztuce. Już to wogóle te wszystkie filozoficzno-etyczno-symboliczne majaczenia wychodzą całkowicie po za zakres sztuk plastycznych. Wybij to sobie, kochanie, z głowy. Malarstwo w tych razach, uważasz, malarstwo, które ma barwę, światło, przestrzeń, perspektywę, nie wiele też po za abecadłem myśli ma do powiedzenia, a cóż dopiero rzeźba. Że wy się też jeszcze bez bajeczki obejść nie możecie. Symbolizm? Phy! Weź dobrą modelkę, wymodeluj porządny

akt, ale taki jak się patrzy, jak to robią Mercié, albo Falguière, taką mięsistą, soczystą, zawiesistą, a nazwiesz ją jak ci się żywnie podoba: Nimfa, Ondyna, Dryada czy Chimera — to wszystko jedno. Co wy gliniarze możecie zrobić po za kształtem. Ja ci coś u siebie pokażę.

Witold, jakkolwiek nieco ostudzony w zapale zbyt trzeźwą uwagą towarzysza, chciał jeszcze w dalszem ciągu snuć swe myśli, ale Miron położył tamę prostym przejściem do porządku dziennego.

— Idziemy na obiad — zawołał.

Po takiem postawieniu sprawy, rzeźbiarz, nie odrzekł już ani słowa, wziął kapelusz i gotów był do wyjścia. Ale tu nastąpiła scena, mniej oczekiwana. Oto Miron, który dotąd siedział z głową nakrytą, zdjął cylinder, zbliżył się tajemniczo do towarzysza i biorąc go za guzik od surduta, spytał przyciszonym, jakby zdławionym głosem.

— Przyznaj się szczerze — wiele przywiozłeś mamony?

— Mówiłem ci przecież, mam jeszcze czterysta pięćdziesiąt franków, cały mój majątek, więcej znikąd spodziewać się nie mogę.

Tamten niedowierzająco mrugnął okiem.

— Pas si bête co? Nie dasz się wziąć na otwartość?

Witold, dotknięty tą niewiarą, podał mu pugilares.

— Mało, mało! — cedził, zbity z tropu i widocznie zawiedziony w swych obliczeniach Miron. — Nie nadługo wystarczy, nie nadługo... Przyznam ci się — ciągnął — jestem na sucho, myślałem, że mi przynajmniej kupisz obiad.

Na zapewnienie jednak gotowości, co do tej sprawy, ze strony Witolda, malarz nie puszczał trzymanego guzika i kręcił nim zawzięcie, widocznie silnie zajęty jakąś myślą.

— Więcej nie masz nic, drobnych, co? — spytał.

Znalazło się jeszcze w różnych kieszeniach, trochę srebrnej i miedzianej monety, co po skrupulatnem obliczeniu nie przenosiło pięciu franków.

— Będziemy mieli bardzo skromny obiadek — zauważył malarz.

Żadną miarą nie chciał się zgodzić na zmienienie grubszych pieniędzy. Utrzymywał, że jest przesądny, że są dni, w które za nic w świecie nie zmienia pieniędzy, że wreszcie ma w tem swoje wyrachowanie i biorąc towarzysza serdecznie w ramiona, rzekł dobitnie i kategorycznie: pieniądze te mnie pożyczysz.

Twarz zagadniętego tak znienacka przedłużyła się widocznie, ale Miron nie dał mu czasu na odpowiedź i szybko jął przekładać,

że właściwie nie będzie to pożyczka, ale odstąpienie na jedną, z całą pewnością na jedną, jedyną godzinę, pugilaresu, a wszakże po tylu latach przyjaźni, powinienby chyba mieć trochę do niego zaufania. Zresztą, czy jest nawet o czem mówić. Sumka tak niewielka, cóż dla niego znaczy czterysta pięćdziesiąt franków. Chodzi tylko o to, że ma on ważny interes do załatwienia, na tysiące franków, z człowiekiem bardzo zamożnym. Jest to mianowicie obstalunek na portrety całej rodziny wzbogaconego przemysłowca, jego żony i trojga dzieci. Należy się tedy zaliczka. Otóż wysokość takiej zaliczki jest w stosunku wprost proporcyonalnym do zamożności proszącego o nią. Oczywiście, taki mieszczuch, gruboskóry filister, o tyle tylko ludzi szanuje, na tyle tylko im ufa, na ile otaksuje ich na razie, według brzęczącej monety. Malarz, mając cztery i pół setek w kieszeni, upomina się o zaliczenie nie dla tego, że jest w potrzebie, ale że mu się ono bezwarunkowo należy i tem samem pewniejszy jest dobrego skutku, a znający sztukę życia artysta łatwo znajdzie sposobną chwilę, ażeby „*burżujowi*“, błysnąć przed oczami wypchanym pugilaresem.

Argumentacya może nie była należycie silną i przekonywającą, dość że Witold, oddając z rezygnacyą pieniądze, miał minę niezbyt

rozradowaną, owszem czuł, że twarz jego powleka się żółtym tonem żalu i rozgoryczenia, natomiast biorący je odzyskał odrazu dobry humor i fantazyę.

— No — zawołał! — dziękuję. Nie będziesz tego żałował. Nie chcę cię straszyć, ale zdaje się, że prędzej, niż się spodziewasz, będę ci się mógł odwdzięczyć. Mój drogi, jeżeli mi się dziś powiedzie, będę panem całą gębą, będziesz mógł na mnie liczyć w każdej chwili.

Tu uścisnął mu serdecznie rękę.

— Powodzenia zresztą jestem najzupełniej pewien. Mam kombinacye wypróbowane, które nie zawodzą. Od dziś zaczyna się stanowczy zwrot w mojem życiu. Od dziś — wołał podniecony własną myślą, — obejdę się bez idyotycznego stypendyum pana barona-bankiera. Bydło! Ha, ha, ha. Mecenasy zapowietrzone, żydy!

Urwał nagle i zaczął układać jakiś rachunek w głowie. Liczył widocznie, kalkulował coś mozolnie, bo skupił się w sobie i jakby zatonął w rozmyślaniu. Po chwili dopiero odezwał się z dziwną powagą.

— Swoją drogą dzisiaj jeszcze zjemy jaknajskromniejszy obiadek. Twoje drobne muszą wystarczyć na obiad i na omnibusy. Zaprowadzę cię do naszego „mastroqueta“. Trudno, zakończyl sentencyonalnie — albo się wierzy

w pech, albo nie. Po za tem znajomość z George'em może ci być niezmiernie przydatną w... ciężkich chwilach...

— W chwilach lepszych, nawiasem mówiąc, to się tam nie zagląda, ha, ha, ha—roześmiał się z odrobiną egoizmu w głosie.

Dawna dzielnica łacińska, ciągnąca się wzdłuż brzegu, po lewej stronie rzeki, jakkolwiek przecięta dziś wspaniałemi bulwarami St. Michel i St. Germain, ulicami szerokiemi, wysadzanemi po hausmanowsku drzewami, z domami o cechach całkowicie nowożytnych, posiada jeszcze mnóstwo niezmiernie charakterystycznych kątów i zaułków, świadczących o starożytności tej części Paryża. Zapuściwszy się w którąkolwiek z bocznych uliczek, ciasnych, wązkich, wijących się fantastyczną linią, o domach wyskakujących, jak niesforni żołnierze, z szeregu, ma się wrażenie innego jakiegoś miasta i innej epoki. Stare mury, niezmiernie urozmaicone w profilach przez przystawki i przybudówki wszelkich stylów i czasów, posiadają i malowniczość, którą wytworzyć mogą tylko wieki i przypadkowość, a nie zdobędzie się na nią najlotniejsza fantazya ludzka. Tu z gładkiej ściany zwisa wykusz, z małem okratowanem okienkiem, owdzie na szczycie wysokiej kamienicy, jak jaskółcze gniazdo, przyczepiona facyatka na wątłych

konsolach, tam osiadły potężnie na chodniku, na kształt obronnych zamków, wzmocnione kontrforsami domiska, tu znowu mur opuszcza się ukośnie, w postaci skarpów.

Może nie wszystkie te mury pamiętają zamierzchłe dzieje Lutecyi z czasów rzymskich, nie wszystkie były świadkami rzezi w noc św. Bartłomieja, w każdym razie są to bardzo poważni staruszkowie, którzy patrzyli na życie i czyny licznych pokoleń, na walki i przewroty polityczne, są to niemi świadkowie życia narodu, o których boki obijały się kule walczących stronnictw. Wieje od tych murów, rzekłbyś woń, pleśni, ostry zapach jakiejś piwnicznej przytęchłej wilgoci.

Dzięki tej myszce starożytnego pochodzenia, dzięki ciemnym zaułkom, wązkim, brudnym przejściom, niezbyt może pożądanym w wielkiem mieście ze względu hygieny i wygody, Paryż ma ów szczególniejszy urok, którego nie posiadają te całkowicie nowe miasta, co w ostatniem stuleciu wyrastały z niczego, jak grzyby po deszczu. Pocięte w równe linie ulic, z domami stawianemi według z góry nakreślonego planu, nowe i wyzłocone, wyglądają jak spanoszony dorobkiewicz, rozpierający się na świeżo kupionych aksamitach. Paryż dzisiejszy jest jak potomek możnej rodziny patrycyuszów, który w wytwornie, według osta-

tniej mody umeblowanych salonach, wśród angielskich modernistycznych mebli, pozostawił jakiś sprzęt staroświecki, zegar z kurantem po dziadach, jakiś olbrzymi fotel obity wyciskaną skórą, rodzinną pamiątkę z przed wieków, lub inkrustowaną kunsztownie pełną skrytek skrzynię, gdzie przechowują się pożółkłe zatęchłe pergaminy, świadczące o dawności przodków, ich sławie i zaszczytach.

Najciekawiej pod względem staroświeckości przedstawia się cały szereg krętych uliczek, wychodzących od Sekwanny z Quai des Grandes Augustins. Są one bardziej ciemne, bardziej brudne i silniej zaprawione ową wonią pleśni. Byś może, iż jest to skutkiem blizkości wody, a przez to wilgoci, zresztą całkowicie już współczesnej, ale nie ulega wątpliwości, iż zapach ten dziwnie usposabia do dumań o wiekach minionych i chciałoby się wywoływać obrazy przeszłości, odtwarzać sceny, jakie się wśród tych murów przez wieki rozgrywały.

Właśnie Miron z towarzyszem zapuścili się w ten labirynt i Witold, nastrojony już, że tak powiem, archeologicznie, odczytywał nazwy ulic. Znał je prawie wszystkie z romansów historycznych Dumasa ojca, wykrzykiwał też co chwila, jak małe dziecko radośnie, zadowolony ze swych odkryć.

— Ulica-Gît le Coeur—tu kiedyś za Franciszka pierwszego mieszkał Benvenuto Celini Ciekawym czy się też wiele od tego czasu zmieniło.

Tu mieszka teraz nasz „mastroquet“ — przerwał Miron.

Znaleźli się przed niewielkim, nazwijmy rzecz po imieniu — szynkiem, czego zacna ta instytucya musiała się nieco wstydzić, gdyż nad drzwiami wisiał kłamliwy szyld „Kawiarnia“.

— Trzeba umieć żyć z ludźmi—zauważył ni ztąd ni z owąd Miron, otwierając drzwi.

Musiała uwaga ta w tem miejscu mieć jakieś szczególniejsze znaczenie, bo jakkolwiek była to jedna z najczęściej powtarzanych jego maksym życiowych, tu jednak wygłoszona tak nieoczekiwanie i z całkiem niezwyczajnym naciskiem, kazała się domyślać niezwłocznego zastosowania teoryi w praktyce.

Jakoż ledwie weszli do nizkiej, przepełnionej ludem, przeważnie ze sfery robotniczej, izby wnet z za bufetu doleciał krzykliwy głos samego właściciela szynku:

— Antoni, jak się masz, kanalio, dawno cię tu już nie widziano!

— Nie wrzeszcz, małpo jedna—zgromił go Miron, nie mniej przecież podał mu szczerze po przyjacielsku rękę na powitanie, potem zwracając się do siedzącej obok młodej i przy-

stojnej, choć może nieco zbyt otyłej kobiety, zapytał z odcieniem ciepła i serdeczności w głosie:

— Matylda, jakże się czujesz?

Matylda była żoną właściciela szynku. Ogromna normandka, wysoka, barczysta, o bogato rozwiniętym biuście, ogromnych rękach, jednem słowem była cała, jakby wyolbrzymiona w stosunku do przeciętnych wymiarów kobiecych, była przytem jednak bardzo przystojna. Matowo biała cera miała te delikatne połyski perłowej masy, ciemne, piwne, wielkie oczy, patrzyły inteligentnie i poczciwie, jak oczy wyżła, a wyraz twarzy, kształt głowy, z wdzięcznie upiętymi ciemno-blond włosami, tudzież osadzenie jej na białej, okrągłej, jak utoczonej szyi, mogły być istotnie przedmiotem zachwytu dla artysty-plastyka.

Zapytana wstała, podała rękę i miękkim, jakby przelęknionym głosem, zamiast odpowiedzi, rzuciła z wymówką:

— Czemuś nie był tak dawno?

Ale Mirona tymczasem wziął w obroty jej małżonek. O ile Matylda była wogóle olbrzymką, o tyle mąż przedstawiał typ przeciętnego, przysadkowatego, na krótkich nogach, mierzyna. Nie przeszedł jeszcze trzydziestki, a wyglądał na lat dwadzieścia dwa, trzy najwyżej. Urody był nijakiej, ni brzydki, ni ładny, —

blondyn bez wyrazu. Nazywał się George. Okropnie widocznie gadatliwy, rzucił się na Mirona, zasypując go pytaniami, co do osobistości przyprowadzonego gościa.

— Twój współrodak—pytał—czy malarz?

— Gorzej, przyjacielu, rzeźbiarz, fabrykant bałwanów glinianych.

— A to doskonale się składa — zawołał uradowany i biorąc poufale pod rękę Witolda zaprowadził go do wolnego stolika, a kiedy siedli, zaczął: — Właśnie jeden hiszpan robił biust Matyldy, dłubał, dłubał, najadł, kanalia, za jakie dwieście franków i drapnął do Madrytu, szukaj wiatru w polu. Matylda oblewa codzień wodą, wiesz pan, glinę—może się nawinie jaki rzeźbiarz, coby skończył. Wiesz pan, my żyjemy przeważnie z artystami. Ja bo właściwie z zawodu jestem drukarz, ale kiedym się ożenił z Matyldą i dostałem trzy tysiące franków — o, Antoni to panu opowie najlepiej, on dawno zna Matyldę. Kiedym dostał trzy tysiące franków, człowiek ma się rozumieć nie głupi pracować na burżuazyę, mogąc coś na siebie założyć. Wziąłem tę knajpę i już. Klientelę mam dobrą—wszyscy drukarze z całej dzielnicy tu przychodzą. O—pokazywał, wodząc palcem po zebranych w sali postaciach.—Ci w białych i czarnych bluzach to wszystko moi dawni towarzysze zawodu

i cierpień. Ci zaś w niebieskich kurtkach, to ślusarze i mechanicy z fabryki kranów. Reszta hołota.

Miron, który dotąd rozmawiał z Matyldą, siadł przy stole, przeczytał kartę i zadysponował obiad. Pan George powtórzył dyspozycyę garsonowi w kamizelce tylko i czarnym fartuchu, a sam asystował w dalszym ciągu przy stole, lubił bowiem przedewszystkiem dużo mówić. Wyrażał się poprawnie, z pewnem wyszukaniem i afektacyą. właściwą mówcom publicznym. Każdą rzecz rozwałkowywał, zdobił w metafory, porównania, upajał się poprostu własną swadą. Mówił prędko, łatwo i zdawało się, że nie będzie końca popisom elokwencyi, kiedy przerwało je silne klapnięcie płaską dłonią, jakie otrzymał w plecy namiętny mówca od nowego przybysza.

— Kanalio!—zawołał, a zwracając się do napastnika, uśmiechnął się życzliwie—a ty, ty pijaku!

Nowoprzybyły, blondyn, tęgiej budowy, zdradzającej wielką siłę fizyczną, rozcśmiał się szeroko i trzasnął go w plecy powtórnie, tym razem tak zamaszyście, że aż się ugiął pod ciosem i stęknął bez wszelkiego udawania.

— Kto stawia?—spytał oryginalny gość.

Byli właśnie przy czarnej kawie z koniakiem. Miron, dość niechętnie podając mu rę-

kę, wskazał na Witolda i po polsku przedstawił.

— Wasz kolega rzeźbiarz, pan Witold Ordon, pan Bonecki.

— Dawajcie go tu, polak!—wołał Bonecki, świeży polak, jak Boga kocham i rzeźbiarz!— To my kolegi.

— Koledzy—poprawił Miron.

— Głupiś, wszystko jedno, hu, hu, hu — śmiał się—także osioł z poprawianiem—i podstawił kieliszek.

Witold nalał koniaku skwapliwie, gdyż rzeczywiście uradował się bardzo z tej nowej znajomości. O Boneckim słyszał, jako o wielkim artyście, znał nawet z wystawy warszawskiej jego „Gladyatora umierającego", wymodelowanego bardzo subtelnie, artystycznie, z ogromnym sentymentem, z poczuciem śmiertelnej grozy w wyrazie, jednem słowem utwór zupełnie niepowszedni. Zwrócił się tedy do rzeźbiarza z życzliwością i począł z zachwytem opowiadać o jego dziele. Nie zrażał się tem, że słynny artysta miał w danej chwili inteligencyę nieco przyćmioną alkoholem, co przedewszystkiem manifestował zbyt rubasznem zachowaniem się i głośnym głupkowatym śmiechem, przypuszczał bowiem, że Bonecki w stanie normalnym musi być bardzo interesujący, musi zdradzać owe cechy genialności i głębi

duchowych, które przezierają z jego utworów.

Spytał go o prace.

— Modeluję jednego księdza. Skąpy, nie chce dawać zaliczek, a ja naczczo nie mogę, muszę tego... Tu przztyknął się znacząco w gardło.

— Ma pan dobrą pracownię?

— Jaki pan—oburzył się Bonecki—co za pan? Pan radca, pan mecenas, pan idyota. Mów mi ty. Wiesz, wszyscy uczciwi artyści są ze sobą na „ty durniu", he, he, he — śmiał się i podstawiał kieliszek, ale Miron butelkę oddał właścicielowi zakładu.

— Idziemy!—zawołał.

— Zielona małpo—gniewał się Bonecki.— Myślisz, że ja nie mam kredytu i zwracając się do George'a po francuzku, kazał sobie nalać koniaku. Kiedy jednak tamten zawahał się, zaklął okropnie, trzasnął go potężnie w kark i odebrał mu flaszkę.

— Co taki kanalia, mastroquet, sobie myśli—mówił dalej po polsku. — Mnie odmawiać, mnie! Co prawda, to ja tu coś krewny, ale wczoraj wziął mi kajdaniarz całe dziesięć franków. Hu, hu, hu—śmiał się—dostałem od księdza. Buchnąłem go w mankiet i powiadam: proszę pana księdza, jak mi pan ksiądz nie da ludwika, to umrę z głodu i portretu nie dokoń-

czę — to dał dziesięć franków, hu, hu, hu. Przyszedłem do tego tu złodzieja, fałszerza na litr wina, a on mi wszystkie pieniądze zabrał. Hu, hu, hu, dzisiaj też dostałem dziesięć, ale on ich nie zobaczy, albo ja głupi, hu, hu, i zamierzył się pięścią na George'a, ale ten zręcznie się schylił i uniknął ciosu.

Tymczasem Miron zapłacił rachunek z funduszów Witolda i ciągnął go do wyjścia. Ten jednakże miał ochotę rozgadać się obszerniej z towarzyszem zawodu, dowiedzieć się przynajmniej gdzie mieszka, gdzie ma pracownię.

— Hu, hu, hu—śmiał się zapytany. — Ja pracownię? Albo ja głupi płacić za pracownię, wolę wypić wina. Jeden idyota francuz, wiesz Lefebre, dobry jucha rzeźbiarz, wyjechał, to ja u niego siedzę, jego glina, jego wszystko. Przyjdź kiedy rano 42, rue des Rennes, zobaczysz mojego księdza.

Miron pociągnał towarzysza za rękaw. Pożegnali się z gospodarzem i gospodynią, jak starzy, dobrzy znajomi i wyszli. Na ulicy Miron starał się potrochu oświetlić z właściwej strony, zbyt może poufały stosunek swój z szynkarzem.

— George, uważasz, dobry chłopiec, tylko nygus i leniuch jakiego świat nie widział. Był zecerem, ale mu się tak chciało stać przy kaszcie, właśnie, jak psu orać. Otóż kiedy mu

pomogłem ożenić się z Matyldą, za którą wziął trochę pieniędzy, może teraz próżnować i mleć językiem po całych dniach, stojąc za kontuarem, bo gaduła, bestya jest, zapamiętały ma więc dla mnie pewne względy grzeczności. Z Matyldą—ciągnał dalej — znaliśmy się dawniej. Pytała się co ma począć — bez mojej rady kroku by nie zrobiła... Oczywiście, taki George dobrze to rozumie — mogę też zawsze na niego liczyć... A i tobie radzę, nie baw się w arystokratyczne uprzedzenia i wejdź z nim w blizką komitywę.

— Nigdy nie miałem uprzedzeń arystokratycznych—zaprotestował zagadnięty—ale znowu nie widzę słusznej racyi poufalenia się, jak powiada Bonecki, „na ty durniu“, z szynkarzami, choćby nawet paryzkimi.

— Kiedy dzieciak jesteś, widzisz -- przekładał praktyczny paryżanin—takiemu chłopcu pochlebia, że może być na ty z artystami. Tobie korona z głowy nie spadnie, a na ciężką chwilę możesz mieć ucieczkę przed widmem głodu. W Paryżu to tak—trzeba umieć z ludźmi żyć—zakonkludował.

— Aha!

— Co?

— Nic. Chciałem dowiedzieć się czegoś o Boneckim, zmieniając ton—mówił Witold.— U nas cieszy się jaknajlepszą sławą. Jego

„Gladyator“ był kiedyś poprostu zjawiskiem epokowem na wystawie Towarzystwa zachęty.

Rzeczywiście Bonecki posiadał talent pierwszorzędny, ale rozpił się tak obrzydliwie, co nie tak ujemnie odbijało się jeszcze na jego twórczości artystycznej, ile strasznie zeszpeciło duchową i moralną fizyognomię człowieka. Pracował tylko w stanie lekkiego podniecenia absyntem i wtedy nawet miewał przebłyski inteligencyi, dowcipu, a odnośnie do swej sztuki, możnaby powiedzieć—genialności, tak świetne miewał pomysły, tak przepysznie wyczuwał formę i zręcznie, śmiało, z nadzwyczajnym mistrzowstwem i finezyą modelował w glinie, lub kuł w marmurze. Dłuto zwłaszcza w jego ręku chodziło, jak zaczarowane, a każde uderzenie młotka było zadziwiająco pewne i dokładne. Kiedy jednak przebrał miarę, stawał się niezdolnym do pracy, przemieniał się w dzikie nieokrzesane stworzenie, a porwany nałogiem, jakby opętany przez jakieś złe demoniczne siły, pił bez upamiętania, zbydlęcał się do ostatecznych granic. Na trzeźwo znowu, robił wrażenie umysłu tępego, ograniczonego, oryentował się z nadzwyczajną trudnością, często wprost niepodobna się było z nim rozmówić. Uśmiechał się bezbarwnie, bezdźwięcznie, to znowu tarł ręką zmarszczone czoło, jak gdyby tą mechaniczną czynnością

chciał usunąć jakieś obce ciało, co mu uciska mózg pod czaszką.

— Ha — zauważył malarz — talent włazi czasem w pierwsze lepsze zwierzę i siedzi...

Przejeżdżał omnibus zaprzężony w trójkę tęgich koni.

— Odeon—Clichy.

Miron pociągnął towarzyszą za rękaw i puścił się w pogoń za wehikułem. Po stromych, krętych schodkach wdrapali się na imperial i usiedli na dwóch ostatnich, nie zajętych jeszcze miejscach.

Wielki furgon, zapełniony teraz całkowicie, trząsł się z hukiem po bruku, pobrzękując szybami okien przy każdym silniejszym podskoku, to znowu zataczał się jak pijany i zsuwał ku rynsztokowi, aż koła tarły się ze zgrzytem o brzegi chodnika. Przebyli most na rzece i przez bramę oryginalnej i pięknej struktury dostali się na czworoboczny ogromny podwórzec.

Zmierzchało się i właśnie z wysokiego słupa zabłysło potężne, biało zielonawe, jak księżycowe światło elektryczne, kładąc na równej płaszczyźnie placu ostre twarde plany cieniów rzuconych, jakby z ciemnego papieru wycięte sylwety przedmiotów.

— Louvre! — zawołał ucieszony Witold — widziałem to gdzieś na obrazku.

— Louvre — odmruknął Miron — ale myśl jego była gdzieindziej. Zajęty jakąś kombinacyą, jakąś wewnętrzną rozmową, z samym sobą, nie zważał i nie odpowiadał na zapytania towarzysza. Wreszcie jakby spostrzegł się, że może go tem urazić, zwrócił się doń z serdecznem wynurzeniem.

— Przepraszam cię. Wybacz, że nie odpowiadam, ale widzisz, od dzisiejszej wyprawy cała moja przyszłość zależy..! No, może nie cała — poprawił się — w każdym razie jest to krok bardzo ważny dla mnie i... dla ciebie. Ha, ha, gdybym tak stanął, jak mam nadzieję, to powinienem, jak to obliczyłem... No, życz mi powodzenia.

Podał mu rękę, ściskając gorąco.

Po chwili znowu zapadł w zadumę, był podniecony i rozgorączkowany. Witold zauważył to i zapytał o przyczynę.

— Ja podniecony, rozgorączkowany, cóż znowu? — zaprzeczył. — Właśnie nigdy się nie gorączkuję, to najgłupsza metoda, pozbawia równowagi myślenia i pewności czynu. Owszem, wprost przeciwnie, jestem jak zawsze zimny i obojętny. Układam poprostu plan kampanii, wykreślam sobie drogi postępowania, dla tego się skupiłem w sobie, wziąłem mózg na munsztuk, żeby nie brykał po wertepach, lecz zaprowadził prosto do celu, tam, gdzie ja chcę.

Wierz mi, w każdej okoliczności potrafię zdobyć się na zimną krew i to jest moją siłą w życiu. Przedewszystkiem charakter, wola i panowanie nad sobą. Nie dać się unieść sentymentom i namiętnościom, lecz kierować niemi wedle woli. Wyliczyć, przeliczyć, wyrozumować, dopiero działać podług powziętego planu, na jotę bodaj nie odstępując od linii wytkniętej. Najmniejsze zboczenie to słabość. Najboleśniejszy cios przyjmuję, bez skrzywienia się, a największe szczęście bez okazania radości. Doszedłem do takiego sterroryzowania odruchów i zupełnego ujęcia w kluby woli, przez długą i systematyczną pracę nad sobą. Nie zobaczysz mnie wzruszonym, podnieconym, he, he, he — angielska zimna krew jest dla mnie ideałem przymiotów w mężczyźnie.

Wmawiał w siebie jednak te ideały i spokój najwidoczniej, bo usposobienie jego, przynajmniej w obecnej chwili, było od nich dość dalekie. Cała ta przemowa była rodzajem autosuggestyi, za pomocą której chciał się utrzymać w równowadze i pohamować silne wewnętrzne wzruszenie.

Omnibus przeciskał się z trudem przez natłoczoną ludem ulicę. Setki pojazdów mijały się lub prześcigały w rączym pędzie koni. Od czasu do czasu tworzyły się zatory, zmuszając ich do zatrzymania się. Wreszcie wydo-

stali się z wązkiej ulicy na szeroki wspaniały bulwar, kipiący w całej pełni, ruchem, życiem, zgiełkiem, tą straszliwą gorączką wielkiego miasta, która sprawia, że krew w jego arteryach podniesiona do najwyższej temperatury, tętni z szumem, kipi i bulkocze, jak war pod żelazną pokrywą naczynia.

Przecinali właśnie jedną z najpotężniejszych i krew miasta buchała tu jak wezbrana po rostopach wiosennych rzeka. Po obu stronach ulicy, na trotuarach, między dwoma szeregami drzew, przypruszonych pyłem, szarozielonych i jakby omdlałych w dusznej ścieśnionej atmosferze, wśród olbrzymich kamienic — falowało nieprzejrzane mnóstwo głów ludzkich. Z wysokości omnibusu widzieli powierzchnię tego morza o małej, krótkiej fali, rzekłbyś, nerwowe pluskanie wód, przed wiszącą w powietrzu burzą. Środkiem zgiełkliwy wir pojazdów, różnobarwny i różnokształtny korowód wozów, koni, ludzi, szalony zamęt krzyżowania się prześcigania—rozpasanie się ruchu...

— Wielkie bulwary—zawołał Miron i przynaglał towarzysza do zejścia.

Kiedy znaleźli się na trotuarze, zaprowadził go do najbliższej kawiarni, gdzie rozstawiono stoły wprost na trotuarze pod wielką markizą płócienną i kazał mu podać kawy.

— Poczekasz tu na mnie półgodzinki, wrócę z pewnością. Przyjrzysz się tymczasem tłumom paryzkim, jesteśmy bowiem w najwspanialszej dzielnicy. Patrz tam — mówił wyciągając rękę w kierunku wspaniałego domu, otoczonego na każdem piętrze misterną kratą balkonów.—Patrz tam, tam mieszka człowiek, na którego stawiam dziś całą moją przyszłość. No, idę, nie niecierpliw się, gdybym nie wrócił za pół godziny, wrócę za trzy kwadranse, w każdym razie czekaj. Nudzić się nie będziesz, można tu siedzieć całemi godzinami, to cały świat.

— Przyznam ci się, że trzy kwadranse nieco już za wiele na bezczynne oczekiwanie... bo...—starał się protestować, ale Miron ulotnił się nagle, zostawiając samotnego Witolda z niedopowiedzianym frazesem na ustach i z pewnym niepokojem w sercu, co do zamysłów towarzysza.

Istotnie ton uroczysty, jakim mówił o swych nadziejach na dzisiejszy wieczór, o widokach przyszłości, jego nerwowe podniecenie, z jakiem mimo woli i naprawdę wbrew bardzo zrównoważonemu temperamentowi, zdradzał się ustawicznie, napawały Witolda jakimś lękiem. Nie obawiał się już właściwie o własne pieniądze, bez których rzeczywiście nie umiałby sobie radzić, były bowiem jedyne. Za-

robił je w ostatnich miesiącach przed wyjazdem, stawiając nagrobek rodzinny jednemu z zamożniejszych ziemian, jako kollatorowi, w jego kościele parafialnym. Podejmowany gościnnie na wsi, nie miał potrzeby, ani możności wydania zarobionych pieniędzy, puścił się więc z nimi za granicę, do tych środowisk spotęgowanego życia artystycznego, gdzieby mógł rozwinąć smak i rozszerzyć światopoglądy. Utrata tej, jakkolwiek drobnej, ale na razie przynajmniej wystarczającej na zapewnienie pierwszych potrzeb, sumki pozbawiłaby go poprostu możności istnienia w Paryżu. Nie widział i nie wyobrażał sobie, jakim sposobem mógłby się bez niej obejść w pierwszych zaraz dniach pobytu w tak olbrzymiem nieznanem mieście. Nie chciał też ani na chwilę przypuszczać, ażeby pieniądzom tym w rękach Mirona, mogło grozić jakiekolwiek niebezpieczeństwo. Zresztą znał go oddawna i nigdy pod względem uczciwości nie można mu było nic zarzucić. Owszem wśród kolegów artystów nie zawsze bardzo systematycznych w rachunkach, on właśnie odznaczał się nadzwyczajną skrupulatnością.

Co jednak miały znaczyć ten niepokój i tajemnicze półsłówka? Dla czego zabrał mu wszystkie pieniądze i nie chciał zgodzić się nawet na zmianę na drobne? Za chwilę sprawa

się wyjaśni. Witold w ogóle nie był w stanie zajmować się dłużej tego rodzaju zagadnieniami, tembardziej teraz, kiedy ożywiony, niezwyczajny ruch bulwarów porywał oczy i imaginacyę.

Barwny tłum ludu przelewał się jak fala, ciągnął w tę i tamtą stronę, gwarno, szumnie, wesoło. Szli i szli bez końca, płynęli zwartą masą mężczyźni, kobiety i dzieci, strojne panie i panowie wytworni i robotnicy w bluzach i nędzarze obdarci i cała nieprzeliczona mnogość typowych, charakterystycznych figur. Zdawało się, iż to procesya jakaś świąteczna, że jakiś nadzwyczajny, nie codzienny wypadek przeprowadza ludy przed jego oczami, że wreszcie orszak skończyć się musi, że wreszcie przejdą wszyscy, znikną. Fala przelewała się jednak ciągle. Rzeźbiarz, zajęty z najwyższą ciekawością przeglądem tłumów nowych dlań jeszcze i nieznanych, pochłonięty spostrzeganiem pojedynczych grup i postaci, stracił wprost poczucie czasu.

Spojrzał na zegarek, było już po dziesiątej. Ubiegło dwie całe godziny, a Miron nie wracał. Chwilowe zniecierpliwienie owładnęło czekającym—nie wiedział co ma począć. Rychło jednak nowe rzeczy, nowi ludzie, zajęli jego uwagę. Przechodziło grono eleganckich, postrojonych kobiet, w towarzystwie podtatu-

siałego już dobrze jegomości. Panie te najwidoczniej bawiły się doskonale kosztem swego towarzysza, bo wybuchały kaskadą srebrzystego śmiechu, wiele razy zwrócił się do której z nich z uprzejmem słowem. Zatrzymali się tuż przed stolikiem Witolda, jakby upatrując miejsca. Podtatusiały jegomość odnalazł wreszcie stolik i posunął się, w tę stronę, lecz kobiety z dźwięcznym uśmiechem pierzchnęły nagle, jak stadko młodych przepiórek. To znowu szczególniejszą baczność zwrócił na dziwną parę. Oto do kawiarni wszedł młody, w długą, białą bluzę ubrany robotnik, prowadząc pod rękę wytworną damę, nadzwyczajnej urody. Siedli obok i pili wodę z sokiem. Jakiś czas przyglądał się im z zajęciem, nie mogąc zrozumieć jakiby był wzajemny stosunek tych dwojga, tak pozornie różnych ze sobą stanowiskiem towarzyskiem jednostek. Po chwili przeniósł oczy znowu na toczącą się ciągle po chodniku falę tłumów i zauważył, że ta fala ma też swój przypływ i odpływ. Około jedenastej wezbrała niepomiernie, zgrubiała, jakby wchłonęła w siebie wody licznych potoków, stała się bardziej ruchliwą i szumiącą. Do kawiarni przybyło odrazu mnóstwo osób. Wszystkie stoliki były zajęte.

Witold wyobrażając sobie, iż nie wypada siedzieć dłużej nad jedną szklanką, kazał po-

dać drugą kawę. Kiedy ją wypił, uczuł w okolicy serca jakby lekkie drżenie i niepokój, jakoby serce przestawało bić na chwilę. Jednocześnie do mózgu napłynął strumień dziwnych myśli, obrazów dalekich, nieoczekiwanych wspomnień. Zrobiło mu się smutno i rzewnie, a myśli owe zaczęły się ubierać w szczególniejsze, niespodziewane połączenia słów, wiązać i dźwięczeć rytmicznie.

— Tam do licha—pomyślał—wiersze układam, czy co?

Powtórzył półgłosem jedną strofkę. Plątało się tam coś dziwnego, jakaś skarga, jakieś narzekanie na los, jęk bolejącego serca.

Ha, ha, ha, co za głupstwo! Policzył zgłoski, poznał wiersz trocheiczny. Ha, ha, ha, zkąd mu się to wzięło, dla czego, po co? — Śmiał się. — Gadam do siebie jak lunatyk i gadam wierszami. Oczywiście, jest to skutek mocnej, doskonałej kawy paryzkiej, poprostu częściowe zatrucie kofeiną. Zazdrośćcie mi o „czarnokawcy warszawscy“, którzy szukacie natchnienia poetyckiego w waszych cukierniach, a pijecie szuwaks rozpuszczony w ciepłej wodzie, na mojem miejscu dopierobyście piękne sonety robili. Czyżby twórczość artystyczna była tylko funkcyą fizyologiczną, a raczej przejawem patologicznym danego organizmu, przejawem, który wywołać można za pomocą che-

micznego działania na komórkę nerwową. Czyżby istotnie te melodyjne pienia wieszczów, któremi się upajają tłumy, nie były niczem innem, jak wynikiem intoksykacyi chwilowej systemu nerwowego poety, lub całkowicie i raz na zawsze zrujnowanego zdrowia człowieka. Rozumiem teraz Boneckich i tych wszystkich zatraceńców ze świata sztuki, którzy trzy czwarte życia nurzają w alkoholu i innych trucizmach, aby zbyt zdrowe z przyrodzenia nerwy doprowadzić do należytego stanu rozklekotania i w stanie tym tworzyć nieświadomie i odruchowo..,

Co to jest właściwie twórczość artystyczna? Czy wszyscy pod wpływem tych samych czynników zewnętrznych mogą dojść do pisania wierszy, malowania obrazów, rzeźbienia posągów, czy przynajmniej mogą wywoływać w sobie odpowiedni nastrój, rytm, wizyę plastyczną?

Witold przypomniał sobie teraz, że obserwował niejednokrotnie przejawy samorzutnej twórczości, ze wszystkiemi znamionami sztuki u ludzi najzwyczajniejszych; było to tylko zawsze pod wpływem jakichś szczególniej mocnych podniet, wyjątkowego napięcia uczuć lub rozszalałych namiętności. Kiedyś w Warszawie, z okienka swej mansardy usłyszał przeraźliwy krzyk. Krzyk ten rozdarł nagle

ciszę nocną strasznym dysonansem, jak ostry zgrzyt stali po szkle i zmroził całego, ściął mu krew w żyłach. Po chwili jednak krzyk ten przeszedł w rytmiczne łkanie i melodyjne minorowe jęki i przelał się w muzyczną symfonię krzyżujących się uczuć. To w sąsiedniej facyatce umarł żyd, biedny krawiec i żona pod wrażeniem ciosu improwizowała wstrząsającą pieśń żalu, skargi i rozpaczy. Gwałtowna fuga namiętnego wybuchu ze zgrozy i przerażenia, przerodziła się z kolei w skandowane miarowo strofy narzekań, żałosnej, przejmującej skargi, a potem wszystko rozpłynęło się w śpiewnym liryzmie rozrzewnienia. I pieśń ta trwała, łagodna chwilami i cicha, jak spokojna kołysanka, to znowu nabrzmiewając akcentami żalu, potężniała w łonie, szarpała się w tempie, stawała się pełną bolesnej grozy. Gwiazdy pobladły już na niebie i szary świt sączył się do izby Witolda, ale on spać nie mógł, wsłuchany w zawodzenia żydówki, przejęty do głębi hymnem bólu, zastanawiał się nad dziwnie artystyczną, harmonijną formą jego. Czyżby to już było sztuką? (Artysta potrafi wywołać w sobie taki stan, kiedy chce, bez realnej, istotnej przyczyny z zewnątrz i tem się właśnie różni od innych ludzi. Potrafi płakać nad urojoną śmiercią urojonej kochanki, urojonego boha-

tera ha, ha, ha. Czy jednak potrafi płakać kiedy zapragnie, czy zawsze wywoła w sobie odpowiedni nastrój? Zawsze. Witold przypomniał sobie swoją kompozycyę.

Zrazu nie mógł wskrzesić jej obrazu, zasuwał się uparcie jakby za matowe płyty szkła, majacząc niepewnymi konturami, wreszcie wyłoniła się marmurowa postać kobiety, w całej plastyce i wyrazistości kształtów, ale jakżeż odmienna od tej, jaką marzył jeszcze dnia dzisiejszego. Miękkość, słodycz wyrazu znikły zupełnie, natomiast wystąpiła jakaś srogość w spojrzeniu i zły sarkastyczny uśmiech w złożeniu wązkich ust.

Rzeźbiarz leży umierający na białym złomie marmuru, a ona potężnym kolanem gniecie mu pierś i zatłacza na ostre zręby kamienia—miażdży i unicestwia. Czuje na piersiach swych to kolano marmurowej olbrzymki, czuje ciężar całej marmurowej postaci i twarde kanty marmuru pod sobą... Ginie: Oczy wyszły z orbit, rękami kurczowo chwyta powietrze—broni się w tragicznej niemocy przeciw okropnościom śmierci. Gdzież się podziało to rozkoszne zachwycenie, ta szczęśliwa, błogosławiona mgła przedzgonna, co zasłania czarną, straszliwą bezdnę. Teraz widzi ją w całej ponurej grozie, więc wije się w rozpacznych konwulsyach agonii.

— Oto „Chimera“ moja. Już wiem — tłomaczy sobie—czarna kawa usposabia djablo tragicznie—usunęła pierwiastek erotyczny, który był punktem wyjścia w pierwszej fazie pomysłu i zabarwiła wszystko na czarno.

Widzi jednak całą grupę z nadzwyczajną dokładnością i podoba mu się — ma ogromną siłę dramatyczną i wyraz. Widzi to straszne potężne druzgoczące kolano, wyczuwa wszystkie muskuły w napięciu, modeluje je, odcinając z nadzwyczajną pewnością. Od kolana przechodzi dalej, podrzuca glinę śmiałą ręką, rosną kształty nóg, bioder, piersi,.. powstaje cała postać olbrzymki...

Matylda!

Twarz jednak o poczciwych psich oczach znikła, rozwiała się — nie widzi jej zupełnie. Potrzebne mu było spojrzenie pantery. Za to głowa rzeźbiarza, straszna, przerażająca, głowa konającego, zaczyna go prześladować swoją okropnością, staje się duszącą zmorą, opętaniem, unosi się jak widmo w drżącem świetle lampy elektrycznej, zaczyna go wprost boleć fizycznie. Przywołuje się do rzeczywistości, stara się zwrócić tok myśli na otoczenie.

Fala ludu sączyła się już wązkimi strumieniami, czasem traciła ściągłość, przerywała się. Ukazywały się już wyraźniej pojedyń-

cze grupy przechodniów, lub pojedyńcze postaci.

Było już po pierwszej — Miron nie przychodził. Witold niecierpliwił się na dobre. Odczuwał ciągłe jeszcze niepokojące drżenie w piersiach i nadzwyczajne rozdrażnienie. Chciał wstać i nie czekać dłużej. Sięgnął do kieszeni po pieniądze i struchlał: Pozostało tam trochę miedzianej monety, która z pewnością nie wystarczy na zapłacenie dwóch „konsomaczi“ w pierwszorzędnej kawiarni. Gdyby nawet wystarczyło na kawę, to jakże się teraz dostanie do domu — nie miał na dorożkę, nie znał drogi, nie uważał nawet jak jechali i w którą należy zwrócić się stronę. Pamiętał tylko, że kołowali długo, że omnibus skręcał i zawracał to w prawo, to w lewo... We wszystkiem zaufał Mironowi, zdał się na niego w zupełności, a teraz znalazł się sam wśród olbrzymiego miasta, bez pieniędzy całkiem bezradny. Usiadł i czekał zacisnąwszy zęby, siedział jednak jak na rozżarzonych węglach, z głową w płomieniach, targany najsprzeczniejszemi uczuciami: złością, zniecierpliwieniem, obawą.

W kawiarni zaczęło się przerzedzać coraz bardziej. Co chwila wstawał ktoś od stolika, płacił i wychodził. Na ulicy ukazywali się coraz mniej liczni przechodnie — zmieniła się

też na ogół ich fizyognomia. Ciągnęły z hałaśliwą wesołością ze śmiechem i śpiewami gromadki kobiet i młodzieży. Do kawiarni podszedł, skradając się na podobieństwo lisa w wyprawie do kurników, drobny, chudy starowina z ogromnym koszem na plecach i zakrzywionym, nakształt dziobu drutem, zbierał porozrzucane po ziemi niedopałki cygar i papierosów.

Przesuwając się między stolikami, ostrożnie, prawie bez szelestu, zgięty we dwoje, wyglądał jak żóraw na żerowisku, tak skrzętnie dziobał tym swoim haczykiem w śmieciach kawiarnianych. Wzdłuż brzegu chodnika ukazała się podobna kreatura z koszem, miała w ręku latarkę i niosła ją tuż nad samym rynsztokiem, pilnie bądając jego zawartość.

Zniecierpliwienie i zdenerwowanie Witolda doszło do zenitu. Nie mógł sobie darować, że pozwolił się tak ograbić, co do grosza, że nie zostawił przynajmniej połowy, wyrzucał sobie przytem, że się zgodził czekać, że wreszcie czekał tak długo, zamiast wyjść wcześniej, kiedy jeszcze kursowały omnibusy i mógł dostać się łatwo do domu. Nazywał to niedołęztwem, głupotą, rozmazgajeniem. Nie miał już nawet pretensyi do Mirona, który robi tak, jak mu wygodniej, ale pocóż on się na to wszystko godzi i to bez protestu, bez słowa obrony. Gdzież

wola, gdzież zdrowy rozsądek, gdzież szacunek dla samego siebie.

— Trzeba być ostatnim głupcem, żeby się tak urządzić — mówił do siebie — i dobrze mi tak. Oczywiście tamten nie drapnął do Ameryki, nie było z czem, ale gdyby stracił wszystko, nie będzie mu miał prawa nawet nawymyślać. Bo właściwie po co było dawać, jak można było wierzyć w jakieś dziwaczne pozory. Jedno jest tylko pewne, że Mironowi potrzebne były pieniądze i zabrał je, jak swoje. Może gra, więc naturalnie przegra i przyjdzie bez grosza, a może już sobie poszedł do domu, nie troszcząc się o niego wcale. Nie przypuszcza chyba, żeby znalazł się ktoś tak naiwny, coby chciał pięć godzin czekać cierpliwie.

Witold zgodził się z myślą, że pieniędzy swych już nie zobaczy. Na razie zaś trapiła go tylko sprawa najbliższa, to jest konieczność uregulowania rachunku w kawiarni i trudność dostania się do domu.

— Skompromituję się — szeptał do siebie i krew falą uderzyła mu do głowy. Wyobrażał sobie, jak cała zgraja fagasów rzuci się na niego z drwinami, z urąganiem, będą go szarpać, ciągnąć do policyi.

Na werandzie już tylko kilku spóźnionych gości dopijało swych szklanek, w kawiarni pod oknem dwóch jegomościów grało w karty na

kwadratowej, obciągniętej zielonem suknem desce. Garsoni układają już z krzeseł piramidy, stoły składają jeden na drugim i wnoszą do wnętrza.

Dochodzi trzecia. Za chwilę rozegra się nieprzyjemna scena. Za chwilę zamkną zakład i Witold będzie musiał opuścić zajmowane stanowisko. Co pocznie z zapłatą?

— A niech się dzieje co chce — uspakajał się zrezygnowany. — Pal dyabli! — Wsadził ręce w kieszenie i zaczął pogwizdywać z fantazyą, jak człowiek nieco podchmielony.

Nadbiegł Miron.

— Przepraszam cię najmocniej — wołał zdaleka. — Przetrzymałem cię trochę, ale zbyt ważne sprawy załatwiałem, powinieneś mi to bądź co bądź wybaczyć. Powiodło się, jak nie można lepiej. Jestem prawie zamożny, przynajmniej w obecnej chwili mam dosyć dla nas dwóch — blizko cztery tysiące franków.

Witold, który gotował się do energicznego wystąpienia, do zerwania po prostu z dawnym przyjacielem, uczuł w sercu swem nagły przypływ niewyczerpanej pobłażliwości.

— Więc grałeś? — spytał.

— Cóż znowu — zapierał się tamten. — Kolosalny obstalunek: pięć portretów jeden po drugim, grupa dzieci etc., na całe kilka lat roboty. Ma się rozumieć, kazałem sobie wypła-

cić proporcyonalną zaliczkę. Skądże ci przyszła na myśl gra jakaś?

Nie wiedział co ma o tem trzymać, nie zastanawiał się też nad prawdopodobieństwem powyższej opowieści, rad był przedewszystkiem, że go uratowano od kompromitacyi, od nieprzyjemnej rozprawy z garsonami, co rzeczywiście przy jego nieśmiałości i drażliwem usposobieniu, przedstawiała mu się w świetle poprostu tragicznem.

Miron też ze swej strony nie dał mu się zbyt zagłębiać w dociekania. Ten niewzruszony, o zimnej krwi człowiek, który przechwalał się, że z najwyższą obojętnością i spokojem potrafi zachować się wobec zmienności losów, literalnie szalał teraz z radości — wybuchał z całą gwałtownością, jakby dając folgę długo więzionym uczuciom. Śmiał się, mówił prędko z nadzwyczajnem ożywieniem, układał obszerne plany prac malarskich i niewyczerpany był w obietnicach dla przyjaciela.

— Masz już przyszłość zapewnioną — wołał w uniesieniu. — Z tą małą sumką nie dałbyś sobie rady w Paryżu. Teraz ręka w rękę pójdziemy naprzód i zajdziemy wysoko. Jeżeli się z małem zaczyna, niezmiernie trudno jest wyjść z zaczarowanego koła: Maciek zarobił — Maciek zjadł. Jeżeli zauważą, że potrzebujesz na obiad, nikt ci nad to jednego szeląga nie da

więcej zarobić, choćbyś miał talent Michała Anioła. Owszem, Paryż wielkie miasto, łatwo tu zginać, ale też i żyć można. Robotę znajdziesz, ale ci zabiorą cały twój czas, a dadzą tyle tylko właśnie, żebyś z głodu nie umarł. To zasada. Dopiero, jeżeli się wykażesz z pewną sumą, że tak powiem, nadwartości, jeżeli przyjdziesz do jednego z takich łapigroszów w eleganckiem ubraniu, z dobrze wypchanym pugilaresem w kieszeni, dopiero będzie gadał inaczej i inaczej ci zapłaci. Oto i teraz, gdybym nie zaimponował filistrowi twoją monetą...

Tu poprawny paryżanin, wbrew obyczajowi, że mężczyzni w twarz się nie całują, objął towarzysza za szyję i bardzo gorąco wycałował w oba policzki. Nikt wprawdzie nie mógł widzieć tej niewłaściwości, gdyż jechali w zamkniętej dorożce do jednej z nocnych restauracyi przy halach centralnych, gdzie zupa z kapusty miała powetować braki zbyt skromnego obiadu w garkuchni George'a.

Dorożka się zatrzymała, wysiedli i znaleźli się w niezbyt eleganckiej, ale zapełnionej elegancką publicznością sali. Panowie, wracający z klubów, młodzież hulaszcza w towarzystwie wesołych przyjaciółek, zapóźniona w zabawie przyjeżdżali tu na dokończenie nocnej hulanki. Bylito ludzie może nieco podejrzanej moralno

ści, ale pod względem zewnętrznego wyglądu przedstawiali się nader dodatnio. Lśniące cylindry panów, pióra, kwiaty i bogate koronki pań świadczyły o tem najwymowniej.)

Ostry szelest jedwabiów i silny zmieszany zapach wszystkich perfum wschodu i zachodu wytwarzał atmosferę oszałamiającą i zmysłową, tak charakterystyczną dla tego Paryża, który się jeszcze może bawić po godzinie trzeciej w nocy. Zresztą jedynym cenzusem, według którego dobierało się towarzystwo w tym przybytku wszech uciech, były wysokie ceny potraw i napojów.

Witold w tem otoczeniu prawie zrozumiał uwagi Mirona, co do swego kapelusza i był trochę zażenowany.

— Wiesz — mówił — kupię jutro cylinder.

— A widzisz, inny świat, inne obyczaje!

Siedli skromnie w kącie, jedli ową zupę kapuścianą z serem i chlebem, jedli świeżego homara, pili piwo angielskie, jakieś doskonałe białe wino i znowu czarną kawę z koniakiem.

Kiedy wracali dorożką do domu, był dzień biały. Słońce zdążyło się już otrząsnąć z sennego rozmarzenia, przetarło z mgieł promienne oko i patrzyło na ziemię jasno i pogodnie.

Zapowiadał się dzień upalny.

Witold, znalazłszy się u siebie, nie próbował nawet spać, czuł, że nadmiar wypitej ka-

wy na długo spędził sen z jego powiek. Podniósł więc ciężką drewnianą żaluzyę okna, siadł na niem i oddał się dumaniu.

Oto drugi już dzień jest w Paryżu — drugi raz ma się położyć spać w pełni budzących się do życia blasków... I co zrobił? Jak żyje taki Miron? Kiedy pracuje?

Myśli rozpierzchały się niesfornie, nie mógł ich zebrać, ująć w karby normalnego biegu. Chciał zaś postanowić, skreślić plan działania.

Trzy wróble trzpiotały się, ćwierkając hałaśliwie tuż pod oknem, w rynnie sąsiedniej niższej oficyny. Jeden z nich brudny, okopcony, widocznie po jakiejś wyprawie do kominów, całe upierzenie miał w najwyższym nieładzie. Piersi nastroszone, poszarpane, świeciły w jednem miejscu różową plamką nagiej skóry, kilka wywiniętych, czy wyrwanych piórek wiewało nad grzbietem; pomimo to miał minę wesołą i ochoczą i za pan brat uwijał się z dwoma tłustymi brzuchaczami, które przy tym wróblu łapserdaku wyglądały na zasobnych bankierów lub kamieniczników. Witolda pochłonęło to zestawienie i nie mógł uwagi oderwać od tej trójcy przedstawicieli wróblego rodu. Przecież i one mają swoją indywidualność i osobistą fizyognomię.

Wtem w oficynie naprzeciwko, prawie na równi z oknem Witolda, otworzyło się małe

mansardowe okienko i ukazała się w niem młoda dziewczynka. Jak mu się zdaleka zdawało, musiała być piękna, smukła, czarnooka. Stała w oknie widzialna prawie do kolan, zmieniała bowiem wodę w wiszącej na oknie klatce, potem usiadła i w ciszy poranka rozległ się klekot maszyny do szycia.

Białe długie płaty płótna migały w jej rękach, refleksując silnym połyskiem twarz i różową materyę kaftanika. To znowu nachylała się nad roletą i słychać było przyspieszony ruch maszyny.

Witold siedział tak długo wpatrzony w głąb skromnej izdebki, obserwując grę refleksów na twarzy szwaczki.

Czemuż dzielność czynu osłabia chorowite dumanie — powtarzał sobie za księciem Hamletem młody rzeźbiarz, siedząc bezczynnie od kilku godzin w oknie swego pokoju. Chciał, jak bohater szekspirowski, odegnać od siebie roje zwątpień i wahań, co niby stado złowróżbnych ptaków, nafrunęły na jego duszę i łopotem czarnych skrzydeł płoszyły wszelkie energiczniejsze porywy.

Sprawa tylko była mniej tragiczną.

Zwiedzał wczoraj muzea, przyglądał się arcydziełom w najwyższem uniesieniu, chodził w niemym zachwycie po olbrzymich galeryach, a opuszczał je z bólem głowy, przybity i zgnębiony. Zwłaszcza nowożytna rzeźba francuska złamała go poprostu, zabiła na duchu, starła na proch, unicestwiła. Kiedy się znalazł w wielkiej oszklonej hali muzeum luksemburskiego, otoczonej białym kamiennym ludem posągów,

tak doskonałych w kształtach, tak nieskazitelnie pięknych, struchlał przed geniuszem plastyków, co te dzieła tworzyli, jak małe chłopię wobec potężnej postaci bohaterskiego wojownika. Uczuł się nikczemnym, upokorzonym w miłości własnej, stracił wiarę w siebie, zaufanie do sił i talentu swego. Dzieła te wydały mu się dziwnie zimne i przerażająco rozumne, ale tak skończenie doskonałe, że doskonałość ta stawała się jedynem i wyłącznem źródłem radości estetycznej. Nie szukał już dramatycznych wstrząśnień, liryzmu uczuć, nie odgadywał metafizycznej zawiłości myśli... Tak, piękny kształt marmuru, czysty rysunek, wdzięczny bieg linii jest alfą i omegą sztuki rzeźbiarskiej.

Więc rzeźba nie wychodzi po za poszukiwania typu form męskich lub kobiecych, odtwarzanie wiekuiste ciała Apolina i Wenery, a harmonia budowy, jędrność muskulatury modelu ma starczyć za przetrawianie się wewnętrzne ogniem uczuć poety, za mozolną pracę mózgową myśliciela.

Oto przepyszny posąg Falguière'a — „Zwycięzca w walce kogutów“ — przez długie czasy nie miał nazwy ani... koguta. Był to sobie chłopak biegnący, wymodelowany z nadzwyczajną prawdą i ścisłością w układzie mięśni naprężonych szybkim ruchem. Przytem przedziwnie harmonijny w proporcyach ciała i jasny w ry-

sunku, więc dla tego skończenie piękny. Później dopiero artysta wsadził mu w rękę koguta i nazwał „zwycięzcą“. Czyż przez to zyskał na wartości artystycznej? Czy ptak ów mógł przyczynić się do podniesienia interesu estetycznego, czy tytuł dodał cokolwiek dziełu, które samo przez się było doskonałem? A oto „Gloria victis“ Mercié'go, utwór, który tak wiele miał powiedzieć narodowi francuskiemu po straszliwej klęsce siedemdziesiątego roku, a Witold przedewszystkiem podziwia nieskazitelny, przeczysty rysunek nóg kobiety, smukłość jej postaci i elastyczność ruchu, nie zastanawiając się prawie nad tem, że owa uskrzydlona postać wyobraża sławę, unoszącą poległego zaszczytną śmiercią na polu bitwy rycerza.

I on to chciał zmuszać glinę do cierpień i radości, chciał zimnym marmurem wstrząsać sercami tłumów, prowadzić je za sobą do wymarzonej na swój sposób krainy dobra, piękna i prawdy, narzucić im czucia, zarazić pojęciami. Ha, ha, jakżeby teraz śmiał wystąpić z niedołęgiem gorączkowych majaczeń, z ubożuchnym tworem niezdarnej dłoni, wobec tych arcymistrzów formy.

Szedł dalej, już nie czytając tytułów dzieł, natomiast uczył się na pamięć nazwisk ich twórców: Paweł Dubois, Chapu, Delaplanche, Guillaume. Wtem uśmiechnął się życzliwie.

Stała przed nim marmurowa grupa Frémiet'a. Mały faun, leżąc na brzuchu, drażnił pręcikiem dwóch niedźwiadków, zwabionych do plastra miodu. Filuterny wyraz fauna i zabawne, niezdarne ruchy niedźwiedziąt składały się na całość pełną wdzięku i pogodnego humoru, co właśnie tak przyjemnie poruszyło Witołda. W tej chwili jednak radość utonęła w rozgoryczeniu. Egoistyczne zawody artysty wyłączały bezinteresowność wrażeń estetycznych. Stanęła mu przed oczami jego grupa, którą wczoraj wymodelował z plasteliny i był z niej w najwyższym stopniu niezadowolony. Miała być wyrazem dramatycznych szarpań się twórczej duszy, a wydawała mu się z powodu właśnie swej pretensyonalnej powagi i dramatyczności pomysłem dziwnie naiwnym, a zarazem strasznie szczudłowym i sztucznym. O ileż artystyczniej przedstawia się prosta, okraszona dyskretnym uśmiechem scena, Frémiet'a, wykonana przecież z nadzwyczajną finezyą świadomego swych środków artysty.

Jakże wspaniałym w dziele sztuki jest ten subtelny przebłysk ironii — ślad, że artysta na dnie duszy swej potrafi odnaleść półuśmiech filozoficznej wyższości dla wszelkich spraw doczesnych, dla marnych wysiłków prochów ziemi.

Czemże właściwie jest cała pieśń, którą

chce zakląć w kształt plastyczny, iżby była kluczem do serc ludzkich, iżby był widomym materyalnym znakiem wszystkich marzeń jego, wmówionych w siebie cierpień, wyśmianych bólów i rozgoryczeń. Czy taki egoizm krańcowy, taki bezwzględny subyektywizm może mieć trwałą wartość artystyczną, może istotnie wzruszać, wywołać oddźwięk w piersiach obojętnego ogółu, może nastroić podług tegoż kamertonu na równie smętną nutę. Czy on sam kiedyś, kiedyś, jako siwiejący ojciec rodziny, syt sławy i zaszczytów, kręcąc młynka tłustymi palcami na dobrze zaokrąglonym brzuchu, nie zadrwi z zielonych uniesień młodości, ze śmiesznej pogoni za chimerą. Ha, ha, ha, wszakże ci wszyscy wielcy to przeważnie starcy i czcigodni obywatele.

Ale ten Frémiet jest arcymistrzem w swej sztuce, opanował ją do ostatecznych, zda się dostępnych dla śmiertelnika granic. A on?

Uznawano wprawdzie jego talent, podnoszono znaczne wyrobienia zawodowe; uchodził za wytrawnego rzeźbiarza i subtelnego artystę. Cóż, kiedy sam teraz uważa się za najniedołężniejszego z niedołęgów.

— Formy, formy — wołał do siebie — doskonałości kształtów, piękna linii! Po za tem niema rzeźby i ja nie jestem rzeźbiarzem!

Pod tem wrażeniem wrócił do domu w naj-

gorszym humorze. Spał źle — zmora samokrytycyzmu siadła mu na piersiach i zwoływała widma sennych widziadeł. Białe marmury i ciemne zzieleniałe bronzy posągów wtłoczyły się ciężko do pokoju i poczęły urągać jego biednej nieszczęśliwej, niemiłosiernie pokrzywionej Chimerze.

— Czego chcesz wiedźmo? patrz, oto twórcy nasi żyją, cieszą się dobrem zdrowiem, używają w pełni dóbr doczesnych, a my jesteśmy piękni jak sztuka sama. Czemże ty jesteś, nędzna parodyo, o członkach wykoszlawionych.

Zbudził się skoro świt, zerwał się z łóżka i siadł w koszuli przed swoją kompozycyą.

— Przepodła!

Na razie chciał ją zgnieść, zniszczyć całkowicie, ale w końcu postanowił odlać grupę w gipsie, wytłomaczył sobie bowiem, iż bądź co bądź będzie kiedyś sprawdzianem rozwoju pojęć i postępu technicznego, owinął ją tedy starannie chustką od nosa i postawił na kominku koło zegara. Postać niewieścia rysowała się teraz pod białym całunem szmaty mistyczną sylwetą w odbiciu lustra i kusić go zaczęła swoją tajemniczością. Odwrócił się więc do okna.

W rynnie ćwierkały wróble, poznał je i oberwańca w zaniedbanem upierzeniu i dwóch tłustych, sytych, starannie wymuskanych brzu-

chaczy. W facyatce naprzeciwko warczała już maszyna do szycia i migało białe płótno w rękach szwaczki, refleksując jej twarz, nachyloną nad robotą. Wzrok, a za wzrokiem myśl cała poszły błądzić do skromnego schronienia dziewczyny... Hypnotyzował go ten ciemny otwór okna... i postać pracownicy...

Mijały godziny.

Ocknął się. Co począć? Uczyć się? Zaniechać niedojrzałych kompozycyi, wyrzec przedwczesnych ambicyi, wstąpić do jakiej słynnej pracowni i zacząć studya od początku — modelować akty, rysować...

— Pocóż chorobliwe dumanie — powtarzał sobie — plan jasny i wyraźny. Przez rok, dwa zamknie się w sobie, skupi w pracy i może dorówna tym... z Luksemburga.

Myśl ta podniecała go naprawdę, uczuł nagły przypływ energii i gotowość do nadzwyczajnych przedsięwzięć. Tęsknił do gliny. Widział już siebie jak będzie rzucał ją pełnemi dłońmi, lepił figurę naturalnej wielkości.

Dziś jeszcze zapisze się do którego z mistrzów — ma listy polecające. Przedtem jednak należy odebrać pieniądze od Mirona. Tak się jakoś złożyło, że mu ich dotąd nie oddał. Restaurator nie mógl zmienić tysiąca franków, po tem rozeszli się. Zresztą niepotrzebne mu były — wziął trochę na bieżące wydatki. Błą-

kał się po wystawach i tak cały w tem utonął, że o wszystkiem innem zapomniał. Teraz oczywiście pieniądze są konieczne. Ubrał się więc pospiesznie i zeszedł o piętro niżej do mieszkania kolegi.

Drzwi były nie zamknięte. Zastał go śpiącego. Zbudzony nagle, łypał nieprzytomnie oczami, przeciągnął się ociężale na szerokiem łożu, ziewnął potężnie, wreszcie podał rękę na powitanie!

Postanowiłem — zaczął Witold — wstąpić do którego z mistrzów.

— Tak należało — potwierdził Miron.

— Sądziłem, że tym sposobem, zanadto ulegałbym wpływom szkoły — tłomaczył się rzeźbiarz — i zatracił własną indywidualność. Już i tak wielu niepotrzebnych manier trzeba się oduczać. Chciałem zostawić sobie najszerszą swobodę rozwoju, przekonałem się jednak, że umiem za mało...

— No, za wiele skromności!

— Bynajmniej. Widziałem ich — przepotężni. Nie mam odwagi tworzyć samodzielnie. Oddaj mi pieniądze, zapiszę się wprost jako uczeń do Falguière'a.

— Dałem ci trzydzieści franków przedwczoraj — przerwał Miron.

— Wydałem.

— Już? no, no — zdziwił się.

— Kupiłem kapelusz, plasteliny... — chciał się usprawiedliwiać, ale w tej chwili chwyciła go, zatargała całym, złość i zniecierpliwienie. Jakto, więc on się ma jeszcze tłomaczyć z tego co czyni, jak używa własnych funduszów, co go to może obchodzić. Pohamował jednak wybuch, ale z całą stanowczością zażądał zwrotu wszystkich pieniędzy.

— Oddaj mi je w całości — mówił — gdyż chcę się ostatecznie urządzić i wiedzieć czego się mam trzymać.

— W tej chwili nie mam — odparł tamten.

— Jakto?

— Przegrałem — zakończył z całym spokojem Miron.

— Przegrałeś moje pieniądze?!

Piekło wściekłości zawrzało w piersiach Witolda. Przegrał jego pieniądze, jego jedyny fundusz, cały jego ubogi majątek, przeciął mu wszystkie środki do życia, odjął wszelkie nadzieje i mówi o tem tak swobodnie, tak bezczelnie. Oburzenie ścisnęło go za gardło, zaszarpało, odjęło mowę. Nienawiść, obrzydzenie i cierpki żal wezbrały w piersiach. Chciał się rzucić na tego obrzydliwego pięknisia, przeciągającego się wygodnie na posłaniu i zdusić go, zdławić, jak szkodliwą i niebezpieczną poczwarę.

Miron, jakby odgadując grę uczuć, całą bu-

rzę szalejącą w duszy towarzysza, usiadł na łóżku, przyjmując pozycyę bardziej obronną i z zabijającą flegmą jął przekładać:

— Widzę, że masz ochotę parskać żółcią i jadem, a poprostu nie rozumiesz sprawy. Masz mnie za szubrawca. Zapewne każdego innego w podobnym wypadku mógłbyś za takiego uważać. Ale nie mnie. Wysłuchajże cierpliwie, co ci powiem.

— Nie masz papierosa?

Witold podał mu paczkę tytoniu. Kręcąc więc papierosa, ciągnął:

— Ja nie gram dla przyjemności, ani przez namiętność, jak większość tych idyotów w klubach, co się do karty palą jak cietrzewie, co gotowi guziki od kamizelek poobcinać, byle grać i grać... Ja gram, żeby wygrać, bo to dziś jedyną moją ucieczką. Ze sztuką to tak: jeżeliś zyskał względy muz, a masz szczęście do handlu, będziesz miał szampana z ciastkami, ale nigdy ani malarstwo, ani rzeźba, ani poezya nie zapewni ci cichego, spokojnego kawałka chleba... Otóż gram, żeby spokojnie pracować dla sztuki i wystąpić odrazu szeroko, a że gram na zimno, z wyrachowaniem i według pewnego systemu, wygrać muszę.

— A widzę — przerwał cierpko Witold.

— Muszę wygrać zawsze; system mój jest

niezawodny i wypróbowany, oparty na najściślejszem wyliczeniu matematycznem.

— Co za głupstwo — wybuchnął — skądże tu może być jakiekolwiek wyliczenie.

— Rachunek prawdopodobieństwa.

— Głupstwo.

— Patrzaj — mówił podając wydobyty z pugilaresu kawałek papieru, zapisany cyframi. — Oto wyliczenie koniecznej wygranej w ruletę. Z tą kartką, mając dziesięć tysięcy franków, przy najgorszych szansach wygrywam sto tysięcy.

— Brednie, androny! — wołał zirytowany — opętanie! Przy zwyczajnych i najzwyczajniejszych szansach przegrasz wszystko, jak przegrałeś moje czterysta.

— Twoimi pieniędzmi wygrałem blizko czery tysiące.

— Gdzież one?

— Potrzeba mi było dziesięciu tysięcy, aby pojechać do Monaco. Przegrałem. Nadzwyczajna wena zbytnio mnie rozzuchwaliła.

— Więc... a zresztą wszystko jedno — zmieniając myśl, wołał Witold; — przegrać cudze pieniądze, no... to trzeba być...

— Nie kończ, proszę cię, jesteś rozdrażniony — rozumiem pewne rozgoryczenie — mitygował tamten z zimną krwią.

— On rozumie, proszę, wspaniałomyślny.

— Za to ty nie rozumiesz nic. Grałem i wygrałem blisko cztery tysiące, na drugi dzień popłaciłem długi, wydałem sporo i zabrakło... powiadam ci na jedną stawkę zabrakło.... Gdybym miał jeszcze na jedną stawkę!...

— Waryat, maniak, pomylony, szaleniec! — wołał w najwyższem uniesieniu Witold, tamten za to z niezachwianym spokojem rozwijał dalej swoje teorye karciane.

— W baczku, uważasz, jak wszędzie zresztą, jest pewna logika, trzeba ją tylko umieć wyczuć. Pozornie ta lub owa karta jest rzeczą przypadku. Kto się jednak baczniej przyjrzy grze, spostrzeże pewną kolejność figur, kolorów... W tym a w tym wypadku, konieczność asów, dwójek i t. d. Po za tem szanse są takie: trafisz lub chybisz.

— Możesz nie trafić raz, dwa, trzy, do siedmiu, prawie niepodobna więcej, zwłaszcza jeżeli się umie ciągnąć; jeżeli się poznało logikę gry. Otóż mając ośm stawek, zanim je przegram, jest zawsze chwila, kiedy jestem wygrany czwartą część ogólnej sumy, wtedy należy zabastować. I każdy człowiek, który potrafi zdobyć się na tyle silnej woli, żeby przestać grać w odpowiedniej chwili, to jest kiedy ma ową czwartą część — musi wygrać zawsze — słyszysz, musi koniecznie, to pewne, jak dwa razy dwa cztery.

Witold, który chodził szybkiemi krokami po małym pokoiku, słuchając w silnem rozdrażnieniu tych wywodów, zatrzymał się przed mówiącym i wyciągając kurczowo zaciśnięte pięści, krzyknął gwałtownie:

— Przegrałeś, do stu tysięcy dyabłów, przegrałeś moje i swoje! Po co mi jeszcze sypiesz w oczy piaskiem idyotycznych teoryi, waryackich rachunków. Jesteś opętany i niech cię piekło pochłonie... Ale co ja temu winien, co ja teraz pocznę?...

— Oddam ci.

— Kiedy?

— Kiedy wygram.

Taki był przy tych słowach spokojny i pewny siebie, że Witoldowi ręce rozpacznie opadły, nie wiedział rzeczywiście, co ma przedsiębrać, jak postąpić. Zmienił ton, nie unosił się, nie krzyczał. Gniew i oburzenie przeszły w stan przygnębiającego rozżalenia i głosem złamanym, zdławionym, skarżył się, jakby sam przed sobą.

— No dobrze, ślicznie, ale co ja będę jadł, dziś, jutro, pojutrze, za co zapiszę się do pracowni, za co kupię gliny... tytoniu?...

— A, bagatela. Z jedzeniem najłatwiej; mam nieograniczony kredyt u Alzatki. Zapłaciłem jej z wygranych przeszło trzysta franków starego długu. Możemy teraz używać, jak psy

w studni. He, he, he... Umie się z ludźmi żyć. W perspektywie jest jeszcze George!

— Chciałem się uczyć...

— Oddam — upewniał z przeświadczeniem Miron. — Oddam, niech mnie dunder świśnie. Byłem się dorwał do stu franków, będę grał skromniutko na ludwika w szmędeferkę. Co dzień dwadzieścia franiów, jak zapisał... Jakoś to będzie — kończył — pełen najlepszych nadziei.

— Więc te obstalunki?...

— He, he, he — śmiał się tamten, jakby niezmiernie rad z konceptu — czekałeś, kochanie, przed lokalem klubu, w którym grywam.

Znojny dzień lipcowy. Słońce stoi wysoko i na kamienne miasto sypie bezlitośne żary rozpalonych promieni. Najlżejszy wiatr nie poruszy drzew, nie strzęśnie pyłu z ich szat przywiędłych — stoją smętne, nieruchome, jakby z zapartym od spieku oddechem; podwinęły pod siebie zazdrośnie skurczone cienie, rzekłbyś, skąpią ich głowom przechodniów. Kontury oddalonych przedmiotów drżą jak w gorączce, w upalnej wibracyi żeżogi. Rozpalone mury dyszą ogniem, rozgrzane płyty chodnika parzą stopy, senna omdlałość rozlewa się w przestworzach, ogarnia wszechstworzenie, słania się wśród liści drzew, gnąc je w bezsilnem, apatycznem opuszczeniu ku ziemi. Środkiem ulicy toczy się ospale dorożka — człapie koń w leniwym truchcie. Pod dorożką zziajany pies, z wywieszonym ozorem, wtulił łeb pod jej pu-

dło i niby pod parasolem, bieży za tą odrobiną cienia. A za tem wszystkiem ciągnie się lekki obłok siwej kurzawy. Na rzece, migocącej złotą i stalową łuską, rozszalała się rozpustna gra świateł i blasków. Przemknął statek, prawie pusty w tej godzinie kanikuły, zostawiając po sobie w powietrzu ostry swąd spalonego węgla.

Przed mostem, w całej bezwzględności skwaru, uwija się pracowicie garść ludzi. Suną jedne za drugimi, obnażone do pasa postaci, dźwigające na plecach ciężkie kosze. To robotnicy wynoszą na brzeg ładunek węgla z berlinki. Stąpają miarowo po wązkich huśtających się kładkach, przerzuconych nad wodą.

Witold stoi nad brzegiem, oparty łokciami o kamienny parapet i śledzi wzrokiem krzepkie, muskularne torsy, nagie ciała, spalone od słońca, osypane czarnym pyłem węgla, świecące od potu, niby bronzowe posągi, pokryte ciemną patyną, z pod której wyziera na wypukłościach połyskliwa powierzchnia metalu. Obserwuje wyprężanie się podtrzymującego ciężar grzbietu, grę mięśni, uginanie się nóg w kolanach, stara się ująć kąt pochylenia ciała, odnaleść punkt ciężkości, zrozumieć mechanizm dźwigania.

— Dźwiga — powtarza sobie — człowiek dźwiga! Oto motyw prawdziwie rzeźbiarski. Dobry obnażony tors męzki, z całem bogac-

twem rozwiniętych mięśni, nabrzmiałych od wysiłku żył, z całą prawdą ruchu i czynu!

I chce dalej robić bardziej szczegółowe notatki w pamięci, ale uczuwa, iż traci zdolność spostrzegania. Oczy spełniają swój obowiązek patrzenia całkiem mechanicznie. Soczewka przepuszcza promienie świetlne, obraz odbija się na matówce, ale ztąd nie przechodzi już do świadomości. Postaci przesuwają się ciągle, jak chińskie cienie w czarnoksięskiej latarni, migają ich ciemne sylwetki, lecz coraz mniej wyraźnie. Natomiast przed wewnętrznem okiem duszy rozwija się barwny kalejdoskop fantastycznych widziadeł.

Nachylone płaszczyzny fal przyjmują jaskrawe promienie słońca pod kątem i odrzucają prosto w oczy snopy oślepiających iskier. Nie może znieść tych ostrych strzał światła; bolą go, kłują, wyżerają źrenice, lecz fascynują zarazem. Z ogniska tych blasków rozchodzą się barwne kręgi... z łona Sekwany w aureoli jasności tęczowych powstaje... ona. Patrzy nań wielkiemi sarniemi oczami... tej dziewczyny z Louvre'u.

— Cóż do licha — przywołuje się do opamiętania — chciałem zanotować w mózgownicy ruch człowieka, dźwigającego ciężar na plecach, a marzy mi się znowu dzieciństwo.

— Głupstwo, gorączka, może z porażenia

słonecznego... Te oczy! Ha, ha, ha. Oczy dziewczyny z cienkim warkoczykiem na plecach, z mysim ogonkiem ha, ha, ha. Oczy dziewczyny w czarnym fartuchu podlotka, ha, ha, ha.

Ale oczy, wielkie czarne oczy, oczy spłoszonej łani zbierają w siebie wszystkie promienie słońca i przepalają go nimi do najtajniejszych głębi, wwiercają się do mózgu...

Przypomina sobie postać dziewczęcia, otoczenie, okoliczności w jakich ją przed chwilą widział. Sala Jana Goujon w Luwrze. Chłodna obszerna sala o kamiennej posadzce, przepełniona posągami. Wchodzą tam z Mironem, aby się przyjrzeć pięknej kopii Nimfy z Fontainebleau Benvenuta Celliniego. Wśród kamieni i murów rozlegają się głośnem echem ich stąpania i ze zdwojoną siłą brzmi wspaniały bas Mirona.

— Widzisz młodego Herkulesa — mówi — co? Bajeczny ananas, poprostu rozpusta muskułów, to już przestaje być piękne... Pokażę ci swoją „Normandkę“, jak ją odbiorę od ramiarza. Zobaczysz co to jest harmonia wdzięku i siły...

Nagle trącił go łokciem.

— A tam — wskazał palcem — jakaś koza udaje Rosę Bonheur.

Na środku sali stał słynny „Diskobol“ — starożytny marmur, zżółkły jak wosk, pokryty

żyłkami pęknięć. Piękny, klasyczny, przysiadł nieco na jednej nodze, gotując się do potężnego rzutu trzymanym w ręku diskiem.

Z boku, bliżej okna, siedziała, zajęta rysowaniem, dziewczyna piętnasto, najwyżej szesnastoletnia, wysoka, smukła, uczesana zupełnie gładko z niewielkim warkoczykiem wiszącym z tyłu. Ubrana była w ciemną szarą sukienkę, nie sięgającą ziemi, na niej zaś wielki, przykrywający całą, czarny fartuch kamlotowy, zapięty z tyłu, taki, jakiego używają dzieci obojga płci w szkółkach miejskich. Z pod krótkiej sukni wysuwał się niezgrabny trzewik z grubej skóry o szerokiej cholewce, w której, jak w zaobszernym futerale tkwiła jej dziwnie cienka noga.

— Wypiór — zauważył Miron — niewypierzona sroka! A zaglądając przez ramię jej na rysunek, mruczał drwiąco pod nosem:

— Patrzcie ją, z jakim ferworem zabiera się do łydek Diskobola, ha, ha, ha, ma gust dziewczyna. Taki bestya grek dopiero pokazałby naszym cyklistom, jak się to wygląda w pończochach *cré bleu!*

Witold zbliżył się również, lecz bardzo dyskretnie, żeby nie zrazić rysowniczki i z prawdziwym zachwytem przyglądał się robocie.

Dziewczyna rzeczywiście modelowała właśnie nogi posągu. Śmiało, energicznie zakła-

dała cienie miękkim węglem, a potem szerokim szczecinowym pędzlem roztonowywała ciemne płaszczyzny z nadzwyczajną zręcznością. Kilku dotknięciami ugniecionego w palcach chleba wyciągnęła silniejsze połyski i bryła nabrała wypukłości i właściwego koloru. Cała figura naznaczona pewnym konturem, trzymała się doskonale w proporcyach, tudzież pysznie stała w posadach. Głowa i tors były już wykończone i pomimo szerokiej węglowej faktury, każdy najdrobniejszy szczegół budowy ciała modelował się plastycznie oraz dziwnie subtelnie.

— Ależ to mistrzowska technika — mówił półgłosem, szczerze zajęty tem, co widział — przytem, jak to postawione. Talent, talent niezaprzeczony!

Na dźwięk słów tych dziewczyna zwróciła głowę w stronę mówiących i oczy jej duże, czarne, głębokie, dziwnie palące oczy spotkały się ze wzrokiem Witolda...

Wyczytał w nich gorącą podziękę.

Pod wpływem tego spojrzenia zmieszał się, uczuł w sobie coś, czego nie umiał określić. Chciało mu się krzyknąć na cały głos: co za dziwne oczy!

— Widziałeś jej oczy — spytał zmienionym zlekka głosem.

— Et koza! — odparł niedbale. — Cóż to, stary dziad jestem, żebym zaglądał w oczy ta-

kim niewypierzonym sikorom. U mnie tak: kobieta dojrzała jest jak dojrzała gruszka. Wtedy ma smak, soczystość i właściwy urok...

Spieszyło mu się na górę, gdzie kopiował dla jednego z handlarzy jakieś arcydzieło Tycyana w tak zwanym „Salon Carré“ na pierwszem piętrze. Więc towarzysza upomina, ażeby koniecznie zaraz poszedł do hrabiego, do którego ma list polecający, gdyż rzeczywiście jest to człowiek, posiadający ogromne i bardzo rozmaite (dodał z naciskiem) stosunki i może być nam dyablo pożyteczny.

— Zrozumże — tłomaczył — że tak żyć z dnia na dzień niepodobna, że musimy wynaleść gdzieś jakąś żyłę złotodajną. Żebym miał jakieś kilkaset franków na *gierkę*... no... jakoś by to było! Na bric-à-brac'ów liczyć nie można. Zamówi który czasami jaką kopię — oryginalnego nic nie kupi. Wreszcie jak oni płacą, kundle. Ten twój hrabia jest sobie podobno golec, pieczeniarz, ale taki właśnie ma mnóstwo znajomości w arystokracyi, między burżuazyą, we wszystkich sferach. Może bestya wynaleść gdzie jaką ciepłą babulę, co się zechce zabawić w mecenaskę sztuki. Bo ja wiem... Może jakie stypendyum, zapomogę, pożyczkę... Wogóle trudno powiedzieć... a zawsze z babami najłatwiej. Stosunki, przedewszystkiem stosunki, to grunt! Bez tego najgenialniejszy artysta zde-

chnie z głodu, jak pies pod płotem. Syp tedy, kochanie, jak w dym i to dziś jeszcze, nie zwlekając, sam widzisz, jak jest podle.

Że było podle, o tem Witold wiedział najlepiej. Miał wprawdzie dotąd dzięki sprytowi obrotnego malarza, zapewnione śniadania i obiady na kredyt, ale gotówki, ze swoich pieniędzy marnego sous nie mógł od niego wyciągnąć. Naturalnie w warunkach takich nie mogło być mowy o pracowni, o modelu, o szkole, o jakiejkolwiek bądź, jednem słowem, pracy. Ogarniała go desperacya, kiedy nie miał na tytoń. Nałóg palenia stawał się teraz najzawziętszym nieprzyjacielem jego spokoju, poprostu nie mógł czytać, marzyć, myśleć. Kręcił się nieraz po mieszkaniu prawie nieprzytomny, jak zgłodniały wilk po klatce, szukając po kątach kawałka zapomnianego papierosa, choćby niedopalonej resztki, rewidował wszystkie kieszenie, czy nie wytrząśnie z nich szczypty tytoniu, aż usłyszał z ulicy charakterystyczne nawoływanie: *marchand d'habits*.

Wołał tedy handlarza starzyzny, sprzedawał mu coś z garderoby za parę franków i znowu zapewniał sobie przynajmniej swobodę dumań na dni parę. Po trochu przecież wyczerpała się całkowicie zawartość walizki tak, że po za kilku sztukami bielizny, został literalnie tylko w tem, co miał na sobie.

— Omnia mea mecum porto — jak prawdziwy filozof pocieszał się — i gdyby mi ktoś, spotkawszy na ulicy, zaproponował podróż, bodaj do księżyca, nie potrzebowałbym nawet wracać do hotelu po mantelsaki. Ha, ha, ha, i to coś warte, takie zerwanie najniklejszych nawet więzów z padołem ziemskim. Teraz dopiero czuję się lekko i swobodnie.

Ale i kredyt w table d'hôte stawał mu coraz bardziej kością w gardle. Przedewszystkiem z powodu dość wysokich cen przejadał tam znacznie większe sumy, niżby to mógł zrobić, stołując się gdzieindziej za gotówkę. Powtóre, gospodyni, tłusta alzatka, jakkolwiek bardzo zacna matrona, krzywiła się już nie na żarty i dawała do zrozumienia, nawiasem mówiąc, bez zbyt delikatnych osłonek, iż radaby nareszcie była zobaczyć się ze swą należnością. Miron nie tracił gęstej miny, śmiał się z tego w najlepsze, a koledze zarzucał tylko brak znajomości serc ludzkich.

— Ty jesteś głupi człowiek — mówił — nie umiesz z ludźmi żyć. Trzeba wiedzieć, jak z kim i co.

Ona lubi koncepty, sypał więc je jak z rękawa. I o dziwo, metoda ta do nadspodziewanie dodatnich doprowadzała rezultatów. Poczciwa alzatka, niby to oburzona, niby dotknięta w godności własnej, uśmiechała się jednak do-

brotliwie, topniała pod wpływem karesów przystojnego chłopca, topniały też jak śnieg marcowy surowe wymagania natychmiastowego regulowania rachunków.

— Mais voyons, mais voyons... O, qu'il est drôle — powtarzała rozbrojona... a kredyt przedłużał się na czas nieograniczony.

Witold czuł, iż nie potrafi zastosować się do wskazań tej szczególniejszej umiejętności życia, z prawdziwą też przykrością znosił niezadowolone mruczenie restauratorki, marząc tylko o tem, ażeby wyrwać się ztąd jaknajprędzej i nie nadużywać jej łaskawości, która zresztą bądź co bądź wyczerpać się kiedyś musi.

Po za tem wszystkiem najmocniej go jednak drażniło, denerwowało, niecierpliwiło to, że dotąd nic jeszcze, ale to absolutnie nic nie zrobił. Mijały dzień za dniem, tydzień za tygodniem, a on w tej zależności ekonomicznej od kolegi, przy ciągłym braku gotówki, nie mógł nic przedsięwziąć, zacząć, postanowić. Do kompozycyi swojej nie zaglądał, bał się jej po prostu. Z pozostałej plasteliny ulepił z pamięci miniaturową figurynkę robotnika francuskiego; istna zabawka. Właścicielka hotelu dawała mu za nią dwa franki, ha, ha, ha. Jeżeli zabraknie tytoniu, to oczywiście odda ją za byle co.

I nic więcej?

Czekał na zmianę losu, spodziewał się czegoś. Czego? Sam nie wiedział. Może już nawet wielkiej wygranej Mirona. Ale Miron przecież nie gra — nie ma za co.

Włóczył się po mieście, po galeryach, po wystawach, to nic nie kosztuje. Czasu ma tak wiele.

Dziś malarz zmusił go wreszcie, ażeby koniecznie nawiązał stosunki z ludźmi, do których miał listy polecające z kraju. Między nimi zwłaszcza był jeden do hrabiego Czelepały, jak go zapewniano, wielkiego znawcy i protektora sztuki, w nim też najwięcej pokładano nadziei. Ociągał się z tą wizytą, gdzieś hen aż na Passy, bo właściwie nie zdawał sobie dobrze sprawy z tego, o co ma prosić tego pana i w jakim przedstawić się charakterze.

Młody rzeźbiarz, artysta -- więc co? Wyciągnąć rękę? Gdyby chociaż miał jaką pracę do sprzedania... Idę dyabli wiedzą po co. Co ja takiego pana, albo taki pan mnie obchodzić może.

Szedł też jak na ścięcie, wśród podzwrotnikowego niemal upału, wyczekując po drodze szczęśliwego przypadku, któryby we własnem mniemaniu usprawiedliwił krok wsteczny przed ową nieprzyjemną wyprawą. Ciągnął wolno, leniwie wzdłuż rzeki, zatrzymując się z powodu pierwszej lepszej przyczyny.

Oto znalazł motyw rzeźbiarski. Zajął się nim, starał się wmówić w siebie, o ile to pilniejszą sprawą byłoby zanotowanie go w szkicu, niż... Zahypnotyzowała go fantastyczna migotliwość wody... Te dziwne oczy, skacząc w rozpromienieniu się tęczowem fali.

Dziwne oczy, cudowny miraż, utkany z promieni słonecznych, tajemniczy jak głębia wód, jasny jak słońce samo, gorejące w najwyższej swej sile na niebie.

Złudzenie!...

Uczuł niepokonaną potrzebę zobaczenia oczu tych w rzeczywistości. Przypomniał sobie ich właścicielkę i zaśmiał się:

— Ha, ha, ha! Jestem jak owa oblubienica biblijna. Dusza moja jest jako prosta fujarka wierzbowa — dmuchnąć tylko, już i gra. Jedno spojrzenie, może przypadkowe, jedno urojenie wytrąciło z równowagi. Któż ona jest. Może zapisana w księdze przeznaczenia, jako anioł dobry, czy zły duch dni moich. Artystka! Ech, poczwarka, z której niewiadomo jaki motyl się wykluje. Niezgrabne buty, warkoczyk, ha, ha, ha.

Pomimo tych uwag zwrócił jednak z drogi i dążył w kierunku Luwru; miał nadzieję zastać rysowniczkę jeszcze na tem samem miejscu.

— Naturalnie — tłómaczył się przed sobą z swej słabości — naturalnie wobec rzeczywi-

stości pierzchnąć musi cały ten świat złudzeń, wywołany skrzyżowaniem się pod jakimś szczególniejszym kątem naszych spojrzeń, jakiemś nadzwyczajnem załamaniem się światła w naszych oczach, chwilową fascynacyą... Bo ja wiem... Skąd mi się to wzięło? Jest mi jednak czegoś... głupio. I przypominał sobie wszystkie zasłyszane teorye i aforyzmy o miłości: kochamy jeden typ kobiety. Dusze mężczyzny i kobiety, jak dwie połowy rozłupanego ziarna rzucone w przestworza, szukają się... Niezniszczalny instynkt istnienia... ha, ha, ha, jakie to wszystko zabawne.

Wchodził właśnie pod arkady Luwru, kiedy doleciał go głos Mirona.

— Aha, ptaszku, to tędy droga na Passy? Tak to pilnujesz interesów?

Stał we framudze między kolumnami w towarzystwie niemłodego już mężczyzny. Otoczeni byli kłębami dymu tytoniowego, który w cichej, dusznej atmosferze trzymał się ich postaci, jak obłok na obrazach świętych.

Witold, jakby przyłapany na gorącym uczynku kardynalnej zbrodni, strapił się ogromnie, krew buchnęła obfitą strugą do głowy, spłonął jak alkermes i nie wiedział co ma odpowiedzieć.

Czy domyśla się, po co wraca? Wstydby mu było być posądzonym o zajęcie się taką...

dzierlatką. Ba, posądzonym?! Byłby odgadnięty. Nowa fala uderzyła do mózgu.

Miron jednak nie domyślał się niczego, nie zastanawiał się nad powodami, które tu sprowadzają rzeźbiarza, nie zauważył nawet jego pomieszania, gromił go tylko za lekceważenie stosunków z ludźmi.

— Czego ty się tak boisz? z każdej znajomości, powiadam ci, można zawsze jakiś pożytek wyciągnąć.

Potem przedstawił towarzysza, z którym dzielił właśnie rozkosze palacze.

Pan Plewiński, artysta malarz — Pan Ordon, rzeźbiarz, mój druh i najbliższy przyjaciel, jeden z najniedołężniejszych ludzi (nie powiadam bynajmniej artystów). Wyciągnąłem — mówił dalej — pana Plewińskiego na papierosa. Toż to się wściec można w tym idyotycznym Luwrze. Żebym ja dla takiego capa bric-a-brac'a siedział tu za marne sto franiów po trzy, cztery godziny bez fajki w gębie, a niechby go paraliż ruszył. Póki życia nie podejmę się czegoś podobnego, żeby mi kundel złote góry obiecywał.

Pan Plewiński uśmiechnął się blado na te słowa i melancholijnie zauważył:

— Można się przyzwyczaić.

Był to człowiek, dobiegający pięćdziesiątki, mały, szczupły, mizerny, z wszelkiemi zna-

mionami niedokrwistości i wyczerpania nerwowego.

Witold znał go już trochę, gdyż widział, kopiującego obraz Pawła Veronesa „Omdlenie Estery“, a zwracał na siebie uwagę szczególniejszym sposobem zachowania się przy malowaniu, jakimś oryginalnym tic'em. Przedewszystkiem dobierając farby na palecie, machał długo nad nią pędzlem, zanim się zdecydował na wybór koloru, kiedy miał już gotową farbę, wywijał pędzlem nad płótnem, zrazu nadzwyczaj szybko, potem coraz wolniej, wolniej, wreszcie kładł ją w odpowiedniem miejscu i wtedy ręka, jakby wyzwolona po nadzwyczajnem wysileniu się na chwilowy spokój, wpadała w jakiś frenetyczny nerwowy szał ruchu w powietrzu. Trwało to kilka sekund, poczem znowu zakreślając w przestrzeni te same bezcelowe esy, floresy, wracała do palety. Robiło to wrażenie przygniatające, jakby jakiegoś malującego automatu. Witold przyglądał się z najwyższem zaciekawieniem i współczuciem owej biednej ludzkiej maszynie, nastawionej tak jakoś specyalnie do poruszania pędzlem, zapamiętał też doskonale, tę zwiędłą, zasuszoną fizyognomię.

— Pan kopiuje Veronesa? -- spytał.

— Od lat dwudziestu i kilku — odparł zagadnięty z dziwnie bolesnym akcentem.

— I tak co dzień?

— Oprócz niedzieli i poniedziałków. Pan wie, w poniedziałek tu froterują, porządkują — nie można. Skończę „Esterkę“ zaczynam „Gody“ i tak w kółko. Teraz pan Miron znieprawia mnie, że niech ręka Boska broni! — wyciąga na fajeczkę. Dawniej nie pozwalałem sobie na to. Do czwartej, panie, kamieniem, ho, ho. To mówiąc, nałożył sobie kaporalem białą, glinianą fajkę i pykając, ciągnął:

— Do tego łatwiej się przyzwyczaić, niż odzwyczaić!

— Wiesz — przerwał Miron — pan Plewiński zna tę małą z „Salle Jean Goujon“. Jak ona, Julcia?...

— Julia Rigaud.

— Więc nie Polka — spytał żywo Witold.

— Niby trochę Polka — mówił stary malarz — trochę moja krewna, jakaś tąm dziesiąta woda po kisielu i trochę nawet uczennica.

— Ogromny talent — zawołał rzeźbiarz z zapałem.

— At, licho wie, może, w każdym razie dziewczyna biedna, lepiejby została modystką. Ja tam odradzam... Wogóle odradzam. I ja kiedyś byłem dobrym uczniem — kończył smutno.

Stało się, iż Witold pewnego pięknego popołudnia wybrał się nareszcie na Passy. Ciągnął ciężko zadumany przez najpiękniejszą dzielnicę miasta, nie zwracając uwagi na otaczający go przepych budownictwa, na bogatą w promiennej światłości dekoracyę dnia letniego. Szedł z mocnem postanowieniem dotarcia do tej fatamorgany nieokreślonych nadziei, jak zbłąkany podróżnik, co wśród ciemnej nocy, w migającem gdzieś w oddali ogniku, widzi niezawodny ratunek i kres niebezpieczeństw nieznanej drogi.

Zaczynało to już być sprawą nader piekącą. Skończył się miesiąc i alzatka najkatc goryczniej w świecie wymówiła kredyt w tabl d'hôte. Nie pomogły najzabawniejsze koncept i solenne zapewnienia Mirona. Po za tem n leżało przynajmniej na dwa tygodnie opłac z góry mieszkanie.

Miron przeniósł się na „wikt“ do George'a i ciągnął tam towarzysza.

— Jest to ostateczność — mówił — bo przedewszystkiem podle karmi i wińsko ma obrzydliwe, a powtóre nie chciałbym tych ludzi naciągać, nie wypada mi nawet ze względu na Matyldę. Ale, właściwie mówiąc, ostateczność to przewidziana. Oddalibyśmy im przed innymi.

Witold jednak pomimo, iż nie miał żadnych szczególniejszych skrupułów wobec Matyldy, nie chciał poprostu ze świadomością nikogo „naciągać“, stracił bowiem całkowicie wiarę w wypłacalność kolegi, a sam nie widział bodaj w dalekiej perspektywie złotego runa. Podziękował więc uprzejmie za protekcyę... i był dziś naczczo.

Stan materyalny malarza przedstawiał się przy bliższem poznaniu w świetle istotnie bardzo opłakanem. Takie mnóstwo długów obciążało jego sumienie, bo oczywiście hypoteki obciążać nie mogło, że całe lata nawet bardzo owocnej pracy nie wystarczyłyby na załatanie wszystkich dziur i dziurek, które mu teraz tamowały swobodne krążenie po dzielnicy. Co chwila musieli zbaczać z drogi, kluczyć, obchodzić innemi ulicami, gdyż tam mieszka krawiec, któremu coś tam winien, ówdzie siedział przez

miesiąc w hotelu, to znowu gdzieś od kogoś pożyczył coś gotówką.

— Kredyt, uważasz, w Paryżu, niezmiernie łatwy — objaśniał. — Zawsze dostaniesz na miesiąc chleba w piekarni, mięsa u rzeźnika, w *episeryi* wszelkich wszelakości; trzeba tylko dobrze wyglądać, mówić z gęstą miną i pewnością siebie, żeby nie myśleli, że żebrzesz. Jeżeli masz porządny surdut na grzbiecie i dobrze odprasowany cylinder na łbie, głodu się nie bój!

— Ależ w końcu trzeba płacić — zauważył Witold.

— Phi — wracał do swego. — Cóż to, jedna dobra gierka, wena jednego wieczoru, kilka szczęśliwych kart... Czy wcześniej, czy później. Ba, gdyby tak trzeba było na malarstwo liczyć?!...

Nie liczył też na nie, a każde zarobione pieniądze niósł do klubu i zostawiał je tam szczęśliwie. Ot i teraz, kiedy dostał sto franków za kopię, nie przyznał się wcale koledze, nie kupił mu szczypty tytoniu, a wieczorem przegrał co do grosza. Na drugi dzień tłomaczył, iż przegrał je dla tego jedynie, że musiał stufrankówkę zmienić i naruszyć pięć franków na drobne wydatki, napiwki dla garsonów; nie wystarczyło zatem na ostatnią stawkę, któraby

go z całą pewnością na nogi postawiła; tak wypadało z rachunku.

Witold już się nie zżymał, nie dziwił, nie unosił, słuchał z desperacką obojętnością i bez słowa protestu opowieści o smutnych rezultatach prób dokonanych i o świetnych planach i niezawodnych kombinacyach na przyszłość. Rozbrajała go ta uparta logika gracza.

— Ten ma także swoją chimerę — mówił — urojenie z całą niemożliwością rzeczywistych połączeń. To także jakiś hezyodowski potwór, skombinowany z kozy, lwa i smoka, unoszący się na skrzydłach fantastycznych rozumowań po widnokręgu imaginacyi. Ściga niezniszczalną marę z uporem szaleńca, a ma tak blisko jeden z najniezawodniejszych warunków szczęśliwości w powołaniu artysty: równowagę twórcy i wykonawcy. Ta jego „Normanka" jest przecież bajeczna.

Byli wczoraj u fabrykanta ram, ażeby mu zaproponować kupno obrazu, za którego oprawienie malarz nie miał czem zapłacić. Ramiarz jednak ofiarowywał cenę tak niską, iż żadną miarą, pomimo, jak to mówią, noża na gardle, niepodobna było jej przyjąć. Sprawa pozostała tedy w zawieszeniu i obraz czeka na nabywcę, któryby go chciał z niewoli „oprawcy" wykupić. Wtedy Witold po raz pierwszy od przy-

jazdu miał sposobność widzieć oryginalną pracę kolegi i był zachwycony.

Na szarej, dzikiej skale, wyskakującej stromym cyplem nad zwichrzone grzywy fal, siedziała kobieta o przedziwnie bogatych kształtach i okiem rybitwy śledziła ruchy majaczejącej na horyzoncie łodzi. Była prawie naga; kawał ciemnej szmaty owijał jej biodra i słał się pod nią w miękkich fałdach na skale. Z pod czerwonej chusty, otaczającej głowę, wypływały obfite strumienie jasnokasztanowatych włosów, po za tem na tle ciężkiego, niby ołów, chmurnego nieba i onyksowo zielonych fal morskich świeciła perłową białością najdelikatniejsza karnacya. Jasno-liliowe i jasno-błękitne tony przecudnie sharmonizowane przechodziły w ostrą biel atłasowych połysków, a przecież biło od tego ciała ciepło, czuć było gorąco czerwonej krwi, tętniącej pod skórą. Cała postać, namalowana z tem szalonem rozmiłowaniem się w kształcie, barwie, tonie, z tą rubensowską zmysłowością w każdem pociągnięciu pędzla, której naśladować niepodobna, a którą się ma we krwi i w temperamencie, działała odurzająco, jak mocne wino.

Nie był to właściwie obraz skomponowany, „na wyraz“, zamykający w całokształcie pomysłu malarskiego jakąś ogólniejszą ideę, ale pomimo tytułu, tła i pewnych akcesoryów, jak

harpun rybacki w ręku i łódź na horyzoncie, zresztą traktowanych pobieżnie, związanych ze sobą nie dość organicznie, bez wielkiej troski o prawdopodobieństwo sytuacyi, malowidło przedstawiało się, jako doskonały akt akademicki, przepyszne studyum nagiego ciała, wykonane z całą pasyą szczerego realisty. Czy „Normanka“ owa zażywała kąpieli, czy nagość jej miała być wyrazem epoki, w której kobiety nie nosiły jeszcze bardziej skomplikowanych strojów, tego malarz stanowczo nie powiedział. Natomiast, każąc jej pochylić się całym torsem naprzód, zaznaczył bogactwo silnie rozwiniętego biustu, sadzając ją na podwiniętej pod siebie nodze, miał możność wymodelowania, uwypuklających się przez skurczenie mięśni, a wykręcona nieco w tył głowa odsłaniała dziwnie harmonijne, klasyczne jakieś linie szyi. Skała powstała prawdopodobnie z paki, na której model pozował, nosiła też na sobie wszelkie cechy roboty pamięciowej, pamięciowe również, bez śladu uprzednich studyów i obserwacyi, były niebo i fantastyczny bałwan morski, liżący zwisającą ze skały nogę kobiety. Wszystko to jednak namalowane ogólnikowo, dyskretnie, utrzymane w szaro-zimnych tonach, jeszcze bardziej podnosiło przepych form i olśniewającą białość niewieściego ciała.

— Matylda! — zawołał Witold, kiedy od-

wrócono obraz od ściany i kiedy uderzył oczy jego blask malowidła.

Miron położył mu rękę na ustach i surowem zmarszczeniem brwi nakazał milczenie.

— Ani słowa o tem — mówił przyciszonym głosem. — Przypadkowe podobieństwo. Zresztą wszystko jedno. Chciałem posłać to do „Salonu“ i nie miałem za co ram wykupić! Psiakrew!

— Rubens, Rubens! — powtarzał zachwycony rzeźbiarz.

— Nie, to jest Antoni Miron, malarz polski — poprawił z dumą — malarz polski, który nie ma na oprawienie obrazu, żeby go wysłać na wystawę! I ja przez tego kajdaniarza, który mi w ostatniej chwili odmówił kredytu na jakieś głupie osiemdziesiąt franków, nie mogłem pokazać światu jak się to ciało maluje, jak się robi blask skóry, tej delikatnej atłasowej skóry kobiecej, jak się robi upał jej krwi, bez „sienny“ rudych i czerwonych sosów, jak się to czuje żywe mięso he, he, he. I pomyśleć sobie: dla głupich osiemdziesięciu franków... Chciałem tego łajdaka rozszarpać na strzępy... Mnie odmówić, odmówić w ostatniej chwili! Byłbym psiakość ukradł; złapał kogo za gardło i wydusił, wycisnął jak pod prasą te marne cztery ludwiki... Szelma się uparła: nie i nie.

Mówił w najwyższem rozdrażnieniu i w tym nastroju rozpoczął układy o sprzedaż. Żądał pięciuset franków, fabrykant dawał sto pięćdziesiąt, przybierał przytem pozory obojętności, więcej nawet, lekceważenia, jak gdyby godząc się na kupno, chciał już tylko pozbyć się natręta. Doprowadziło to Mirona do wściekłości. Targ coraz bardziej tracił charakter zwykłej wymiany propozycyi i wkraczał w granice swarliwej kłótni. Wymyślał ramiarzowi od idyotów, słoniów, pijawek, tępych filistrów, w końcu w ferworze oburzenia zaczął mu wymachiwać pięścią koło twarzy. Fabrykant ze swej strony, gruby, barczysty Francuz, nie pozostał w tyle, i zawijając do łokci rękawy swej białej bluzy, wcale nie dwuznacznie olbrzymie żylaste pięści podtykał pod nos malarzowi.

Trudno przewidzieć, jak daleko zaprowadziłoby to rozindyczone strony, gdyby Witold, zgorszony tak bezwzględnem prowadzeniem przetargów, nie pociągnął był towarzysza ku wyjściu. Jakoż ten rzeczywiście, trzasnąwszy ogromnie drzwiami, aż szyby zadźwięczały, wyleciał z impetem na ulicę, cały blady i trzęsący się od gniewu.

Czas jakiś szli w milczeniu. Miron ponuro przeżuwał w sobie nadmiar wezbranej żółci, ale po chwili, jak pękający granat, wyrzucił z siebie cały ładunek piekielnych przekleństw.

— Daje mi sto pięćdziesiąt franków za takie płótno! Ażeby go rozdęło. Może człowieka krew zalać... Tysiąc franków, jak jeden grosz... Nie rozumie swego interesu. Naraz, zmieniając ton, spytał.

— Pyszna kobieta, co?

— Rzeczywiście, wspaniała, potwierdził Witold z całą szczerością.

— Ba. Taka modelka może być podwaliną karyery artysty, ale też wyszukanie takiego materyału jest właśnie zasługą nielada. He, he, he. Bajeczna! Musiałem też niemało poświęcić, ażeby ją zdobyć. To się modeluje! To jest ciało! Co?

I znowu, jakby myślą tą podrażniony, mówił gniewnie.

— A co oni kupują te filistry zatabaczone, te mecenasy od morowej zarazy: scenki sentymentalne z kotkiem i pieskiem, pejzażyki bez wyrazu z wodą i mostkiem. Kto dziś jak w Grecyi, albo za renesansu, potrafi ocenić jędrność, soczystość i urok ciała? Sto pięćdziesiąt franków! A kłapouchy, kundle, amfibie, gady bez kropli krwi w żyłach, bez zapału, bez namiętności, rzezańcy ducha!... Ale o Matyldzie ani słówka, pamiętaj!

I jakby raz już wyprowadzony z równowagi zimnej obojętności, mówił ciągle w stanie podniecenia i odsłaniał rzeczywiste strony swe-

go temperamentu. Zmysłowiec całą swą istotę ześrodkował we wzroku — wzrokiem widział, dotykał, słyszał, czuł wonie, smakował. Malując zieleń, chciałby ją pożerać jak krowa, garściami chwytać, tarzać się, wdychać zapach ziół. Kiedy maluje kobietę, dotyka się jej wzrokiem tak istotnie, że wyczuwa gładkość lub chropowatość powierzchni ciała, delikatność naskórka, jedwabistość włosów.

— Kiedy uderzam pędzlem — mówił — nie myślę, nie zastanawiam się, nie szukam, robię to odruchowo, czuciem, i wtedy dopiero kończę, jeżeli wymacam na płótnie tę samą miękkość, ciepło i gładkość, co w naturze.

Witold porównywa władze swej percepcyi i widzi, iż po za zmysłowością plastyka, tkwi w nim jeszcze jakiś ton inny, że w wyobraźni jego są jeszcze haczyki, na których czepiają się pojęcia odmienne, coś czego podciągnąć nie może pod żaden z pięciu zmysłów — tęsknota, do czegoś, czego niema w naturze, czego model nie posiada.

Co jest w tych aniołach Cimabuego, Giotta, Fra Angelica, tych płaskich, wynaturzonych prawie postaciach, że przykuwają, że ciągną, że imponują mistyczną treścią, która jest gdzieś, po za widomą skorupą kształtu i barwy?

— Może nie jestem plastykiem — myśli sobie — i stara się sprawdzić proces kształto-

wania się swych wyobrażeń. Ale myśli się rozprzęgły, rozsypały, jak paciorki i nie jest wstanie nanizać ich na sznur kolejności! Toczą się przed nim, za nim, we wsze strony -- nieuchwytne.

Jest głodny. Wyszedł naczczo. Po dwunastej, kiedy minęła zwykła godzina śniadania, uczuł, jakby przesilenie — przykre uczucie złagodniało. Natomiast brak tytoniu daje się coraz bardziej we znaki i to właśnie jest przyczyną roztargnienia.

-- Palić, palić — powtarza.

Przejeżdżał omnibus. Konduktorowi, który wydawał widocznie resztę jednemu z podróżnych na „imperyalu", wysunęła się z palców moneta i upadła z brzękiem na czysty, kamienny bruk ulicy. Ten obejrzał się, machnął niedbale ręką i wielki furgon, nie wstrzymując dla takiej drobnostki biegu, toczył się dalej po wytkniętej drodze, do krańcowego punktu swego przeznaczenia.

— Podnieść pieniądz?

Różowy punkcik świeci teraz w słońcu połyskiem miedzi, hypnotyzuje. Wahał się. Ale kiedy omnibus zniknął na zakręcie ulicy, podbiegł szybko, podniósł monetę, obejrzał się, czy kto nie śledzi i wsunął ukradkiem do kieszeni.

W najbliższym sklepie kupił dwa papiero-

sy, a zapaliwszy jednego z nich niezwłocznie, poczytał wypadek cały za dobrą wróżbę.

— Gdybym wszedł — myślał — „nienapalony“ do takiego pana, zapomniałbym poprostu języka w gębie. Teraz najwyraźniej we łbie mi się rozjaśniło i będę przynajmniej pewny przytomności umysłu.

Jakoż pogodniej spojrzał na ścielącą się u nóg panoramę miasta. Wspinał się właśnie pod górę ulicą Passy, a na lewo ze stoku wzniesienia, połyskując czerwienią dachów, zstępowały szeregi domów ku rzece, na której migotały blaski słońca. Za rzeką dzielnica Grenelle, skąpana w tych charakterystycznych, sino-opalowych mgłach Paryża, wynurzała się z tumanów delikatnie, rzekłbyś złudny miraż, utkany z promieni świetlanych, tak lekko jasnością przebijała się biel domów po przez mglistą oponę powietrza.

Stanął przed numerem 63. Odźwierna na zapytanie o hrabiego Czelepały, nie odrywając się od gazety, którą czytała, odwrócona tyłem do wejścia, rzuciła lakonicznie przez ramię:

— W podwórzu, w głębi ogrodu, na lewo.

Witold wszedł na podwórze, którego połowa odgrodzona drewnianemi sztachetkami, stanowiła ów ogród. Kilka zbiedzonych platanów i jedna anemiczna paulonia, zwieszały smętne, blade, pozbawione barwnika, liście nad kępką

agrestu, zajmującego środek tego wirydaża na dnie studni, studni bowiem wrażenie robił ów niewielki czworobok, ocembrowany murami sześciopiętrowych kamienic. Trzy ściany podziurawione były oknami, czwartą, zgoła bez otworów dla światła, ozdobiono gęstem, dzikiem winem, pnącem się wysoko po misternej kratce z zielonych drewnianych prętów, ułożonych w dowcipny nader rysunek, perspektywicznie wykreślonych, altan. Kręcił się po ogrodzie, upatrując wejścia. Po prawej stronie były rzeczywiśie jakieś drzwi, po lewej za to w tem samem mniej więcej miejscu, oparta o mur, stała krzywo ogromna szafa orzechowa. Była spękana niemiłosiernie, porozklejana, w ogóle nosiła na sobie ślady długich prób zmienności atmosferycznych.

— Gdzieżby tu do licha — myśli sobie — mógł mieszkać taki hrabia. I chciał już ponownie i dokładniej wypytywać odźwierną, ale zbliżył się do szafy. Przybity pluskiewkami, bielił się na niej świeży jeszcze bilet wizytowy, z najwyraźniejszym napisem „Comte Michel de Czelepaly“. Nad napisem, pod koroną dziewięciopałkową, widniała tarcza z wyobrażeniem trzech listków szczawiowych. Zdumiony tem odkryciem, uchylił źle domykających się drzwiczek. Szafa nie miała tylnej ściany, natomiast były za nią zwyczajne drzwi wejścio-

we, a na nich podobna kartka z nazwiskiem i herbem.

Zapukał.

— Proszę wejść — doleciał stłumiony głos od wewnątrz.

Po dwóch niskich stopniach schodziło się w dół do obszernej izby, zarzuconej, jak sklep starzyzny na Pociejowie, przedmiotami najprzeróżniejszej istoty, formy i przeznaczenia. Obrazy, kosztowne gobeliny, figurynki z bronzu, drzewa, porcelany, dywany i materye, książki, trochę starej broni, fajanse i jakieś skorupy archeologiczne. Walało się to po ziemi, leżało na stołach, stołkach, wisiało na ścianach, a wszystko w najwyższym nieładzie. Dwie, ustawione szeregiem obok siebie szafy, przedzielały pokój na dwie połowy. Duszący zapach pleśni, zadawnionego kurzu, niby ze starożytnych lamusów, uderzył o powonienie. Stanął niepewny w półmroku, w odgrodzonej od okna szafami połowie.

— Proszę — powtórzył tenże sam głos, z odcieniem wyraźnego zniecierpliwienia.

Witold, omijając ostrożnie porozrzucane po podłodze sprzęty, posunął się dalej. Za szafami, na szerokiem żelaznem łożu, dostrzegł dziwnie piękną, delikatną głowę starca, przynajmniej sześćdziesięcioletniego, wyglądającą z pod białej kołdry, podszytej grubem, zgrzebnem

prześcieradłem. Sucha, wytwornego rysunku czaszka, obciągnięta matową, blado-żółtą skórą, rzekłbyś — misterna rzeźba z kości słoniowej. Nos prosty, ostry, usta wązkie, ładnie wykrojone; ciemne, przenikliwe oczy, głęboko pod siwemi brwiami osadzone, siwy, dziwnie czystej białości, meszek przypruszający łysinę, tudzież takie wąsy i broda okrągło przystrzyżona, nadawały twarzy tej coś z charakteru weneckiego senatora — tak była pod każdym względem subtelna i arystokratyczna.

— Jestem Witold Ordon — przedstawił się — mam list od pana Zdzitowieckiego...

— A, proszę — przerwał hrabia. — Urwis! Jakże się on ma, ten lekkoduch, wiecznie zakochany? — I nie czekając odpowiedzi, czytał list bez okularów.

— Pan jesteś rzeźbiarzem?

— Tak.

Hrabia skrzywił się, jakby po spróbowaniu cytryny.

— Nie szkoda to czasu i atłasu?

— Zdaje mi się, że mam powołanie w tym kierunku — odparł twardo, dotknięty tem pytaniem, rzeźbiarz.

— Ależ dobrze, dobrze! Tylko proszę, do jakich rezultatów my, słowianie, dojść możemy w sztukach plastycznych. Naszą siłą jest sło-

wo i słowem tylko tworzyć powinniśmy. Proszę. Słowo, sława, — słowianin.

— Gadulstwo — pomyślał Witold i chciał to już głośno powiedzieć.

— W rzeźbie — ciągnął, wykwintnie akcentując, hrabia — w malarstwie, proszę, żaden Polak jeszcze dotąd nic nie zrobił i nie zrobi z pewnością, to nie leży w naszym temperamencie rasowym.

— Ach wiem, mówił to już Klaczko, ale mówił zanim Matejko...

— Matejko?! — przerwał impetycznie stary estetyk — Matejko, proszę, jest archeologiem, historyozofem, czem chcecie, ale nie malarzem.

— Trudnoby mi się było na to zgodzić.

— Czy namalował on choć jedno ciało, proszę? — pytał — jedno ciało, jak Boucher, jak Rubens, jak Tycyan?

— Ciała maluje Siemiradzki.

Hrabia wydął usta.

— Ten zgoła nie ma temperamentu. To „nie bierze“ ça ne vous prend pas, ça vous laisse froid, to zimne, nudne, bezkrwiste.

— Mam przyjaciela — wtrącił Witold — który maluje namiętnie, ogniście ciała kobiece, czy tu się kończy sztuka?

— Nie tu, proszę, istotnie nie tu. Mieszkacie w kraju płaskim, monotonnym, pozbawionym przyrodzonej malowniczości, możecie przy

większej kulturze mieć dobry pejzaż, jak Holender, Szwajcar i Włoch nigdy pejzażystami nie będą, natura ich kraju jest zbyt bogata. Wy możecie, proszę... Chełmoński... prawda! Ale rzeźba? Niema polskiej rzeźby. *Voilà!*

Witold, widząc, że jegomość ten poglądy na sztukę ma całkiem pewne i zdecydowane, nie próbował wszczynać dyskusyi, uśmiechając się tylko blado, zauważył, że się źle wybrał.

— Ależ przeciwnie — zaprotestował hrabia — to sprawy teoretyczne... — Proszę — czem właściwie mogę być użyteczny? Mam stosunki bardzo szerokie i Lolo Zdzitowiecki, najlepiej zrobił, wysyłając go do mnie.

Nastała chwila milczenia, Witold, ściśle biorąc, nie wiedział o co ma prosić tego człowieka, który, wnosząc z otaczającej go mizeryi, sam pewnie potrzebuje pomocy. Z drugiej strony ośmiela go to właśnie i pozwala na całkowitą szczerość — kiedy więc hrabia przynaglał o kategoryczne wymienienie żądań — palnął sobie bez ogródek.

— Poprostu goły jestem jak święty turecki — niech mi pan pomoże wynaleźć jaki zarobek.

— Otóż to zarobek! Ale co, jak...

— Choćby u kamieniarza.

— Głupstwo, quelle bêttise! Cały dzień, proszę, ze zgiętym karkiem...

Nie. Skoro masz być artystą... Nie... Wiesz pan co?...

Tu pan hrabia ciężko zaczął pracować myślą, a rezultatem tej pracy był plan następujący:

Witold zabierze na dorożkę wielki starożytny gobelin, niezmiernej ceny, zawiezie go do pewnej bardzo bogatej pani na avenue Friedland i będzie starał się nakłonić ją do kupna.

— Kupi, czy nie kupi — kończy — zawsze znajomość z kobietami ze świata dla młodego artysty jest ze wszech miar pożądana. — Ale, przyglądając się baczniej postawie rzeźbiarza, zmienia nagle postanowienie.

— Pojedziesz, proszę, zemną na obiad do pani de Rocher. Tak, pojedziemy razem na obiad... Pani de Rocher jest margrabiną, osobą ustosunkowaną, pani de Rocher jest sama artystką — rodzina jej tylko nie pozwoliła wystąpić w operze. Tak, proszę, pojedziemy razem.

W kominku tliło się kilka patyków, na nich stał okopcony imbryk z kawą. Z imbryka kazał gościowi nalać dwie filiżanki i popijając [illegible]tą kawę, która miała być jedynym [illegible] rodzaju przysmakiem w jego przygotowaniu, oczekiwali godziny obiadu.

Jakoż około szóstej, hrabia zwlókl się z łó-

żka i zaczął ubierać. Witold zauważył wtedy, iż protektor jego jest mocno garbaty.

Mała wykwintna głowa wyrastała prosto z ramion, piersi miał wzdęte, wypukłe, a duży guz wypychał gwałtownie lewą łopatkę; stan tak krótki, iż pomimo względnie długich nóg, nie przenosił wzrostem dwunastoletniego chłopca. Kręcił się teraz po pokoju w długiej tylko koszuli, świecąc trupią bladością cienkich piszczeli. Ubierając się, co chwila wyciągał gdzieś z kąta zbutwiały zżółkły kawałek papieru z oryginalnym szkicem Eugeniusza Delacroix, to poplamioną atramentem bibułę, na której inny genialny artysta zostawił kilku kreskami naznaczoną główkę. Pokazywał znowu jakieś kosztowne starożytne cacka, jakieś zabytki dawnej sztuki, zawsze niezmiernie rzadkie i cenne.

Wreszcie pan hrabia, w starym wytartym fraku, zbielałym na szwach, święcącym się na rękawach i wypukłości garbu, jak dobrze wyszuwaksowane buty, gotów był do wyjścia. Przed wyjściem jednak zrobił bardzo szczegółowy przegląd toalety Witolda i niezupełnie był z niej zadowolony, że niepodobna jednak było zaradzić złemu na razie, puścili się zatem na ową wyprawę, nieco zwarzeni. Była też tam jeszcze do przebycia jedna wielce niewygodna pozycya.

Kiedy po przejściu kilku bocznych ulic znaleźli się na stacyi omnibusowej, hrabia wszedł tam i wyniósł dwie tabliczki z numerami porządkowymi dla wsiadających; rzeźbiarz uczuł gwałtowną potrzebę zrejterowania, przed ewentualnością przyznania się do braku pieniędzy na jazdę. Zmieszał się, zaczerwienił... wreszcie z desperackim humorem wybuchnął:

— Ha, ha, ha, paradna będzie podróż, bo ja właśnie nie mam ani jednego *sous* w kieszeni.

Stary hrabia zaczął bić powietrze rękami i śmiał się, zachłystując w zabawnem kukuryku, jak młody kogucik.

— Hi, hi, hi — piał — prawdziwy artysta-cygan. No, proszę, ja przecież zapłacę, ja zapłacę... Wziął go przyjacielsko pod rękę i poprowadził do nadjeżdżającego w tej chwili wehikułu.

Gdy zasiedli na górze, rozpoczął się prawdziwy wykład umiejętności życia. Pan hrabia, jako człowiek wielkiego doświadczenia, obdarzony przytem wrodzoną przenikliwością, pomimo bardzo niedawnej znajomości z rzeźbiarzem, poznał, że młody ten człowiek posiada zachowanie się nieco „feniańskie“, że śmieje się zbyt głośno, szasta nogami zamaszyście, że, jednem słowem, jest za mało dworski. Osoba, do której jadą, jedna z zamożniejszych dzie-

dziczek, dziś jeszcze prowadzi dom na stopie wysokiej wytworności, do czego jest przyzwyczajona z urodzenia i wychowania. Dobry ton przedewszystkiem.

— O, bez wszelkiej sztywności — podrywa nagle — bez krępowania się zaściankowego. Owszem, swobody, jak najwięcej swobody, jak najszerszej swobody, ale tej pełnej wdzięku swobody sfer wyższych. Sztywność towarzyska jest właściwością dorobkiewiczów, drobnego mieszczaństwa, które na swe buldoże pyski nakładać musi kagańce, aby się nie wyrwać z grubiaństwem i prostactwem. Ludzie światowi zachować mogą najszerszą wolność w stosunkach, bo wszystko mogą powiedzieć i uczynić w formach estetycznych. Oni to mają we krwi, to jest treścią ich istoty. Artyści zaś dochodzą do tego drogą intuicyi i poczucia piękna. Pan jesteś szlachcicem? — spytał nagle.

— Podobno.

— Ba, podobno?! dobry ród, stary i z tradycyą, ja wiem najlepiej. A, proszę, jesteś pan nie szczery — demokratyczne uprzedzenia. Dla artysty to zbyteczne, to nawet szkodliwe. To psuje harmonię sztuki z życiem, czyni ją zbyteczną lub tendencyjnie obniża jej olimpijskie pochodzenie. Oni potrzebują chleba i igrzysk, cyrku i melodramatu, ci demagogowie... Ja na

pańskiem nazwisku, hi, hi, hi! proszę, więcej buduję tymczasem, niż na jego talencie...

Tu ścisnął go znacząco za łokieć.

— Potem — ciągnął dalej — można się nazywać choćby Duran i mieć maniery poganiacza wołów — wybaczą. Kiedy sława szeroko rozbłyśnie — wybaczą, hi, hi, hi! Demokratyczna Francya pod rządami episeryów zatraciła tajemnicę dobrego tonu. My tu w małem zamkniętem kółku, jak garść druidów, przechowujemy jeszcze niewygasły znicz tradycyi wytworności. Zobaczysz, proszę, jakby inny świat, jakby te sto lat brutalstwa, co się przewaliło nad ziemią, w niczem zepsuć nie mogły dawnej stylowej piękności stosunków towarzyskich. Komplementy, wiersze, madrygały, romans... Staraj się pan być przyjemnym; staraj się podobać...

Wysiedli. Na pierwszem piętrze willi, stojącej w głębi ogrodu, hrabia zadzwonił. Drzwi otworzyła młoda, ładna dziewczyna, w białym czepeczku na głowie i z miniaturowym białym fartuszkiem na strojnej ciemnej sukni, eleganckiej paryżanki.

Pokojówka — uważa za stosowne objaśnić pan hrabia — do niedawna pani de Rocher trzymała własne konie i lokaja, teraz zmuszona chwilowo obniżyć stopę wydatków. Proces

z rodziną... hi, hi, hi!... kłopoty... Ma kłopoty piękna pani de Rocher...

Wprowadzeni do gustownego salonu, udekorowanego ściśle w stylu Ludwika XV, biało ze złoceniami, zasiedli na małej kanapce obitej jasnym jedwabiem w kwiaty Pompadour. Na konsolach, na kominku, stolikach porozstawiane wazony i figurynki z sewrskiej starej porcelany, stały się przedmiotem bardzo zajmującej prelekcyi z dziedziny starożytnictwa, gdyż rzeczywiście wszystkie te drobiazgi nosiły na sobie cechy dawnego pochodzenia i przypominały żywo nastrój ubiegłej epoki. Wtem wśród przytłumionych szelestów długiej fałdzistej szaty, z miękkiego białego kaszmiru, udrapowanej niby tunika pogańskiej kapłanki, srebrnym sznurem, stanęła przed nimi, jak czarodziejska ewokacya, majestatycznie piękna kobieta i melodyjnym, pełnym zalotności głosem, rzuciła:

— Niegodziwy hrabio! pozwalasz czekać na siebie kobiecie.

— O, najpiękniejsza — porwał się z emfazą stary światowiec — przebacz, przebacz, zaprzedanemu niewolnikowi twych wdzięków.

Tu usunął lekko szeroki, opuszczony, jak wylot, rękaw sukni i przypiął się ustami do okrągłego, toczonego przedramienia pani de Rocher.

— Wybacz Thaido opóźnienie — a wskazując na Witolda, ciągnął: — Oto winowajca mimowolny. Oto młodzieniec, którego tu wiodłem, aby był olśniony i stracił zmysły u progów wiosny swego żywota, jak ja je tracę na schyłku jesieni. Pan Ordon, mój rodak, artysta rzeźbiarz, pełen świętego uwielbienia dla piękności, spieszy, aby, o olimpijska, złożyć należny hołd najdoskonalszej.

Piękna pani z czarownym uśmiechem wyciągnęła białą, wypieszczoną rękę.

— Będzie pan u mnie mile widziany. Polacy są rycerscy. Dzięki hrabiemu, znam ich kilku.

Witold, posiadający mało obycia towarzyskiego, a tem samem nieśmiały i niezręczny w zachowaniu się, teraz jednak, czy to z powodu bombastycznej przemowy swego protektora, o której ściśle biorąc, nie wiedział, co ma trzymać, czy też pod wpływem ujmującej grzeczności i istotnie nadzwyczajnej łatwości obejścia wielkiej pani, uczuł, iż go opuszcza zwykła trema salonowa, z całą też swobodą, z całą pewnością siebie chwycił podaną rękę i wycisnął na niej szeroki pocałunek.

Hrabia z udaną rozpaczą załamał ręce.

— Ten mi zabierze względy bogini!... Panie — groził palcem — będziemy mieli ze sobą rozprawę.

— Drogi hrabio — śmiała się pani de Rocher — nie zabijaj światu artysty, taki młody... Każę podać trzecie nakrycie i siadamy do obiadu.

Ale hrabia jeszcze raz wystąpił z przemową:

— Młody człowiek, przez usta moje błaga, abyś mu wybaczyła, że ośmielił się przyjść do pani nie we fraku, porwałem go z ulicy...

— Oh, mój Boże, między przyjaciołmi...

Służąca oznajmiła, że do stołu nakryte.

Pod koniec obiadu byli ze sobą jak starzy, dobrzy znajomi. Nadzwyczajny wdzięk i swoboda, z jaką gospodyni domu przyjmowała swych gości, wnet przełamał pierwsze lody wzajemnego poznania się, wytworzyło się od razu jakieś błogie, sympatyczne ciepło, topiąc je doszczętnie i nieprawdopodobnie szybko. Poprostu nie może zrozumieć, skąd mu się wzięła lekkość ruchów, łatwość wytwornego wysławiania się, humor niewymuszony, jednem słowem, piękne maniery światowca, których dotąd w sobie nie podejrzewał. Istotnie czuje, że zachowanie się jego jest pod każdym względem bez zarzutu.

— Czarowne działanie prawdziwie estetycznej atmosfery. Stworzony jestem — tłomaczy sobie — jako artysta, do życia wśród przepychu i wytworności, wśród miękkich draperyi, pięknych mebli, harmonijnych barw i woni. Jestem tu w swoim żywiole. Nic mnie nie krę-

puje, nie dolega, nie drażni. Ręce mi nie zawadzają, jak w salonikach mieszczańskich, gdzie zawsze miałem ich o dwie za dużo i nie wiedziałem, co z niemi począć. Nie myślę o nich, nie szukam mozolnie tematu do rozmowy, jest mi dobrze... He, he, he -- przypominam sobie — przyszedłem tu głodny jak pies, zgnębiony, nieśmiały. Niby ostatni nędzarz podniosłem po złodziejsku jedno sous, na które obojętnie machnął ręką konduktor omnibusu. A teraz w wytwornem towarzystwie jadłem suty, wymyślny obiad, piłem wina, których konduktor nie zna nawet z nazwiska. Głupie sous, coś się wymknęło z rąk konduktora... jedno marne sous biednego konduktora!... He, he... jaki ja wtedy byłem mały wobec ciebie.

Przeszli na czarną kawę do małego gabinetu, sąsiadującego z salonem. Duszno tu trochę od ogromnej ilości róż, porozstawianych w bukietach, których zapach łączył się z silną wonią jakichś dziwnych drażniących perfum. Przesycone nią były ciężkie portyery, firanki, meble i miękki puszysty dywan, zaściełający cały pokój i wielka skóra białego niedźwiedzia, leżąca przed kanapą.

Czerwone blaski zachodzącego słońca przenikają dyskretnie przejrzystą zasłonę okna.

Siedzą na małej kanapie obok siebie rozbawieni, rozigrani...

Hrabia jest nieoceniony. Nieporównany w komplimentach, improwizuje madrygały... Cóż to za niewyczerpana studnia pomysłowości. Jest jak olbrzymi trybularz, buchający odurzającym dymem wonnych, zawrotnych kadzideł. A jaki przy tem zabawny. Udaje zazdrosnego, chodzi, podrygując po pokoju, gestykuluje długiemi rękami... Wybiegł do salonu i gra tam na fortepianie starego melancholicznego gawota. Pani śmieje się srebrzyście, całą pełnią duszy, szczerze, jak rozbawiona dziecina.

Siedzą obok siebie na miękkiej małej kanapie, tak blizko, że czuje ciepły zapach jej włosów, czuje na ręku falowanie, poruszanej jej oddechem, białej sukni, a miarowość tych subtelnych, ledwie wyczuwalnych poruszeń, pieści go niewymownie i odurza. Ona dolewa mu Maraschino do kawy. Boi się pić, ażby inne odurzenie nie zatarło tamtego, ażeby nie zatracić świadomości błogostanu. Tak trwać...

Ona jest piękna, pięknością bóstw greckich, wspaniała, majestatyczna, olimpijska. Klasyczny rysunek profilu, oko ciemne, płomienne, usta mocne, czerwone, jak dojrzały granat, krwawiący się szkarłatem w blaskach słońca...

— Może malowane? Pani jest w każdym razie po trzydziestce! Nie, nie, nie! ona jest w najpełniejszym rozkwicie wdzięków, jest właśnie u apogeum niewieściego uroku! Jej kształty

rozwinięte, pełne rozkosznych obietnic, jej płeć gładka, świeża, przejrzysta, nęcąca białością skóry, słodkim zapachem ciała, jest najpożądańszym owocem rozkoszy, jest streszczeniem wszechrozkoszy ziemskich, jest samą rozkoszą.

Gdyby mógł ją rzeźbić. Wyczuwa pod palcami dotknięcie ciepłej wilgotnej skóry...

Siedzą obok siebie na małej miękkiej kanapie. Ona, nachylając się po kieliszek z likierem, dotknęła jego policzka puklami swych wysoko, po grecku uczesanych włosów; lekkie, jakby zwiany pyłek kwiatu, musnięcie połaskotało twarz jego. Dreszcz przebiegł ciało i wrażenie łaskotania trwa jeszcze, choć czyn skończył się dawno. Dobre, błogosławione wrażenie.

Pani de Rocher opowiada o występie swoim w operze. Nikt z rodziny o projekcie nie wiedział. Stało się to zupełnie w tajemnicy. Dopiero po tem... Ach... cały szereg scen i awantur. Pan de Rocher nie posiadał się ze złości, groził procesem rozwodowym. Poczciwiec, co mu to szkodzić mogło. Mój Boże, ona tak sztukę kocha. Ach, teatr, blask kinkietów, wielka doskonała orkiestra, brawa, oklaski, upojenie, ach!

Piękna pani przechyliła w tył głowę, przymknęła oczy i pogrążyła się na chwilę we wspomnieniach.

Czerwone blaski w oknie nikną po trochu, natomiast gęstnieją coraz bardziej wieczorne mroki, mętnieją w nich kształty przedmiotów, łagodnieją ich kontury, zatracają się barwy, wszystko zapada w jakiś ogólny ton mistycznej niepewności. Z salonu dolata cicha, spokojna symfonia. Hrabia fantazyuje o szarej godzinie przy fortepianie... może historyę swych zawodów miłosnych.

Witold patrzy na sylwetę pięknej kobiety, rysującą się teraz na tle sinej plamy okna, widzi jak wznosi się westchnieniem pierś jej pełna i ma ochotę zawołać jak hrabia: O, najpiękniejsza!... Ale on to powie inaczej, on to wykrzyczy z duszy ogromnie. Wprost z duszy wyrwie ten wyraz, co mu się ciśnie do gardła spazmatycznie i dławi go...

— Krzyknę, krzyknę. Przecież odczuje niekłamany wybuch uniesienia i wybaczy. Każda kobieta wybaczy najdzikszą formę zachwytu dla swych wdzięków, jeżeli wyczuje szczerość wzruszenia.

— Pan nie śpiewa? — pyta go nagle.

— Nie pani, niestety — odpowiada, siląc się na spokój, głosem drżącym — bo ma nieprzepartą potrzebę wybuchnąć...

Jednym haustem wypija kieliszek likieru.

— A szkoda, śpiewalibyśmy razem. Tak

chciałabym mieć w panu partnera... Będę pana uczyła śpiewu.

— Nie wiem, czy by to się na co przydać mogło, bo głosu, zdaje się, nie mam wcale.

— Zdaje się? A zaraz zobaczymy, chodź pan do fortepianu.

Wzięła go za rękę i poprowadziła za sobą do salonu, gdzie rozlegały się ciągle łagodnie przytłumione dźwięki rozmarzonej muzyki hrabiego. Witoldowi żal się zrobiło owego rozkosznego sam na sam, ociągał się więc, jakby chciał przedłużyć do nieskończoności krótką drogę do drugiego pokoju, gdzie się mieli znaleźć w obecności osoby trzeciej. Wreszcie tuż przy wyjściu z przytulnego ustronia, kiedy mieli unieść fałdy ciężkiej draperyi, zwisającej u drzwi, ujął obu rękami jej ręce i silnem namiętnem uściśnieniem zatrzymał na miejscu.

— Pani — zaczął i chciał wypowiedzieć wszystko, co mu się teraz szarpało w piersiach. Zdawało mu się, że byle tylko rzucił pierwsze słowo wyznania, płomienie tłumionego pożaru wydrą się z szaloną żywiołową gwałtownością na zewnątrz, ogarną ich oboje i zaświecą wspaniałą łuną miłości. Ale głos mu się złamał.

— Tak odrazu? Zkąd, dla czego?

Przeraził się. Krew pulsuje gwałtownie, bije w skronie, jak młotem, rozsadza czaszkę...

Wpił się wzrokiem w jej oczy, wżarł głęboko do dna istoty i krzyczy tym palącym wzrokiem namiętne słowa, których usta wymówić nie mają odwagi, a ona krzyk wzroku jego usłyszała i nie gniewa się, nie oburza...

W przedpokoju dał się słyszeć dzwonek.

— Mam dziś wieczorem kilka osób, gramy trochę w karty — objaśnia. — Mój Boże, ot tak z nudów, dla rozrywki... Zagra pan z nami?

— Ja — zaczął się jąkać — ja grać? Nie grywam... w ogóle nie grywam. I chciał w szczerości przyznać się, że nie ma grosza w kieszeni. Wstrzymał się jednak i śmiał się w duchu z siebie.

— Ha, ha, ha! ja grać, tu? ha, ha, ha!

W salonie zamilkł fortepian, natomiast rozległy się szybkie kroki kobiece, przy akompaniamencie charakterystycznego szumu nakrochmalonych spódnic. Zabłysła lampa pod czerwonym abażurem, potem druga i trzecia, rozwidniając długą perspektywę pokoju o lśniącej posadzce, pociętej słupami odbitych w niej świateł. Słyszy głosy męzkie i kobiece. W wązkiem polu widzenia, ujętem w ramy portyer buduaru, stanęła postać eleganckiego, z żółtemi bokobrodami, pana we fraku; przesunęła się szeleszcząc jedwabiami strojna pani. Witają się z hrabią. Witold uważa, że jego nie-

pierwszej świeżości żakiet będzie raził wobec tych fraków i jedwabi, że zostać tu dłużej żadną miarą nie może.

— Pożegnam panią — mówi.

— Tak. Nie zatrzymuję pana teraz, ale pan będzie o mnie pamiętał. O, bardzo proszę. Mój Boże, sama jestem i nieraz bardzo się nudzę, będę panu bardzo rada.

Pani de Rocher nie spieszy się do gości. Trzymają się ciągle za ręce. Ma jeszcze tak dużo do powiedzenia swemu nowemu przyjacielowi przed rozstaniem! Tyle planów usnuli przy obiedzie: Rzeźbiarz przyniesie jaknajprędzej jaką figurkę, jedną ze swoich prac, a ona, u której mnóstwo osób bywa wieczorami, bardzo łatwo potrafi ją sprzedać. Wystarczy postawić na stole w salonie, ażeby ściągnąć pożądliwe spojrzenia nabywców.

— Będą się przelicytowywali, skoro im powiem, że to dzieło młodego Fidyasza, którego ja wynalazłam. Artyści powinni wzajemnie się popierać.

Ona ma tyle zapału, uwielbienia dla sztuki, tyle ognia świętego, i radaby się wyrwać z otoczenia snobów, wśród których okoliczności ją postawiły; niechże przynajmniej wyzyska te stosunki na korzyść artysty. Rzecz zatem ułożona, zadzierżgnięty węzeł serdecznej przyjaźni. Pani czeka na przesyłkę i na najspieszniejszą

wizytę. Choćby jutro. Znajdzie on zawsze o siódmej nakrycie dla siebie przy stole pani de Rocher.

Całuje ją w rękę po raz nie pamięta już który.

Do salonu tymczasem przybywa więcej gości. Ukazał się teraz starszy jegomość, zabawnie podrygujący na długich cienkich nogach. Twarz ma suchę, bladą, okoloną siwemi, krótkiemi faworytami. Siwy wąs, krótko przystrzyżony, dopełnia całości. Oto doskonały okaz przedstawiciela „dawnego porządku“

Witold wychodzi, nie żegnając się nawe· z hrabią, wprost do przedpokoju. Tam owa ładna pokojówka z pełnym gracyi gestem i wdzięcznym uśmiechem podaje mu laskę i kapelusz.

Jeszcze jedno uderzenie krwi do głowy, tym razem... z zażenowania...

— Dziękuję—mówi jaknajuprzejmiej, a myśli sobie: wiele też takiej eleganckiej pannie należało by wsunąć w rękę przy ceremoni przyjęcia od niej laski i kapelusza.

Na drugi dzień odesłał rzeczywiście szkic plastelinowy do pani de Rocher. Odesłanie to właściwie należy rozumieć pod przenośnią, gdyż naprawdę było tak, że sam odniósł opakowaną w gazety „Chimerę“ swoją do odźwiernej, prosząc o wręczenie jej pani na pierwszem piętrze. Z wizytą przecież wybrać się jakoś nie mógł, choć ciągnęło go tam okropnie. Nadzwyczaj serdeczne przyjęcie poprostu zawróciło mu w głowie. Chodził rozmarzony, dyalogował ze sobą, układał piękne zwroty, jakiemi będzie przemawiał do tej wytwornej kobiety. Chciałby ją olśnić, podobać się jej... podbić...

— Tak — myślał — jestem zakochany, niema co ukrywać przed sobą... i ona mnie kochać musi.

Przypominał sobie najdokładniej wszystkie szczegóły rozmowy, rozkoszne sam na sam

w buduarze... i płonął pragnieniem odnowienia tych wrażeń, sprawdzenia czy nie jest igraszką złudzeń, zaślepienia, czy nie przesądza znaczenia słów, uśmiechów, spojrzeń, które były tylko może zdawkową towarzyską grzecznością, a on je wziął...

— Ha, ha, ha! Czyżbym miał odegrać tu rolę pazia, wzdychającego do dumnej królowej? Czy nie wydrwi mnie boleśnie, okrutnie, jeżeli zdradzę się z uczuciem; czy nie wypędzi z oburzeniem? I opanowywało go rozrzewnienie. Czemże on jest, że śmiał podnieść oczy na kobietę tej miary. To znowu straszna bezdenna tęsknota ciągnęła go w stronę jej mieszkania, chodził jak zakochany trubadur pod oknami willi. Wejść nie śmiał. To byłoby zawcześnie... a pozatem nie miał odwagi znaleźć się tam w warunkach, w jakich był po raz pierwszy. Źle ubrany, głodny, skrępowany i onieśmielony swą nikczemną sytuacyą wobec wielkiej pani, sytuacyą człowieka, co zjada obiad u kogoś, bo nie ma swojego — obiad u pięknej kobiety! Pójdzie tam we fraku, jak każe zwyczaj, elegancki, wyświeżony, z bukietem kwiatów w ręku, w całym rynsztunku światowca.

Mijały dnie. Tymczasem położenie materyalne stawało się coraz bardziej ciężkie. Pewnego poranku, kiedy wychodził z hotelu, zaczepiła go właścicielka, upominając się bardzo

stanowczo o opłacenie zajmowanego mieszkania. Witold prosił o cierpliwość, upewniał, iż wkrótce załatwi to niezawodnie, gdyż oczekuje na większe pieniądze. Ale ta, z dobrotliwością poczciwej kobiety, zaczęła mu przekładać, że właściwie człowiek tych co on kondycyi niepotrzebnie zajmuje pokój za 40 franków, skoro gdzieindziej znaleźć można gabinecik za jakieś 25 franków, odpowiedniejszy przecież do jego środków materyalnych. Gdyby u siebie miała coś w tym rodzaju, chętnieby mu wynajęła, ponieważ jednak w hotelu są tylko mieszkania wytworniejsze, przeto nie będzie nawet już żądała wynagrodzenia za te kilka dni, które u niej przesiedział ponad termin. Radzi mu tak oczywiście przez życzliwość, poznawszy położenie lokatora.

Poznanie tego położenia przyszło jej niezmiernie łatwo, gdyż wszyscy w hotelu zauważyli, że młody człowiek od jakiegoś czasu, chodząc po pokoju, przegwizduje godzinę śniadania, co istotnie z jego strony było grubą nieprzezornością; cały Paryż bowiem między jedenastą a pierwszą niezmiennie oddaje się rozkoszom stołu i tylko już ostateczna nędza może zmusić kogoś do uchybienia powszechnemu zwyczajowi.

Ubodło to w najwyższym stopniu miłość własną artysty, upokorzyło niewypowiedzianie,

tembardziej, że istotnie czuł w głosie pani właścicielki akcenty szczerej dobrotliwości i współczucia, nie mógł się więc gniewać ani oburzać, upewnił ją tylko z dumą, siląc się na możliwie najwyższy ton godności, że jakkolwiek lada dzień dostanie większą sumę, wyniesie się wszakże z hotelu dziś jeszcze, ażeby nie narażać jej na niepokój. Wszystko zaś co dotąd winien, uiści w jak najkrótszym czasie.

Chciał się zobaczyć z Mironem, nie zastał go w mieszkaniu, udał się więc do siebie na piąte piętro. Zmienił bieliznę, zostawiając brudną na łóżku; papiery, rysunki, szkice spakował do dużej teki, wziął ją pod pachę, kapelusz na głowę, laskę w rękę i gotów był do opuszczenia pierwszej swej paryskiej siedziby. Przedtem jednak podniósł roletę, aby rzucić wzrokiem pożegnanie sąsiadce z okienka. Ale nie dojrzał jej przy maszynie, natomiast zdawało mu się, że w ciemnej głębi izdebki widzi Mirona, podkręcającego żelazkiem wąsy przed lustrem. Wytężył wzrok silniej.

— On niezawodnie! — Machnął ręką.

W rynnie ćwierkały wróble...

Wręczając właścicielce hotelu klucz od pokoju, zostawił u niej tekę i prosił o oddanie malarzowi, skoro wróci, jak również o oddanie mu wszystkich listów, któreby pod adresem Ordona nadejść mogły. Ukłonił się bardzo

grzecznie kapeluszem i wyszedł, wywijając zamaszyście kijem i pogwizdując marsza.

— Ha, otom nareszcie bez ostoi na falach życia, jak łódź zbłąkana — bez dachu, jak ptak niebieski.

Szedł przed siebie. Dokąd, po co — nie wiedział, nie zastanawiał się. Prawdopodobnie przyzwyczajenie zaciągnęło go do Luwru. Przypomniała mu się Julia Rigaud. Och jakże nie chciałby jej teraz zobaczyć!... Natomiast radby się spotkał z Plewińskim, który swoją melancholią, chorobliwą jakąś tęsknotą i smutkiem dziwnie przypadł Witoldowi do usposobienia; skierował się więc na górę wprost do „salonu kwadratowego“. Malarza jednak, ku wielkiemu zdziwieniu woźnych, nie było dziś na stanowisku. Od dwudziestu lat może po raz pierwszy się nie zjawił — on taki regularny. On najwcześniej rozkładał rano swój kawałek ceraty na podłodze, ustawiał na nim stalugi, tudzież wysoki pokryty słomą stołek i machał pędzlem nad płótnem, wywijał w nerwowej drgawce ręką, nie ustawając na chwilę w pracy.

— Coś niezwyczajnego stało się „panu z *tic*'em“ — mówili do siebie słudzy muzealni — to nienaturalne.

Witold doznał z tej racyi przykrego zawodu. Poczytał to sobie za znak złowróżbny, uczuł się strasznie opuszczonym i osamotnio-

nym. Błądził jakiś czas obojętnie po galeryach. Potem wolno, zatrzymując się dla pierwszej lepszej przyczyny, wybierał się do Luxemburga. Stawał przed wystawami sklepowemi, czytał tytuły książek, rozłożonych w kramach „bukinistów“, co zasiedli w tej dzielnicy wzdłuż brzegów Sekwany; przeglądał tam stare sztychy i litografie. Nie widzi jednak tych rzeczy, nie może się skupić, nie wie poco zatrzymuje się, co go zajęło, co czyta. Obraz pani de Rocher opanował niepodzielnie wyobraźnię. Widzi ją łaskawą, ujmującą, jak siedzą razem na małej kanapie tak blisko siebie, że czuje ciepło jej oddechu... To znowu dumna pani marszczy brwi groźnie...

— Nie, nie... ona go nie odepchnie, przecież jest artystą...

Trawi go potrzeba zobaczenia jej, szaleje tą potrzebą, przepala mu ona mózg, wwierca się do szpiku.

— Nie pójdę przecież do niej; włóczęga bezdomny, paryas wyklęty, bez adresu, ha, ha, ha! Człowiek bez adresu!

— Pański adres?

— Nie mam adresu, łaskawa pani, ha, ha, ha!

Wydostać skąd kawałek fraka! Fraka za wszelką cenę! I już się widzi, jak wyświeżony we fraku z olśniewającej białości gorsem

u koszuli, w nowym cylindrze, dzwoni do mieszkania pani de Rocher, jak ładna pokojówka otwiera drzwi. Wychodzi ona. Wita go uśmiechem zadowolenia. Nie mówi tego, ale najwidoczniej rada jest, że się ubrał dla niej...

Posiadanie fraka staje się teraz zmorą jego myśli. Owłada całem jestestwem, pali gorączką.

Gasi straszne pragnienie przy jednej z fontan Wallace'a. Cóż to za dobroczynna instytucya te fontanny! Jasny kryształ wody spada brylantowym sznurkiem; dwa kubki wiszą na łańcuszkach... Przytknął spieczone wargi — rozkosz, orzeźwienie.

Dowlókł się tak do Luxemburga, nie poszedł jednak do muzeum, ale usiadł w ogrodzie i przyglądał się zabawom dzieci, które tu zbiegają się gromadnie. Jak wróble miewają swoje uprzywilejowane drzewa, gdzie zlatują ze wszech stron, niby na jakiś sejm ptasi i przeraźliwym świergotem zagłuszają potężne odgłosy miasta, tak tu ten drobiazg ludzki zapanował wszechwładnie, nieopisaną wrzawą, jaką napełnia powietrze. Zajmowały go kiedyś te zabawy, ten nadmiar energii małych istotek, wyładowywany z jakąś bezprzykładną rozrzutnością, z jakąś szaloną fugą i rozmachem, a tak przecież wdzięcznie i estetycznie. Dawniej godzinami całemi obserwował zwinne harce wy-

rostków, ich elastyczne skoki i żywe giesta, to znowu bawiły go niezmiernie komiczne, niedołężne, a pełne szczególniejszego interesu ruchy niemowląt, ich pierwsze niepewne kroki.

Dziś zajmuje go sprawa inna.

— A jednak ja muszę się ubrać, muszę mieć frak.

Postanawia bądź co bądź zobaczyć się z Mironem. Niechże on coś poradzi, ma może kredyt? Pozatem czuje potrzebę wygadania się — milczenie, samotność, stają mu się nieznośne. Ale gdzie go znaleść? Wieczorem u George'a. Do wieczora daleko... Nie może dosiedzieć na miejscu. Pogadać z kimkolwiek, o czemkolwiek! Zrywa się i prawie biegnie na rue de Rennes, może złapie Boneckiego. Nie zastał go jednak w pracowni. Przyjął go we drzwiach Francuz, słynny rzeźbiarz Lefebre. Piękny mężczyzna, z długą jasną brodą, przyjął go we drzwiach, gdyż miał modela.

— Bonecki? — mówił — oho, dziś go pan pewnie nie znajdzie, hula od kilku dni... dobrze hula — dodał ze śmiechem.

Pozostało mu już tylko doczekać się cierpliwie godziny obiadowej, aby pochwycić Mirona, nadciągającego do garkuchni. Jakoż rzeczywiście już o piątej znalazl się na ulicy Gît-le-Coeur. Jak żóraw na warcie trzymał się około szynku George'a, chodził po trotuarze

tam i z powrotem, kiedy chwycił go ktoś silnie za ramię. Obejrzał się — poznał Boneckiego.

— Chodź ze mną na litr wina do George'a.

— Nie mam pieniędzy.

— Głupiś, ja płacę — odpalił tamten impetycznie.

— No, kiedy tak, to idę.

George przywitał ich serdecznie, do Witolda poprostu wystąpił z pretensyą, że go nie odwiedza.

— Miron tu u mnie jada, kanalia, na kredyt — mówił — ale to nie przepadnie, ja w niego wierzę. On daleko zajedzie — ma, szelma, zdolności i umie z ludźmi żyć. Nie dziś, to jutro...

Bonecki, śmiejąc się szeroko i rozdzielając swoim zwyczajem klapsy na prawo i na lewo między znajomych, a miał tu ich sporo i ze wszystkimi był na ty, kazał podać wina. Zasiedli przy stoliku i pili cierpkie, kwaśne, ordynarne wino czerwone, za 80 centimów litr. Dobre to może przy jedzeniu, ale Witoldowi, który był głodny, nie bardzo szło ono do gardła. A głodny był okropnie, od rana nic nie jadł, teraz więc na widok mięs, jarzyn, sałat, spożywanych przez sąsiadów, uczuł poprostu przypływ śliny do ust. Obrzydliwość, ślina mu

idzie jak psu, któremu położono smaczny kęs na nosie i długo nie zawołano: pyf! Zdaje mu się, że pochłonąłby całe ćwierci mięsa, całe bochenki tego długiego metrowego chleba.

— Cóż to, obiadu nie jesz? — spytał Boneckiego.

— Ha, ha, ha, nie mam jeszcze apetytu. Szkoda pieniędzy na żarcie, wolę pić.

— Ja bo, przyznam się, głodny jestem i nie znoszę wina bez jedzenia.

— Tak mi gadaj, hu, hu, hu!

Kazał podać sera i chleba. Wyborny ser francuski i chleb ten zaspokoiły pierwsze najdotkliwsze uczucie głodu, za to wino na czczy organizm zaczęło działać ze zdwojoną siłą. Po drugiej szklance uczuł mocne podniecenie, jakiś gwałtowny przypływ energii, jakąś nieprzepartą potrzebę wywnętrzenia się, szczerości, rozlewności uczuć, chęć szerokiego rozgadania się.

— Hej, hej... świat przed nami! — wołał. — Nieraz myślę sobie, wszystko dyabła warte: Sztuka, miłość, przyjaźń, przywiązanie, życie samo... Ale, kiedy się człowiek natknie na serdecznego chłopa, kiedy się wygada od duszy, wyżali, co go świerzbi, co gniecie, co dolega — raźniej się robi i weselej i różowiej. Co tam, kopie los nogami, bo kopie, drze za łeb i poniewiera, jak zła macocha — ale psiakość nie

dam się... Polak twarda bestya jest. Daj pyska.

— Daj pycha, zielona małpo — wołał Bonecki — i wzięli się w objęcia.

Wszedł na to Miron, stanął na środku izby, ujął się pod boki i śmiał się szyderczo:

— A ci już sobie dogodzili.

Ale Witolda nie zraziło urągliwe zachowanie się kolegi, owszem wołał serdecznie:

— Siadaj z nami. Nie róbże ze siebie zimno-krwistego płaza, skoro takim nie jesteś. Poza, kochanie, poza — znamy się na tem! Masz serce, boś artysta... Siadaj.

Jakoż Miron przysiadł się do nich i istotnie pod wpływem ciepłej atmosfery i on zapalać się zaczął, zapomniał o roli sztywnego dżentelmena, którą sobie narzucił, a która mu czasem bajecznie ciążyła. Pil kiepskie wino, nie grymasił, nie krzywił się i wpadał w najlepszy humor, rozgadał się, rozkrochmalił na dobre, stawał się niezmiernie czuły i serdeczny.

Przedewszystkiem nawymyślał Witoldowi za piramidalnie idyotyczne załatwienie sprawy w hotelu.

— A mówiła mi „proprieterka", mówiła. No, trzeba być szczytnym idealistą, że nie powiem inaczej, ażeby się pozwolić tak głupio wysadzić z własnego mieszkania. Człowieku,

kiedy ty się rozumu nauczysz! Kiedym się dowiedział, myślałem, że trzasnę ze złości. Uniósł się ambicyą! A psiakość słoniowa, a tożbym babie naurągał jak psu w koryto, za wglądanie w cudze sprawy. Co ją obchodzi, co ty jadasz? Zresztą mówiłem ci: zachowuj pozory...

— Ba, ależ nie płaciłem za komorne, to ją przedewszystkiem obchodzić musiało.

— O, święta naiwności! Nie, nie wytrzymam. George — wołał — George, podaj tu litr wina, niechże mu się we łbie rozjaśni.

Przyniesiono nową butelkę.

— Ciebie przedewszystkiem obchodzić powinno, gdzie będziesz mieszkał.

— Hu, hu, hu! — śmiał się Bonecki — to tak jak ja... ja też nie mam mieszkania i nic mnie nie obchodzi...

— Gdzież sypiasz? — spytali obydwaj.

— W pracowni u tego waryata Lefebre'a.

— Ależ on już wrócił, byłem tam — wtrącił Witold.

— Hu, hu, hu! a co mnie to obchodzi.

— Dobryś!

— A bo nie! Jeżeli mu się nie podoba, to niech sobie innej budy szuka. Mnie tam dobrze.

— I to racya — zauważył Miron. Zwró-

cił się do Witolda z zapytaniem, co myśli ze sobą począć?

Witold wzruszył ramionami.

— Pójdzie ze mną. Zabieram go ze sobą na „szlafkamrata“ — rozstrzygnął kwestyę Bonecki.

— Lefebre będzie wściekle uradowany! — śmiał się Miron.

— Hu, hu, hu! a co mnie to obchodzi.

Pili dalej czerwone wino. Witold otrząsał się, dostawał poprostu gęsiej skórki na ciele po każdym łyku... ale temperatura się podnosiła.

*
* *

Włóczyli się jeszcze długo we trzech po winiarniach, kawiarniach, szynkach ostatniego rzędu. Około północy jedli w „brasseryi“ szynkę z kapustą, pili piwo, mnóstwo kawy i znowu wino czerwone. Bonecki, zupełnie pijany, zachowywał się w sposób nadzwyczaj hałaśliwy, przyczyniając tem towarzyszom niemałego kłopotu. Lubił się popisywać siłą, a miał istotnie niepoślednią. Chwytał naprzykład dorożkę za tylne koła i rozpierał się nogami tak potężnie, że koń nie mógł na razie ruszyć z miejsca. Bawiło go niezmiernie żdziwienie woźnicy. Ale kiedy podniecone batem zwierzę mocniej szarpnęło, Bonecki, szarpnięciem tem pociągnięty,

padał na bruk twarzą i rozbijał sobie nos. Nie zrażało go to jednak do dalszych popisów, a koledzy w obawie, ażeby podobne próby nie pociągnęły za sobą poważniejszego szwanku, powstrzymywali go z całej siły od tych doświadczeń.

Miewał też i inne pomysły, nie zawsze zgodne z przepisami o spokoju publicznym, stąd częste zajścia jego ze stróżami. Wprawdzie jako były żołnierz francuski, odbył bowiem służbę wojskową w marynarce, umiał się z nimi porozumieć i z zajść tych, przyznać trzeba, wychodził szczęśliwie, w każdym razie awanturniczość jego doprowadzała do rozpaczy towarzyszów, którzy jakkolwiek również mocno podnieceni, zachowali przecież znaczną część świadomości.

Witoldowi ciążyła chęć wygadania się przed Mironem o pani de Rocher. Widział teraz wszystko w kolorach różowych, uczuł skrzydła u ramion, jakieś zuchwalstwo ducha, wierzył w siebie, w Mirona, wierzył, że jeżeli się malarz dowie o jego stosunkach w świecie, pomoże mu wyekwipować się, wystroić... dostarczy środków... A tu ten pijak zajmuje ich swoją osobą. Wtem Bonecki odsunął się, zacisnął w kąt kawiarni i pogrążył w ponurej zadumie. Zmarszczył groźnie czoło, patrzał przed siebie okiem błędnem, jakby przerażonem i mruczał

pod nosem bezładne słowa, snuł jakiś pijacki monolog.

— Już się urządził — zauważył Miron. — Chwalić Boga, odpoczniemy trochę.

Wtedy Witold, cały rozpłomieniony, jął mu opowiadać o poznaniu pani de Rocher, o serdecznem przyjęciu, o tem nawet, jak mu to w głowie zawróciło. Czuł potrzebę szczerego wyspowiadania się.

Mironowi oczy zaświeciły.

— Chłopie, w czepkuś się rodził! Ale bo ty potrafisz wyzyskać taki stosunek?... Gdybym to ja był na twojem miejscu. No, gadaj — nalegał — gadaj, jak to wygląda? Kto tam bywa? Wiesz, kobieta w życiu artysty, to wszystko... Pani George Sand dla Chopina... coś tego... licho wie...

I Witold z całą ścisłością, malując najmocniejszemi i najbardziej jaskrawemi barwami, odtworzył obraz pierwszej swej wizyty. Wreszcie kiedy wspomniał o tem, jak zaczęli się schodzić goście na grę w karty, Miron aż się poderwał z miejsca.

— Grają? — wołał — grają? Oczywiście w baccara. Nie, chłopie kochany, to ty mnie tam wprowadzisz. Baczek idzie... No, mnie tam potrzeba, nie ciebie. Jaki to los ślepy. Dałeś temu, co nie może... Zaprowadzisz mnie, zaprowadzisz — wmawiał. — O fraki się po-

staramy, wysztyftujemy się bajecznie, jak ci tam margrabiowie. He, he! jeżeli się widzi poważny cel przed sobą, warto jest głową pokręcić.

Stanął przed nimi Bonecki, zapieniony, straszny, z oczami wychodzącemi z orbit i klnąc okropnie, upominał się o zwrot pieniędzy.

Rzeczywiście w chwili rozczulenia, pożyczył przedtem Witoldowi pięć franków, teraz przeszukawszy kieszenie i nie znajdując w nich ani grosza, wymyśla mu od złodziei. Witold dotknięty tem, chciał mu je natychmiast zwrócić, ale Miron powstrzymał go za rękę.

— Co się będziesz z pijanym liczył, daj mu co odczepnego i basta. Jutro będzie ci wdzięczny, żeś mu nie oddał wszystkiego.

Jakoż dał mu tylko dwa franki. Bonecki pozwolił sobie wmówić, iż nic więcej od niego nie brano. Udobruchał się trochę i podszedł do bufetu, żeby się czego napić, ale szynkarz, widząc przed sobą człowieka już bardzo pijanego, odmówił stanowczo. Bonecki zaczął krzyczeć, wymyślać i rzucił mu w twarz trzymaną w ręku monetę. Na to podbiegło dwóch drabów, złapali awanturniczego gościa pod ręce i z nadzwyczajną sprawnością wyrzucili za drzwi.

— Śliczna kompania! — wściekał się Mi-

ron — ładne towarzystwo! A niechby go jasności ogarnęły. Tak ludzi swoją małpią figurą kompromitować! Wyrzucają szuję za drzwi... Z takimi się wdać... Kolega, artysta, żeby go pokręciło. Wstyd, wstyd, hańba!

Na Witolda tymczasem wypadek ten podziałał w sposób odmienny. Zarumienił się również ze wstydu, ale zarazem brutalne wyrzucenie kolegi poczytał sobie za obrazę osobistą, za obrazę wyrządzoną całej sztuce, a przynajmniej wszystkim artystom polskim. Ogarnęła go furya bojowa. Porwał karafkę z wodą mrożoną i gotował się do ataku.

— Ha — wołał z zaciśniętemi zębami — to tak traktują artystów, i my to mamy darować?

Miron wstrzymywał go i starał się mitygować.

— Dajże pokój. Oni są w porządku, po co się schlała bestya...

Jakoż w tej chwili podbiegł, kłaniając się bardzo grzecznie, właściciel zakładu i przepraszał za to, co się stało z „przyjacielem“ tych panów.

— Jesteśmy skrępowani przepisami — mówił. — Nie wolno sprzedawać trunków pijanym pod karą policyjną. Takie jest prawo.

Przyjaciele uznali przeproszenie to za satysfakcyę wystarczającą, uregulowali niezna-

czny rachunek, tak, że Witoldowi zostało się jeszcze dwa franki i opuścili spiesznie szynkownię.

Szeroki, gęsto zadrzewiony bulwar cichy był i pusty w tej chwili. Na ławce siedział Bonecki, płacząc żałośnie. Kapelusz spadł mu z głowy i leżał o kilka kroków na ziemi, a on nie mogąc go dosięgnąć, narzeka po francusku, zawodząc:

— Wszyscy przeciwko mnie, wszyscy, nawet mój własny kapelusz!

Kiedyindziej widok tęgiego mężczyzny, dzielnego rzeźbiarza, tak sponiewieranego, rozpływającego się we łzach, przygnębiłby Witolda, teraz wybuchnął pustym śmiechem.

— Ha, ha, ha, paradny!

Miron machnął pogardliwie ręką.

— Zwierzę! No, do jutra: u George'a na obiedzie. Pogadamy o planach, co do tej pani. Użyję wszelkich sposobów — moneta będzie. Zobaczysz! warta gra świeczki...

Z temi słowami zagłębił się w cienie rozłożystych kasztanów i Witold został sam z pijanym. Z niemałym trudem dociągnął szamocącego się i opierającego siłacza na ulicę des Rennes. Ale nie tu jeszcze koniec utrapieniom. Bonecki spać nie mógł, nie pozwalał więc zasnąć towarzyszowi. Łaził po pracowni, zataczał się, potykał, upadał, klął, krzyczał, śpie-

wał, dźwigał ciężary, wyzywał Witolda do zapasów na ręce.

— No, kto mocniejszy, kto mocniejszy? — bełkotał uparcie.

— Pozwól mi spać — prosił tamten. — Odurzony, zmęczony, wyczerpany szamotaniem się, czuł ogromną potrzebę snu, oczy mu się kleiły, położył się więc na ziemi na niewielkim dywanie, zaściełającym jeden kąt pracowni. Na dywanie tym leżało trochę szmat, co stanowiło posłanie Boneckiego. Innego wygodniejszego legowiska tu nie było.

Obszerna szopa, bez sufitu, jak większość pracowni paryskich, z górnem oświetleniem, to jest szerokiem oknem w dachu, pozbawiona była prawie zupełnie wszelkiego umeblowania. Stało tu tylko kilka krzeseł, wyplatanych słomą i dwa fotele „woltery“ z wysokiemi oparciami. Po za tem, przy nikłych blaskach świecy, biusty, poowijane w mokre ścierki, tajemniczo majaczyły w półmroku. Na środku wielka figura na podstawie, również obwieszona płachtami, sterczała wysoko nad wszystkiem. Ponuro tu było, niby na jakiemś starem cmentarzysku. W ciemnym rogu rusztowanie z drzewa i żelaznych prętów, przygotowane do większej kompozycyi, rzekłbyś straszny kościotrup, świeciło nagością żeber. Szafliki z gliną, ku-

py gliny na ziemi, konewki do wody, oto wszystko...

Bonecki, rozebrany już, awanturował się na swym barłogu w dalszym ciągu. Witold, chcąc być dalej od niego, ułożył na ziemi oby-dwa woltery plecami do siebie. Wysokie, wyściełane ich oparcia improwizowały wcale nieźle długi wązki materac, na którym też niezwłocznie zasnął.

Zbudził się wcześnie, skoro świt, złamany, storturowany, z drżeniem i strasznym niepokojem w piersiach, z niesmakiem w ustach i niesmakiem w duszy. Jest zły, rozdrażniony do najwyższego stopnia, pali go strasznie pragnienie. Wstał, napił się wody i znów się położył, ale spać już nie może, choć w głowie mu się kręci i kości bolą. Rozejrzał się po pracowni:

Glina! Pełno gliny, w szaflikach, na ziemi... Pozaczynane dzieła! Zerwał się, podbiegł do wielkiej figury i uchylił zasłon. Była to postać niewieścia z rozpuszczonymi włosami, wytworna w kształtach, ale bez wyrazu. Siedziała na ciężkiej bryle, niezdecydowana w ruchu, jakby nie wiedziała co począć z rękami. Podniósł inną ścierkę — modelował się pod nią biust męzki, śmiały, energiczny. Dalej stała głowa starca, zupełnie skończona, wydrążona wewnątrz, przygotowana do wypalenia. To zno-

wu ledwie zaczęte popiersie kobiety — wyłaniające się z chaosu, kształty głowy, ramion i piersi. Uczuł nieprzepartą potrzebę zanurzenia rąk w glinie, wytarzania — w wilgotnej, tłustej ziemi, potrzebę lepienia.

Bonecki, przykryty szarą, spłowiałą, niegdyś zieloną draperyą, spał, leżąc na wznak, wśród szmat, bezładnie rozrzuconych. Głowa zwisła mu na dół — straszna głowa z rozbitym nosem i szeroko otwartemi ustami. Jakiś koszmar pijacki siadł widocznie na mózgu i niepokoił sen jego, bo zmarszczył czoło, krótko przystrzyżone włosy zsunęły się tuż nad brwi zciągnięte. Krzywił się okropnie, mruczał, poruszał ustami, lecz nie zmieniał pozycyi. Piersi nagie, ogromne piersi atlety, ciężko dyszały, wychylając się z pod fałdów przykrycia.

Znalazł sporą kwadratową deskę, narzucił gliny i zaczął w niej modelować głowę śpiącego. Było to coś, niby okropna twarz i pierś topielca, wynurzające się do połowy z wody, owite w pnącze i wodorosty. Lepił szybko, gorączkowo, namiętnie. W parę godzin powstał szkic pełen siły i wyrazu. Straszna głowa patrzyła przeraźliwie oczami bez źrenic; spojrzał w te oczy i aż się wzdrygnął, tyle tam było jakiejś grozy, rozpaczy, beznadziejności. Model zmienił pozycyę, ale to nie

przeszkadzało już artyście, dzieło swoje miał całe w wyobraźni.

Około ósmej zbudził się Bonecki. Usiadł w kucki na posłaniu i tarł mozolnie czoło, jakby sobie chciał coś przypomnieć. — Potem gorączkowo zaczął przetrząsać kieszenie ubrania.

— Czego szukasz? — spytał Witold.

— Nie mam ani grosza, ani grosza!...

— Pożyczyłeś mi pięć franków.

— A, a... to dobrze, jucha, to dobrze... daj mi cokolwiek.

— Kiedyś mi potem odebrał.

— Jucha!... Odebrałem?... a, a, nie trzeba było oddawać.

— Ja też dwa ocaliłem.

— Jucha! dwa, dwa... To daj mi jednego... Muszę wypić choć pół litra wina, nie mógłbym robić, nie mógłbym, a, a, a...

— Oddam wszystko.

— Nie, nie, jednego, na litr wina. Litr wina wystarczy.

Ubrał się prędko, wziął franka i butelkę, a po chwili wrócił, niosąc wino i funt chleba. Twarz mu się śmiała. — Zjadł chleb, wypił część wina i dopiero spostrzegł robotę Witolda.

— A, małpa zielona — machnął moją gębę.

Stanął nad szkicem, kręcił głową w podziwie i powtarzał:

— Jucha, jucha!...

Około dziesiątej przychodził do pracowni Lefebre, należało więc ustąpić i usunąć ślady pobytu swego. Witoldowi wtedy żal się okropnie zrobiło szkicu. Zaczął go wprawdzie bez wszelkich planów, poprostu z potrzeby pobawienia się gliną, ale teraz nie chciałby go zniszczyć — tyle ma wyrazu. Co z nim jednak zrobi? Zostawi w cudzym domu? A niech tam, zeschnie się, popęka... Bonecki wprawdzie przyrzeka zlewać wodą do czasu, póki Witold mieszkania nie wynajdzie, ale zapomni, z pewnością zapomni... Rozrzewnił się. Ma teraz przed sobą cały dzień bezcelowego włóczenia się po mieście. Wieczorem dopiero spotkają się z Mironem i Boneckim u George'a.

Szedł tedy do Luwru. Zawsze to kawałek dachu nad głową. Są tam ławki wygodnie wyściełane, kręci się mnóstwo osób, można spotkać kogoś z kraju, wreszcie lubi pogadać z Ple-

wińskim. Ale Plewińskiego i tego dnia na zwykłem stanowisku nie było. Od woźnych dowiedział się, że malarz jest chory i że mieszka na ulicy de Truffault na Batignolles.

— A gdyby tak odwiedzić chorego, będzie to chrześciański uczynek...

Plewiński zajmował poddasze starego pięciopiętrowego domu. Większa izba z szerokiem oknem w suficie, mogła od biedy uchodzić za pracownię, choć światła nie było tam zbyt wiele. Obok ciemna alkowa, służyła za sypialnię. Umeblowanie nader skromne, biedne nawet, zniszczone, wyszarzane. Jednakże przez długie lata nagromadziło się tu gratów i gracików, przeważnie bez żadnej wartości, które zalegały wszystkie kąty, co sprawiało, że było tu wprost ciasno.

Kiedy Witold wszedł do pracowni, z alkowy doleciało szybko po francusku wypowiedziane, jakby w trwodze lub silnem gorączkowem podnieceniu:

— Kto tam?

— To ja, panie Plewiński, Ordon. Nie zastałem pana w Luwrze, przyszedłem zapytać się o zdrowie.

— Ha! to nie do uwierzenia, co się dziś ze mną dzieje — mówił nadzwyczaj prędko, urywając słowa — to nie do uwierzenia... a je-

dnak... Chodź pan bliżej, powiem panu coś bardzo ciekawego.

Wszedł do alkowy. Na razie nie rozróżniał w półmroku przedmiotów, ale po chwili, kiedy oswoił się nieco z ciemnością, dostrzegł na małem żelaznem łóżku wychudzoną postać malarza. Unosił się z trudem na łokciu i wyciągał drugą rękę ku przybyłemu.

— Ja o panu myślałem... to dziwne... Bardzo myślałem. Ciągnąłem pana do siebie myślą, całą siłą woli... i przyszedłeś, To dziwne!

Podał mu rękę.

Ręka była rozpalona, twarz pałała żarem, biło gorączką zdaleka.

— Czy pan wierzysz w takie porozumienie się w przestrzeni... na odległość?... Z matką moją zawsześmy się tak porozumiewali... Ale dziś, dziś dzieje sią coś dziwnego... dziś posiadam moc jasnowidzenia... Źle ze mną — mówił, rozcinając słowa i ciężko dysząc — źle, już się nie wygrzebię.

— Oh, cóż znowu — starał się protestować Witold.

— Ha, ha, ha! no, nie pocieszaj mnie pan, nie boję się tak bardzo tej wędrówki. Mam wszelką pewność. W tych przedzgonnych chwilach miewa się zdolność jasnowidzenia. Widzę jasno przyszłość, krótką, bardzo krótką... przeszłość cała stanęła przed oczami jak ży-

wa... i w teraźniejszości widzę... Widziałem cię przed chwilą w Luwrze i wołałem... i widziałem jak szedłeś przez wszystkie ulice i słyszałem kroki na schodach od pierwszego stopnia, a kiedyś mi odpowiedział: „to ja, panie Plewiński“, struchlałem. Strach mię zdjął, że to istotnie rzeczywistość, że nie gorączkowe marzenie, że to jawa. Wiedziałem, że idziesz i dla tego zląkłem się. Bo to takie dziwne. Wszak jesteś?

Chwycił go mocno za rękę, jakby się chciał upewnić, że nie jest igraszką złudnej halucynacyi i wpatrywał mu się uparcie w twarz mocno rozszerzonemi źrenicami. Pod wpływem wzroku tego i enigmatycznych słów chorego Witold uczuł straszne napięcie wszystkich nerwów i zdało mu się, że za lada dotknięciem rozjęczą się jak struny harfy, szarpanej namiętną ręką.

— Jesteś? — pytał.

— Jestem. Czem panu mogę być użyteczny?

— Ha, ha, ha, użyteczny... mnie użyteczny? Właściwie jest tu dwóch Plewińskich. Jeden, to stara, rozklekotana, zepsuta maszyna, garść pruchniejących kości w nędznej skórze i temu już nic nie pomożesz. Za chwilę przyjedzie tu furgon, zabiorą tę kiepską maszynę do szpitala... ale już jej tam nie wyreperują. Wywio-

zą potem za miasto, do ziemi... do cudzej ziemi... Ale ten drugi, ten drugi młody jest, jak ty... Hej, jaki młody, energiczny, dzielny, ciągle pełen ognia, patrzy w świat śmiało. Ha, pójdzie za tamtym starym niedołęgą, za tą swoją rozbitą skorupą, ale pójdzie, jak młody szaleniec, co sobie dla urojonej konieczności roztrzaska łeb w kwiecie dni swoich.

Nagle, zmieniając ton, pytał niespokojnie.

— Powiedz, dla czego tu przyszedłeś?

— Chciałem pana odwiedzić...

— Nie, ja cię wołałem, ja cię wołałem po imieniu.

Nowy dreszcz przebiegł słuchacza.

— Mówiłeś mi o Warszawie, dla tego cię wołałem. Stara zepsuta maszyna zostanie tu, z Francuzami. Ten drugi jest dzieckiem Warszawy, jest młody jak wtedy, kiedy z niej wychodził, kiedy ją opuszczał z innymi... z oczami pełnemi jej widoku, w uszach pełno ma jeszcze jej szumu, gwaru... Hej, pójdź ze mną nad brzeg Wisły, hen na Solec, na Rybaki... Pójdź ze mną na Stare Miasto między te dawne domy, pójdź ze mną do Łazienek... Maj tam pachnie, słowik w gąszczach wywodzi trele...

— A więc do Łazienek chodźmy z albumem i akwarellą... Jestem młody, jak wtedy... Dzień za dniem mijał, rok za rokiem, pięć dziesiątków wskoczyło na kark temu staremu...

A ja nie traciłem nadziei... kopiowałem ha, ha, ha, kopiowałem, kopiowałem...

Ucichł na chwilę a potem zawołał:

— Pomóż mi wstać! — dźwignął się z trudem na łóżku.

Witold starał się go uspokoić.

— Pan ma trochę gorączki, niech pan nie wstaje.

— Muszę, muszę. Zaprowadź mię do pracowni, tam są pamiątki mej młodości, relikwie... Spalę... Chcę spalić to, żeby nie wpadły w ręce profanów. Przyjdą tu po mojej śmierci; będą grzebali jak w śmietniku, szukając ukrytych skarbów... Bo oni myślą, że ja mam pieniądze, żem kutwa... Ha, ha, ha... Bo pewnie, nie piłem, nie grałem w karty, a przez lat trzydzieści prawie kopiowałem... mogłem uzbierać miliony... ha, ha, ha!

Podtrzymywany przez Witolda, dowlókł się do fotela w pracowni, usiadł ciężko i jakiś czas wodził nieprzytomnym wzrokiem dokoła siebie.

— Nędza, śmietnisko — mówił — tyle lat tkwię już w tej dziurze i nic... Brud, nieład, zaduch... Dzień do dnia podobny, jak dwie łzy nędzarza, jednako bezbarwne, jednako wodniste, jednako gorzkie — wiecznie to samo. Brrr. głupio! Co to wszystko warte.

Na stalugach stało większe płótno, przysło-

nięte spłowiałą, zakurzoną draperyą. Plewiński wyciągnął rękę w kierunku płótna. Witold patrzy na rozgorączkowaną twarz chorego, na jego oczy, świecące ostrym blaskiem, na nerwowe ruchy i drżenie rąk, na stalugi, na całe to nędzne otoczenie, stanowiące dekoracyę sceny i zdaje mu się, że to już gdzieś, kiedyś widział, że słyszał słowa, że wszystko to jest najdokładniejszem powtórzeniem tamtego.

Wie już naprzód, co malarz będzie mówił:

— Przed ilu to laty zaczęte! — słyszy głos wewnętrzny.

— Przed ilu to laty zaczęte!... — powtarza Plewiński...

— I leciał rok za rokiem — brzmi mu w ustach.

— I leciał rok za rokiem — powtarza białym, matowym głosem chory malarz.

Przeraził się tego stanu, tego rozdwojenia świadomości...

Plewiński urywanemi dźwiękami ciągnie historyę zaczętego obrazu. Miało to być wspomnienie z kraju. Chciał uwiecznić na płótnie ostatnie silniejsze wrażenie, jakie uderzyło wyobraźnię młodzieńczą... Potem leżał długo nieprzytomny w gorączce, potem znalazł się za granicą, a obraz ten został mu na zawsze w pamięci, ale namalować go nie może.

— Kopiowałem, kopiowałem Delacroix, Ve-

ronesa i innych, a tego namalować nie mogłem. Mam szkice, studya, notatki... Mam w wyobraźni kompozycyę skończoną, pełną... nie mogłem...

— Ale ja to wszystko już słyszałem — mówi do siebie Witold i stara się sprawdzić, czy nie jest to rzeczywiście jakiemś osobistem wspomnieniem, stara się zbadać istotę zjawiska, które w rezultacie zaczyna go męczyć i niepokoić. Waryuje, czy co?

— Spalisz pan to, zaklinam na wszystko, bo oni by to sprzedali za dziesięć franków handlarzowi... Oni wszystko sprzedadzą. Na poniewierkę... na...

I kazał rzeźbiarzowi rozpalić ogień na kominku.

— I to już gdzieś było — woła z rozpaczą Witold. — Co się ze mną dzieje?

Otrząsnął się z całej siły, jakby chciał tą mechaniczną czynnością wyłamać się z pod dziwacznej siły, co mu tak złośliwie rozprzęgała świadomość.

Jakoż rzeczywiście po tym wysiłku fizycznym odleciało odeń omamienie, przywołał się do rzeczywistości. Słyszy już pojedyńczy głos chorego, rozumie jego żądania. Zaczął tedy przekładać, ażeby nie niszczył obrazu, gdyż może tego potem, przyszedłszy do zdrowia, żałować.

Plewiński uśmiechnął się smętnie.

— Nie łudzę się, bo widzę nieprzenikalne... Chciałem ocalić to i inne pamiątki przed... handlem. Próbowałem wstać, sił zbrakło... Sam, sam, niedołężny... nikt nie pomoże... Rozpacz mię ogarnęła. Pomyślałem o tobie. Dla czego? Nie wiem. Nie pamiętałem nawet imienia, a byłem pewny, że się nazywasz Witold i wołałem cię po imieniu. Nie znałem cię przedtem wcale, a teraz znam do gruntu... znam ciebie i wszystkich bliskich twoich. Ojciec nie żyje, wszak prawda?

— Tak.

— Matka ma na imię Marya?

— Tak.

— Masz dwie siostry?

— Rzeczywiście — odparł w najwyższym stopniu zdziwienia.

— A widzisz. Jest coś, co mnie z tobą wiąże, co wytworzyło prąd sympatyi..! bo ja wiem... Dla tego mi nie odmawiaj, nie odmawiaj ostatniej przysługi konającemu. — Spal obraz.

Witold odsłonił płótno. Obraz przedstawiał skraj lasku brzozowego na zielonym pagórku. Jasne sploty delikatnego ulistwienia i białe srebrzyste pnie brzóz odbijały od ciemnej ściany głębokiego boru, ciągnącego się w perspektywie. Pod drzewami kilkanaście

postaci ludzkich, ledwie zaznaczonych w najogólniejszych zarysach, zgrupowało się koło ogniska. Pejzaż za to był wykończony z ogromnem odczuciem natury i nastroju; zdawało się, że od malowidła powiał odrazu świeży, ożywczy zapach traw i macierzanki i zapanował nad duszną atmosferą pracowni, przesyconą ostrą wonią farb malarskich, olejów i werniksów.

Plewiński uśmiechnął się błogo i robił ruch ręką, jakoby przygarniał do siebie zapachy, idące od obrazu.

— Czuję pole, las... Jak tam pięknie było w tym lasku — wiosna, słońce... — Nagle zmarszczył się i wołał gwałtownie:

— Spal, spal! Dziwna, jak mi się dusza nie chce zestarzeć, a przecież ciało takie już nikczemne. Szczęki bezzębne, czaszka łysa, jak głowa szkieletu, ha, ha, ha!... Spal! Rozbij blejtram, potnij płótno!...

Witold posłuszny, z bezdusznością automatu wykonywał wskazane czynności. Wyciął nożem malowidło, powybijał kliny z blejtramu, rozebrał go; poprzecznicę postrugał na drzazgi i rozniecił ogień na kominku. Kiedy na ogniu tym położył zwinięte płótno, przykry swąd spalonych tłuszczów rozszedł się po pokoju.

Plewiński zwrócił smutnie głowę:

— To już nie łąki pachną, nie las brzozowy, nie macierzanka. Wstrętny odór spale-

nizny, cała obrzydliwość materyalnej strony ludzi i ich dzieł niedołężnych.

Tak właśnie jest ze mną...

Śledził bacznie postępy zniszczenia, a kiedy płomień strawił do reszty, skwierczące pod jego pocałunkami malowidło, westchnął głęboko i kazał się przysunąć z fotelem do starej roccocowej szyfonierki, stojącej w rogu pokoju.

— To moje archiwum — mówił. — O, ale nie znajdziesz tam zasuszonych kwiatków, jednego skrawka wstążki czerwonej lub niebieskiej, jednego różowego liścika, jednego jedynego wspomnienia miłości... Ha, ha, a przecież byłem młody, pragnąłem rozkoszy ukochanych pocałunków, tęskniłem do ciepła serdecznego uścisku. Lata biegły tak głupio... Ach, jakżeż głupio biegły... Starość przyszła tak wcześnie, tak niespodziewanie... Jedyna kobieta z jaką korespondowałem, to była matka moja. Biedne, kochane, poczciwe matczysko! A oto listy z zamówieniami na kopie, podziękowania za kopie... tylko takie, ha, ha, ha... Z Londynu, New-Yorku, z Chicago, z całego świata.

I zaczął wyrzucać z szuflady paczki pożółkłych listów.

— Ale tego nie spalimy — mówił — to zostanie na dowód dla nich, jak pracowałem. Ha, ha, ha. Ja, którego nikt nigdy nie obchodził, którego nikt nie kochał, który nie miał

żony, dzieci, kochanki, miałem obowiązki ojca rodziny i musiałem się zapracowywać.

— Przecież to jest takie głupie!...

* * *

Na schodach dał się słyszeć odgłos kroków. Plewiński trwożnie nadstawił ucha.

— Idą!

Ale kroki przebrzmiały — ktoś zatrzymał się o piętro niżej.

— Przyjdą — mówił szybko — przyjdą, nie dadzą mi dokończyć... testamentu. Ha, ha, ha, nazywają mię starem dzieckiem. Wzięli w kuratelę. Mają racyę, o bo ja jestem bezgranicznie naiwny... Nie, ja rozumiałem wszystko i niech się o tem dowiedzą...

Zaczął gorączkowo przerzucać papiery. Stare pożółkłe świstki, notatki rysunkowe, szkice fruwały w powietrzu. Znalazł duży arkusz zwinięty w rulon.

— Ha, ha, ha, dyplom na medal. Dostawałem medale. Jak się to komu podoba?... I kopiowałem, całe życie kopiowałem. Zostawię to dla Julii, niech się dowie, że można być dobrym uczniem... i nic nie zrobić w sztuce. O, ona nie wątpi, ona ma wiarę w siebie, zawiele wiary...

Nareszcie znalazł paczkę opieczętowaną,

chwycił ją nerwowo w rękę i wyciągnął ku Witoldowi.

— A to oddasz matce po mojej śmierci.

— Komu?

— Pani Rigaud.

— Nie znam.

— Tam jest adres.

— Cóż to jest?

— Zemsta!

Witołd wzdrygnął się. Straszne słowo, wypowiedziane jakimś dziwnym tonem, dotknęło go, niby zimne ostrze noża. Zachowywał się dotąd biernie, pod wpływem jakiegoś uroku, jaki rzucił nań ten chory, rozgorączkowany człowiek, to ostatecznie wyrwało go z odrętwienia.

— On ma być narzędziem zemsty... Jakże to?

— Och, nie krwawa to zemsta. Zbyt łagodna nawet za moje cierpienia, zawody, nędzę, za moją starość bez wspomnień miłości... pustą, głupią starość człowieka, co nigdy nie był kochany... co nie znał wzruszeń, namiętnego uścisku... Jednego, jedynego uścisku, jednego gorącego słowa, jednej pieszczoty... I z tą niewypełnioną luką w życiu odejść musi... Cóż to za straszna próżnia, jaka pustka — kiedy spojrzę za siebie! Chwyta mię żal i drze piersi w kawały i miotam się w bezsilnej złości

i wściekły jestem, że ziajałbym jadem, jak skorpion, chciałbym się własnem zabić żądłem... i gryzłbym palce w tym spóźnionym głodzie miłości, w tej bezbrzeżnej tęsknocie za niewyzyskaną młodością. O głupio, głupio, głupio! Carpe diem! Korzystaj z chwili, chwytaj rozkosz! Jakże tam pusto za mną, ciemno, ponuro... Kopiowałem, kopiowałem, kopiowałem... O nie! biłem się, miałem wzruszenia walki, krótkie chwile wzruszenia — pierwsze kule mnie brały i tam na górce pod brzezinami i pod Dijon. O, bo ja mam szczęście... Nie urodziłem się w czepku... sapristi, nie urodziłem!

Zwiesił głowę i chwilę dumał smętnie. Potem jakby czynił rachunek sumienia, innym tonem mówił:

— A może ja bluźnię? Karta mego życia nie jest przecież tak pustą. Ale — wybuchnął z rozpaczą — na szatana i ja miałem prawo do rozkoszy, do szczęścia młodości, do uścisku kochającej kobiety. Jakże ja ci zazdroszczę twoich lat dwudziestu. Jakże ja teraz rozumiem Fausta i jego tęsknotę. Ale on sięgał szczytów wszechwiedzy, a ja... kopiowałem! Ha, ha, ha. Kopiowaniem wypełnić długie, szare, monotonne życie.

— Idą! — zawołał nagle.

Jakoż rzeczywiście drzwi się szeroko otworzyły i ukazały się w nich dwie ogromne mę-

zkie postacie. Naprzód szedł, wyciągnąwszy przed siebie ręce, ślepy starzec imponującej postawy, z długą białą brodą, z czaszką nagą zupełnie, świecącą jak polerowana kula, rozłupaną przez środek głęboką blizną, po jakiemś potężnem cięciu szabli.

Prowadził go mężczyzna w sile wieku, czarny, z dużą brodą, spadającą w kształt wachlarza na piersi z nadzwyczaj obfitą czupryną, wijącą się w gęstych pukłach aż na kołnierz, jak u cygana. Za nimi w głębi kurytarza mignął biały fartuch infirmiera szpitalnego.

Plewiński zmarszczył się zarazem trwożnie i boleśnie, wskazał wzrokiem kopertę opieczętowaną, którą Witold trzymał w ręku, i szepnął z mocą:

— Schowaj to!

Starzec, wsparty ciężko na kiju, sapał mocno, jak miech kowalski: młodszy tymczasem, rozejrzawszy się po pokoju, wystąpił odrazu z ostrym wyrzutem. Mówił łamaną polszczyzną, akcentując na ostatniej sylabie.

— Po co żeś wstał?

Plewiński uśmiechnął się złośliwie.

— Bo wstałem.

— Gdzie obraz? — spytał szorstko.

— Spaliłem — odparł z jakąś wściekłą radością.

— Stary dzieciak — warknął brodacz, z całkiem nietajoną złością. Stary dzieciak!

Plewiński istotnie jak krnąbrne, uparte dziecko, które choć wie, że będzie ukarane, sprzeciwia się woli rodziców, powtarzał:

— Spaliłem, spaliłem, aha, spaliłem.

— Toś głupio zrobił; miałem kupca. Dawano dwieście franków.

— Ha, ha, ha, — śmiał się malarz — a ja spaliłem, zdążyłem jeszcze spalić! Ten pan mi pomógł. Aha!

Czarny jegomość zmierzył Witolda wilczem spojrzeniem zpodełba, ale podszedł doń, wyciągnął rękę i przedstawił się po francusku:

— Nazywam się Pawłowski.

Witold wymienił swoje nazwisko.

Pan Pawłowski wskazał na starca.

— Mój ojciec.

Ślepiec wyciągnął rękę, szukając w powietrzu ręki Witolda, a kiedy ją znalazł, ścisnął z niezwyczajną na wiek swój siłą, przyciągnął całego do siebie i niskim, pełnym tajemniczości głosem pytał:

— Skąd?

— Z Warszawy.

— Nie spotkałeś pan tam Ernesta Rigaud?

— Nie znam.

— Aktor, śpiewak, iluzyonista, występuje w Cafe-koncertach.

— Nie spotkałem.

— Byłeś pan w Wiedniu?

— Byłem.

— W Wiedniu nie widziałeś Ernesta Rigaud — pytał stary z uporem maniaka.

— Ojcze — strofował ponuro syn — zaniechaj tych głupich pytań.

Stary westchnął ciężko, puścił rękę Witolda i pogrążył się w niemej obojętności.

— No, zabierajmy się — mówił młody Pawłowski — wóz ze szpitala czeka.

Wszedł posługacz szpitalny, owinął chorego w kołdrę i wziął na ręce jak małe chłopię; on ujął go rękami za szyję. Kiedy Witold spojrzał w tę twarz starego wynędzniałego człowieka, miał wrażenie, że to biedne nieszczęśliwe dziecię, co zdało się całkowicie na łaskę starszych opiekunów swoich. Usta się wygięły w podkowę, broda drgała, poruszana spazmem powstrzymywanego płaczu, oczy wilgotne od łez, cisnących się wbrew woli, pełne były smutku i rzewności. Żegnał niemi kąty swej siedziby z wyrazem bezbrzeżnej melancholii. Róg kołdry wymknął się z rąk posługacza i ciągnął po ziemi: obnażyła się w ten sposób jedna noga chorego, chuda i pożółkła, przebita pod kolanem głęboką, bielejącą blizną.

Wyszli.

Pawłowski robił wzrokiem baczny prze-

gląd ruchomości w mieszkaniu malarza, i zbliżając się do Witolda, wziął go poufale pod rękę.

— Chcę pana prosić o szczerość. Powiedz mi otwarcie, coście tu więcej spalili?

— Nic więcej — odparł rzeźbiarz stanowczo.

Tamten patrzył mu w oczy niedowierzająco.

— Nic panu nie dał?

Witold miał na piersiach w bocznej kieszeni surduta grubą paczkę i rozumiał, iż nie należy mówić o tem temu właśnie człowiekowi, zmieszał się więc na razie, nie wiedział co ma odpowiedzieć. Czuł, że krew uderza mu do twarzy i gdyby wprost zaprzeczył — pozostawi pytającego w wątpliwości, co do prawdy słów swoich, korzystał więc ze zmieszania i niby unosząc się, z powodu niewłaściwego wystąpienia Pawłowskiego, oburzył się.

— Proszę pana, nie rozumiem, co znaczyć może pańskie pytanie. Co ja właściwie miałbym brać od pana Plewińskiego?!

— No, nic — odmruknął, ale patrzył nań z podełba podejrzliwie:

— Idziemy.

Wyprowadził na korytarz ślepego ojca, zamknął drzwi i klucz schował do kieszeni.

Nim zeszli na dół, dopędzili infirmiera,

który ze swym ciężarem z trudem posuwał się po krętych niewygodnych schodach, a był to chłop tęgi, zaprawiony do tego rodzaju czynności i nie chciał przyjąć pomocy.

— Grubszych nosiłem — mówił — co mi taki chudzielec.

Na ulicy stał furgon szpitalny — niby mały pokój na kołach — z łóżkiem i krzesłem dla dozorcy.

Plewiński jeszcze raz rzucił Witoldowi rzewne wejrzenie pożegnania.

— Odwiedź mię w szpitalu — wołał słabym, drżącym głosem.

Drzwi się zatrzasnęły i wóz dudniąc, potoczył się po bruku ulicy. Pawłowscy żegnali się, podając ręce.

— Gdybyś pan spotkał kiedy Ernesta Rigaud — zaczął stary, ale młody przerwał mu, pociągając gwałtownie za sobą.

Witold został sam, na trotuarze, z uczuciem jakiegoś dziwnego ciężaru na duszy, jakby ta paczka papierów, którą miał w kieszeni, kamieniem spadła mu na piersi.

Zawarł szczególniejszy związek z człowiekiem, co ma umrzeć... Co przyniesie mu ten związek?

Już to pogoda paryzka jest kapryśna i niepewna. Rzadko całą dobę przetrwa bez zmiany. Poranek zapowiada ciepło i blaski, a już o południu chlapie deszcz nieznośny, to znowu słońce zachodzi w całej promiennej gloryi najcudniejszej światłości. Niebo do połowy nocy iskrzy się brylantami gwiazd świetnych, a nad ranem zaciąga się nieprzebitą szarzyzną gęstych mgieł i kropi kapuśniaczek, przenikający do szpiku kości.

Dnia tego, po upalnym znoju, około wieczora zrobiło się chłodno i zaczął popadywać drobny deszczyk, niby pył wodny, to znowu chwilami wylewały się na ulice miasta całe strumienie, szumiąc w rynsztokach i bulkocąc w wylotach kanałów.

Witold po odwiedzinach u Plewińskiego rozdrażniony był do najwyższego stopnia. U George'a nie zastał ani Mirona ani Boneckie-

go, który miał go zabrać do siebie. Czekała go więc długa, jeżeli nie całonocna, włóczęga po deszczu, a jest znużony i strasznie potrzebuje snu i wypoczynku. W garkuchni długo wysiadywać nie mógł i około dziewiątej, wystawiając swój cylinder na przykre skutki ulewy, spacerował po bulwarze St. Michel. W kawiarniach wesoło było i huczno. Studenci i ci, którzy udawanie studentów uważają za konieczność dobrego tonu — subiekci z wielkich magazynów, obsiedli z przyjaciółkami stoliki, ustawione na trotuarze pod markizami i hałaśliwością zachowania się manifestowali tężyznę młodzieńczą. Witold przechodził koło nich z głową zwieszoną, cały pogrążony w ponurych dumach, nie mogąc otrząsnąć się jeszcze z przykrych wrażeń, jakie mu pozostały z rozmowy z chorym malarzem. Czuł, że go wciąga to w jakieś zaczarowane koło przygód.

— Cicha tragedya powszedniości, bez gwałtownych wstrząśnień, bez wybuchów, a jednakże jaka bolesna. Czy nie straszniejsze to jest od krwawych dramatów rozszalałych namiętności, czy nie bardziej gnębiące!

Wtem zdjęła go litość nad samym sobą. Zdało mu się, że ma coś w sobie, że go tak jak Plewińskiego usunie od suto zastawionego stołu rozkoszy ziemskich i że jak on umierać

będzie z tęsknotą do sławy i miłości, pełen żalu za zmarnowanem niedołężnie życiem.

— Carpe diem!

Roześmiał się gorzko. Wiatr z deszczem zacina w twarz, bluzga w oczy, przenika do nitki, a jest bez kąta, gdzieby się mógł skryć przed przejmującą wilgocią, gdzieby znalazł wygodne łóżko. Ach! łóżko — tak nie wiele na razie wymaga.

Widzi teraz wszystko dziwnie czarno.

— Dokąd zaszedłem za złudnemi blaskami tęczowych skrzydeł chimery. A wielu nas idzie opętanych za tą zwodnicą, jak procesya fanatyków, gdzieś na wschodzie w święto Moharemu, kalecząc własne ciało ostrymi mieczami. Czyż drogą nędzy i najcięższych poświęceń idzie się do wspaniałej świątyni sztuki?

— Ha, ha. Okryć się, otulić ciepłą kołdrą i wyciągnąć wygodnie na posłaniu — oto szczyt marzeń artysty! Oczywiście żołnierz w pochodzie, podróżnik zbłąkany na bezdrożach, pionier w dzikich uroczyskach dziewiczej puszczy, znoszą cięższe prywacye, ale to ma jakiś cel, jakieś uzasadnienie rozumne, jakąś konieczność logiczną. Ale poco on plącze się w tem środowisku najwyższej kultury, między ludźmi o tak wygórowanych wymaganiach komfortu i wygody — on, obmokły nędzarz bez dachu...

Usłyszał za sobą psyknięcie i głos Mirona.

— Chodź do nas, napijesz się piwa.

Malarz siedział w kawiarni nad kuflem w towarzystwie młodej dziewczyny, w której Witold domyślił się znajomej z okienka. Wydawała mu się tylko przedtem nieco wyższą. Teraz widzi, iż jest to stworzenie miłe, drobne, małe, ruchliwe jak pliszka, uwijająca się wśród podwórka. W ogóle mała Klara miała w sobie coś ptasiego, jakąś nadzwyczajną pustą wesołość i niewypowiedzianą żywość giestów. Wybuchała śmiechem w śpiewnych dźwięcznych trelach i zanosiła się tym śmiechem aż do płaczu. Twarz jej, o małym zadartym nosku, nie odznaczała się klasyczną pięknością rysów, była jednak bardzo ładna, poprostu przez urok i świeżość młodości, która biła od niej niby zapach maju. Ciemne jej oczy paliły się weselem i miłością; przyciskała się z przymileniem do ramienia malarza, jakby dumna była z tego, że może w bezwzględnem poddaniu się wesprzeć głowę na tem krzepkiem ramieniu mężczyzny. Zdawało się, iż radaby całemu światu wieścić: patrzcie, oto mój kochanek!

Miron traktował ją charakterystycznym odcieniem męzkiej wyższości; z uśmiechem pobłażliwej dobrotliwości przyjmował jej dziecin-

ne zachwyty, zlekka czasem strofował za zbyt głośne oznaki wesołości.

— Prawda, jaki on piękny? — pytała uniesiona, patrząc w oczy kochanka wzrokiem, łaszącego się pieska — prawda, jaki on piękny — powtarzała — moje złotko, mój pieszczoszek?

— Prawda — odparł Witold zimno i twardo, z akcentem źle tajonego zniecierpliwienia.

— Pan się gniewasz?

Wyciągnęła buzię w kształt ryjka.

— Pan nie kocha mojego chłopca, co?

— Owszem.

— Aha, ale nie tak jak ja, prawda?

— Inaczej.

Wmięszał się Miron, widząc, że przyjaciela drażni paplanie dziewczyny.

— Nie róbże piły facetowi, także znalazła temat do rozmowy!

Ale małej Klarze widocznie trudno było zdobyć się na inny, bardziej interesujący przedmiot, bo wróciła do swego:

— No, powiedz pan, prawda, że my trochę śmiesznie wyglądamy — on taki duży, a ja mała...

Miron wybuchnął śmiechem i zaczął rozwijać teoryę o wzajemnem ciążeniu ku sobie krańcowości. O upodobaniach brunetów do

blondynek, o zamiłowaniu olbrzymów do rzeczy drobnych, misternych, filigranowych.

— Uważasz, to samo dzieje się w sztuce: Taki nędzny, mały chudeusz, jak Matejko, zamalowywał olbrzymie płachty, a dajmy na to, Stanisławski, człowieczysko ogromnej tuszy i postawy, sypie miniaturowe pejzażyki.

Mówił po polsku, nie krępując się obecnością Francuzki, która chociaż nic rozumieć nie mogła, wsłuchiwała się przecież uważnie, czy nie ułowi jakiego znanego słowa.

— Nic nie rozumiem — dąsała się.

Malarz rozgadał się na dobre; wpadłszy na temat niby psychologiczno-fizyologicznych uogólnień o doborze naturalnym, niewyczerpany był w argumentacyi i przytaczaniu dowodów z własnego życia, używał przytem terminów niezupełnie naukowych, często wprost cynicznych.

Tak to dziwnem wydało się Witoldowi w zestawieniu z bezbrzeżną tęsknotą Plewińskiego, wyrażoną szczerze w tych rozpacznych refleksyach, których słuchał niedawno w szczególniejszym jakimś nastroju, że uczuł niesmak — więcej, jakby żal i nienawiść do tego pięknego, szczęśliwego chłopca, przechwalającego się w sposób prawie bezczelny ze swoich podbojów miłosnych.

— Oto dla czego kochamy się z Klarą — zakonkludował ostatecznie malarz.

— Jakże się ma teorya ciążenia ku sobie krańcowości do Matyldy? — zapytał z przekąsem Witold.

Miron zaśmiał się na całe gardło:

— Ha, ha, ha! To było odstępstwo dla sztuki...

Klara podchwyciła imię kobiece i dalejże wypytywać z niepokojem, coby robiło w rozmowie przyjaciół?

Malarz starał się zbyć ją żartem, ale to bynajmniej nie skutkowało. Dziewczyna, poważnie zatrwożona jakiemś wewnętrznem przeczuciem, urządziła formalną scenę zazdrości. Nastąpiło wzajemne upewnianie się o miłości, wierności, zaklęcia, przysięgi, cały ten pytel pustych słów, któremi się jednak tak dzielnie porozumiewają zakochani.

— Kochasz?

— Kocham.

— Dużo?

— Ogromnie.

— Jak ten świat?

— Jak ten świat.

— Jak ta kawiarnia? jak cały Paryż? i t. d., i t. d.

Witold nie mógł już dłużej znieść towarzystwa tych egoistów, zajętych wyłącznie so-

bą, pożegnał się i wyszedł pomimo gorącego protestu ze strony obojga.

Deszcz właśnie ustał. Chodniki świeciły jeszcze wilgocią; w ich połyskliwej powierzchni odbijały się słupami, jakby przenikając prostopadle w głąb ziemi, światła latarni i okien sklepowych. Na tle tych świateł odrzynały się sylwety przechodniów dziwnie ostro i wyraziście. Obserwował więc zręczne, szykowne figury kobiet, które uniósłszy sukien, zda się, nie dotykają ziemi drobnemi stopami, jakby zawieszone w błyszczącej rozświetli.

Pociągnął wolno na ulicę de Rennes. Boneckiego w domu nie było — stukał daremnie, w pracowni nikt nie odpowiadał. Chodził więc, jak szyldwach, przed domem, wyczekując na towarzysza.

Wybiła północ — potem słyszał gdzieś zdala dzwoniące kwadranse... Dwóch policyantów w pelerynach, z kapiszonami na głowie, krążyło w tym punkcie. Zwrócili widocznie uwagę na Witolda i jego zbyt przedłużający się spacer na miejscu, musiał wydać się im podejrzanym, bo nie spuszczali go na chwilę z oka. Troskliwa ta kuratela zdecydowała go ostatecznie do opuszczenia stanowiska. Przeszedł bulwar St. Germain i puścił się ku Sekwanie.

Zaczęło znowu padać.

— Gdyby tak przejść na drugą stronę rzeki i pod portykami ulicy Rivoli szukać zabezpieczenia przed zmoknięciem.

Przypomniało mu się, że kiedyś w kraju jeszcze w podobnym wypadku znalazł schronienie na dworcu kolei żelaznej. Wziął się więc na prawo w stronę gare d'Orleans. Wtem, jakby się otworzyły upusty niebieskie, buchnęło na raz ulewą: potoki wody rzuciły się z impetem na ziemię — istny potop. Zanim pomyślał o jakiej takiej ucieczce przed nawałnicą, dostrzegł, po przez wodnistą oponę, dwie postacie, zbiegające szybko po schodach przy moście.

— Ha, most, wspaniałe odkrycie! Rzeka zaciśnięta w kamiennem łożysku, tylko w chwilach wyjątkowego przyboru wypełnia wyższą kondygnacyę. Teraz jest tam suchy pas gruntu...

Pod mostem gwarno było od ludu, co się tu zebrał i rojno jak w ulu i huczało, jakby setki młotów uderzały w kowadła. Plusk spadającej na rzekę wody rozbijał się mnogiem echem o żelazne wiązania, jęczał, dzwonił i zawodził ponuro. Towarzystwo pod mostem prowadziło ożywioną dyskusyę. Mężczyźni i kobiety zbiwszy się w zwartą masę, klnąc, krzycząc, wymachując rękami, atakowali kogoś wśród ciemności; ten, jak dzik osaczony przez

ogary, odcinał się energicznie, rozdzielając na oślep razy i najstraszniejsze wymyślania.

Witold wsłuchał się w te okrzyki, które, choć zmięszane i bezładne, były przecież tak gromkie, iż zagłuszały piekielny szum rozbijającej się wody i jęczenie sztab żelaznych — poznał istotę czynu: był to podział łupów.

Na razie strwożył się. Znalazł się niespodziewanie w otoczeniu opryszków miejskich.

— Ale czego właściwie ma się obawiać? Co ma do stracenia? Cały skarb jaki posiada, to papiery Plewińskiego, ha, ha, ha...

Towarzystwo złodziejskie ze swej strony nie krępowało się też obecnością Witolda, zresztą, najwidoczniej więcej takich dzikich, nie należących do korporacyi, szukało tam schronienia przed deszczem, bo siedzieli obojętnie po kątach, drzemiąc lub paląc fajki.

Wysoko na kracie żelaznej gruchało dwoje młodych, objąwszy się rękami miłośnie.

Witold zasiadł wygodnie w wielkiem, szerokiem kole, rozpierającem dwa łuki wiązań, spuścił nogi nad wodę, przytulił głowę do płaskiego żelaza i śledził z najwyższem zajęciem zachowanie się otoczenia.

— O, tom przecie w środowisku bohaterów kryminału, w sercu tajemnic Paryża, na dnie jego mętów.

Zajął się widzianą sceną do tego stopnia,

że niebaczny na położenie, na niebezpieczeństwo, zaczął fantazyować na ten temat, układać romans pełen okropności, morderstw, czarnych intryg, zdrady...

— Ha, ha, ha! szczególniejszą mam duszę!

Przypomniały mu się słowa Szekspirowskiego Ryszarda:

... „Dowiodę,
Że oto mózg mój jest mężem mej duszy,
A ona matką, że płodzą we dwoje
Plemię bez końca mnożących się myśli,
Które ten mały światek zaludniają...“

Wzbogacam swą duszę wrażeniami — niechże mózg z wątku tego snuje barwną tkaninę myśli.

W grupie kłótliwej przed chwilą — zapanował odmienny nastrój. Swary i spory zakończyły się widocznie ku ogólnemu zadowoleniu wzajemną zgodą, bo całe towarzystwo, zasiadłszy na ziemi, raczyło się trunkiem. Zabrzęczało od czasu do czasu szkło, zarechotał ochrypły głos mężczyzny, lub przeszył powietrze ostry przenikliwy śmiech kobiety. To znowu zrywał się razem, gwarny wybuch wesołości zmieszanych krzyków.

Zachowywali się tu swobodnie z całą pewnością bezpieczeństwa.

Rzeczywiście żaden agent polcyjny nie za-

hazardował by się tam w pojedynkę. Nie wejdą również policyanci, którzy po dwóch odbywają straż nocną.

Robią się czasem wielkie obławy i całe brygady wychodzą z prefektury z rewolwerami w ręku. Ale pod mostem wtedy pusto — w sieci ich wpadnie tylko jaki bezdomny artysta, szukający tam chwili snu i wypoczynku. Jakiś ex-marynarz norwezki, co żywiąc się okruchami chleba, od wycierania rysunków, spadającymi z pod ręki kolegów w akademii, dąży jak fanatyk do kapłaństwa w sztuce; jakiś były pastuch włoski, co zostawił w górach swoje stado owiec na opiece opatrzności i zbiegl, aby tu szukać mistrzowstwa i sławy, a zbiera odpadki po śmietnikach, lub szlachcic polski, z duszą rozkołysaną dziwacznemi pragnieniami, co wstydzi się schylić po owe okruchy, co ze wstrętem odwraca się od śmietników, więc ściga chimerę swoją o głodzie.

O głodzie? Bagatela!

Dokąd zajdzie? Długo tak iść będzie w stanie?

Ha, ha, ha! oczywiście do śmierci, — tylko do śmierci, ani kroku dalej. Nie wyciągnie przecież ręki na rogu ulicy: litości godna osobo — od wczoraj nic nie jadłem. Wstydzi się.

Wstydzi się żebrać, wstydzi się schylić po

okruch upuszczony... Tamci się nie wstydzą i to im dyabelnie ułatwia sytuacyę.

Gdyby tak wpadł teraz w ręce obławy policyjnej w towarzystwie opryszków, drapichrustów, tych kobiet... Ładna kompania!

Włóczęga! Człowiek bez adresu... Odstawią pod konwojem do granicy... Brr... Witold Ordon, artysta polski — włóczęga! wyrzucony za granice państwa!

Pod nim szumiała czarna tajemnicza głębia. Przechylić się... ha, ha, ha! i potem o dziesięć kroków dalej wypłynie zmoczony, niedoszły samobójca...

Przywarł silniej do zimnego żelaza, objął je mocno ramieniem, jakby w obawie upadku.

Myśl o śmierci — nie, o kąpieli w ciemnych nurtach rzeki, w chłodną noc deszczową, jak błyskawica rozświetliła nagle mroki jego duszy. I w światłości tej dojrzał gdzieś daleko, głęboko na dnie, niby różaną zorzę, niby migotanie skarbów bajecznych: złota, pereł i dyamentów. Zobaczył nagle uśmiech pani de Rocher, dosłyszał głos jej pieściwy; wiatr figlarny, przyniósł, rzekłbyś, słodką woń jej włosów bujnych... Spłynęła nań ciepła ufność — rozmarzył się i... zasnął!...

Kiedy się obudził — deszcz ustał. Różowy świt wykwitł widocznie na wschodnim skraju horyzontu wązką wstęgą, niby łuną oddalone-

go pożaru, bo fale wody mienić się zaczęły liliowemi połyski. Po niebie wiatr uganiał się za chmurami, kłębiąc je, przewalając, piętrząc jedne na drugich, to znowu rozdmuchując w drobne lekkie strzępy, które pędził przed sobą jak stado wełnistych baranków, gdzieś w dal nieznaną.

Przecierało się. Tam w górze, wśród gwałtownego ruchu obłoków, wykrysztalał się po trochu czysty, głęboki granat kopuły niebieskiej — na ziemi panowała cichość i spokój. Hałaśliwe towarzystwo wyniosło się gdzieś z pod żelaznych arkad mostu, jedyny człowiek tylko, wyciągnięty jak długi, z twarzą zwróconą ku ziemi, spał twardo na kamiennym bruku.

Dokoła groźna, przerażająca cisza.

Przejmujące zimno wstrząsa ciałem — dygoce jak w febrze. Zciągnął surdut na piersiach, skurczył się, zebrał w sobie, ale okropny chłód przenika do szpiku kości.

Zsunął się szybko po ukośnej poprzecznicy wiązania na ziemię i zaczął biedz.

* * *

— He, he, dobrodzieju, idź pan spać do domu.

Witold podniósł oczy. Ogromny drab w mun-

durze policyanta, z dobrotliwym uśmiechem na ustach, trąca go kolanem i budzi ze smacznej drzemki.

Słońce świeciło pięknie, ciepło, promiennie. Roślinność obmyta z kurzu nocną ulewą, śmiała się zewsząd rozkosznie świeżością poranku. Wszedł do ogrodu luksemburskiego, usiadł na ławce wśród zieloności, woni i wesołego świergotu ptasząt.

Siadł, powieki mu ciężyły na oczach; podnosił je z trudem, z najwyższym wysiłkiem — wreszcie usnął. Nie wolno jednak sypiać w miejscach spacerowych, więc stróż porządku publicznego przyszedł mu to przypomnieć.

Ubranie Witolda, przesiąknięte wilgocią, parowało teraz pod wpływem ciepłych promieni słonecznych; straciło też wiele na świeżości, było jednak jeszcze dość eleganckie, ażeby nakazać pewne względy dla właściciela. Zwłaszcza cylinder, jakkolwiek przeszedł ciężkie próby deszczowe, musiał imponować dzielnemu sierżantowi, bo traktował śpiocha z wielką pobłażliwością.

— Hulało się przez nockę — he, he, ciężki będzie dzień pracy. To tak: po ucztach — niesmak i krzywa buzia, aha! — zakończył sentencyonalnie. — Ale wstawaj pan — ciągnął, uśmiechając się i dotykając ciągle kolanem

jego kolan, — wstawaj, bo mi znowu uśniesz, a tu nie hotel.

Witolda dotknęło zbyt poufałe zachowanie się policyanta, ale skoro sobie przypomniał, że właściwie uważając go za nocnego hulakę, ceni go nad istotny stan rzeczy — rozżalenie ścisnęło go za gardło, wstał prawie pokornie, nic nie mówiąc, unikając jego spojrzenia. Ba, gdyby on wiedział, że ma do czynienia z człowiekiem, co tułał się w nocy pod mostami...

— Przyjemnych marzeń — wołał za odchodzącym, policyant. — Pan dziś swojej dniówki nie odrobisz, ha, ha, ha. Jak bym widział, że pójdzie do domu i utnie piramidalną drzemkę.

Witold w istocie szedł do Boneckiego, licząc, że do czasu zanim przyjdzie Lefebre, będzie się mógł z godzinę przespać.

Pracownia jednak była zamknięta, pociągnął więc przez cały Paryż aż do lasku Bulońskiego. Tam udało mu się wynaleźć zaciszne ustronie w zaroślach, gdzie mu nikt chwil snu błogiego nie mącił.

O dwunastej zbudziło go dotkliwe uczucie głodu. Ba, piękny lasek — obecnie pusty — bo cały Paryż, cała ta wytworna publiczność, co tu używa przejazdżek, zasiadła do stołu.

Krążąc po lesie, znalazł się na La Muette,

niedaleko od Passy. Dla czegoż by nie wstąpić do hrabiego?

Wszedł na znane podwórko, uchylił drzwiczek orzechowej szafy, stanowiącej przedsień i zapukał.

— Proszę wejść — zawołał głos piskliwy.

Zaledwie znalazł się w pokoju, hrabia porwał się na łóżku i trzepał szybko rękami:

— Hi, hi, hi, ładnie mi się pan sprawujesz, któż to widział, proszę. Także maniery feniańskie! Nie byłeś u margrabiny — u pani de Rocher. Tyle czasu nie byłeś — poprostu jest rozżalona na twoją niewdzięczność.

— Nie śmiałem... zdawało mi się... — zaczął bąkać Witold. — Ubranie moje rzeczywiście... Starałem się...

Hrabia nie pozwolił mu dokończyć.

— Wiesz pan, „chimera“ twoja — owszem. To ma sentyment, to ma nerw i ekspresyę, to bierze... Pani de Rocher sprzeda, czy sama kupi — dostaniesz sto franków. Owszem, proszę — sto franków. Trzeba iść zaraz, natychmiast! Trzeba być grzecznym.

— Ależ dziś — mniej niż kiedykolwiek starał się protestować młody rzeźbiarz. Dziś taki jestem zaniedbany, brudny — nieprzygotowany.

Hrabia zapiał cienkim śmiechem.

— Hi, hi, hi! Zaniedbany artysta, cygan,

prawdziwy cygan, hi, hi, hi! Młody, młody, młody! Hi, hi, co to znaczy, zaniedbany... hi, hi! nieprzygotowany...

— Ależ.

— Nie, zaraz, koniecznie musisz. Ja cię tam zawiozę, ja zawiozę. Hi, hi! poczekaj, ogarnę się tylko.

Jakoż w rzeczy samej wygramolił się z łóżka, nalał sobie i gościowi czarnej kawy z garnuszka, który stał na węglach w kominku, i zaczął się ubierać. Nie szło to zbyt spiesznie, bo pan hrabia w trakcie tej czynności znalazł mnóstwo racyi do opowieści o rozmaitych szpargałach, cackach i sprzętach, które stanowiły jego bogactwo. Odczytał przytem swoją krytykę teatru amatorskiego, odegranego w jednym z większych salonów arystokratycznych, wobec ścisłego bardzo kółka wybranych, ale na cel dobroczynny.

— „Monitora“ wydajemy dla siebie, dla naszego kółka wyłącznie — objaśnia hrabia, pokazując zadrukowany świstek — ja prowadzę tam dział sprawozdań artystycznych. My, proszę, uprawiamy piękno — poważnie, choć bezinteresownie. Czytaj, proszę, głośno.

Był to jeden wielki hymn pochwalny, jeden nieprzerwany krzyk zachwytów i uniesienia — istotne arcydzieło sztuki głaskania ambicyi ludzkich, sztuki pochlebstwa, doprowa-

dzonej do najwyższych szczebli artyzmu. Rzeczywiście porywała tam giętkość i potoczystość zwrotu, który wił się, jak wąż i jak wąż mienił barwnością pierścieni. Iskrzył się tam humor, ślizgał lekko dowcip, frazes nabrzmiewał patosem, to znowu dzwonił tonem filuternego przymilenia. Wielość w jedności. Wszyscy byli zachwycający, piękni, genialni — ale jakaż rozmaitość wyrazu. Mitologia, kosmogonia, historya, literatura, dostarczyły materyału do zestawień. Niewyczerpana pomysłowość w wynajdywaniu porównań, odurzała śmiałością, posuniętą do bezczelności. Gwiazdy bladły wobec oczu margrabiny, hrabiance do drobnych stopek przychodziły łasić się żywioły; wszystkie bóstwa starego Olimpu niemiały z podziwienia, kiedy baronowa odsłoniła białe ramię...

— Hi, hi! niemasz pan akcentu, proszę — wołał hrabia, trzepocząc rękami — akcent, to wszystko.

Odebrał mu pismo i sam zaczął czytać. Rzeczywiście, proza jego dźwięczała teraz melodyjnie, jak poemat.

Witold był zdumiony. Hrabia jest człowiekiem utalentowanym.

Czyżby naprawdę był wzruszony, pisząc takie bezczelne pochlebstwa — w każdym razie forma jest na wskroś piękna. Nigdy w życiu

nic równie zręcznego nie słyszał. Powiedział mu to otwarcie.

Hrabia przełknął pochwałę z niewypowiedzianem zadowoleniem. Zrobił skromną minę człowieka, którego uczczono nad zasługi.

— Ot, pisze się, proszę, od serca, bez pretensyi literackich. Zapewne, staram się o formę wytworną — ale to nie trudno, nie trudno, proszę — otoczenie usposabia po temu — wytwarza taki nastrój.

Witold wyraził zdanie swoje bez żadnego zgoła wyrachowania, teraz jednakże zrozumiał, że okoliczność ta zacisnęła węzeł obojętnego dotąd stosunku z tym człowiekiem.

Nie podejrzewał bynajmniej hrabiego o tak dalece posuniętą wrażliwość na tym punkcie, co tem bardziej mogło się wydać dziwnem w sferze, gdzie wzajemne komplimentowanie się było w użyciu bez wszelkiej miary i proporcyi. Zaczął już nawet żałować swej szczerości, kiedy zauważył, że ten starzec, zapewne nie bez pewnej świetniejszej przeszłości, stawał się dlań uprzedzająco grzecznym i wylanym — dla niego, co nie jest w stanie zapewnić sobie dachu nad głową.

Hrabia skończył toaletę. Ubrany był w jasny angielski garnitur marynarkowy, jakby nieco zaobszerny na jego drobną, chudą figurę.

— No, idziemy — wołał wesoło i podry-

gując zabawnie, wziął poufale rzeźbiarza pod rękę. Kiedy się znaleźli na ulicy, zawołał dorożkę.

— Zawiozę z całą paradą artystę, do pani jego serca — mówił. — Hi, hi! Miłość wprawdzie jeździ na skrzydłach wiatru — nam wystarczyć musi fiakr paryzki.

Witold zarumienił się po białka oczu.

— Pani jego serca, miłość?! Zkąd? Kto temu człowiekowi powiedział, że on... że marzył, że śmiał myślą sięgnąć... Czy się zdradził czemkolwiek z tajemnicą samotnych dumań swoich? W takim razie, dlaczego ten pan nie zgromi go, nie wskaże całej niewłaściwości podobnych myśli... A może ona?...

W głowie mu się zakręciło. Ach!... Jednocześnie przypomniał sobie noc przepędzoną pod mostem — drugą noc kiedy się nie rozbierał. Całodzienne włóczenie się po mieście, odpoczynek w zaroślach lasku Bulońskiego. Spojrzał po sobie. Ubranie zmięte, wysuszone nagle na słońcu po nocnej ulewie, trąciło wiatrem jak szerść psa legawego, co brodził po moczarach za kaczkami. Ręce i twarz umył przy kaskadzie w lasku, ale buty miał nieoczyszczone.

— Nie, ja tam dziś być nie mogę — zawołał. — Przecież wyglądam jak nieboskie stworzenie. Wysiądę.

Hrabia chwycił go za ramię.

— Nie puszczę, bierzemy cię takim, jakim jesteś — artysta-cygan. Hi, hi, proszę, to ma swój powab.

— Ależ.

— Nie puszczę.

— Nie wejdę.

Dorożka stanęła przed willą. Pani de Rocher w różowym szlafroczku, oglądała przepyszne róże sztamowe, rosnące przed werendą. Przez misterną kratę, plączącą się nad dość wysokim murem ogrodzenia, widzieli czerwoną jej parasolkę, niby krwawą plamę wśród zieleni.

Hrabia wyskoczył z powozu, podbiegł do furtki i wołał:

— Jesteśmy, piękna Thaido, ze zbiegiem. Ułowiłem go i nie puszczę.

Na dźwięk słów tych, piękna pani odwróciła się, przysłała wdzięczny uśmiech, z miejsca się jednak nie ruszyła. Natomiast wybiegł odźwierny, ażeby wpuścić przybyłych.

Zrejterować, poprostu było niepodobieństwem. Znalazł się tedy prawie niespodziewanie wobec tej kobiety, która opanowała niepodzielnie jego wyobraźnią, o której śnił i marzył... Stoi teraz przed nią onieśmielony, zażenowany, jakby przyłapany na gorącym uczynku przestępca. Ręce opuścił bezwładnie.

Wyobraża sobie, że ma minę nieznośnie głupią i to go jeszcze bardziej wyprowadza z równowagi.

— Chciałam z panem pomówić o pańskiej rzeźbie — zaczęła pani — a pan się nie pokazuje! Dają sto franków — nie wiedziałam, czy mogę przyjąć tak niską cenę.

— Ależ to przechodzi moje oczekiwania! Szkic pamięciowy, bez modela, drobiazg.

— Utwór pełen wyrazu — przyjmij pan słowa uznania od kobiety, która może się nie zna, ale czuje...

Wyciągnęła rękę.

Witold ucałował białą pieszczoną rękę gorąco i zrobiło mu się jakoś swobodniej, jakby pocałunkiem tym strącił gdzieś w przepaść świadomość swego położenia. Dotknięcie miękkiej dłoni kobiecej, niby prąd elektryczny rozbudziło do nowego życia więdnącą w zwątpieniu duszę.

— Wejdźcie panowie — proszę — do mieszkania.

Ale hrabia zaczął się żegnać.

— Zostawiam ci, o boska, naszego Fidyasza, sam zmykam, bo mam tysiące interesów na głowie. Chcę widzieć hrabinę d'Haute-Poule, ażeby przyjąć z jej ustek różanych podziękowanie za artykuł w „Monitorze". To głaszcze ambicye starego, hi, hi, hi. Muszę być u Ni-

ny — biedactwo nie domaga. Obiad jem dziś u tych poczciwych Rochebrunów. Do widzenia Thaido, do widzenia artysto.

Wycałował rzęsiście obnażone przedramię pięknej pani na wszystkie strony — podał rękę Witoldowi i wybiegł, podrygując, na ulicę.

Kiedy zostali sami, zapanowała chwila lekkiego zażenowania. Patrzyli na siebie z niepewnością, co mają począć, co mówić. Pani pierwsza odzyskała swobodę czynu i biorąc Witolda pod rękę, mówiła z odrobiną liryzmu w głosie.

— Podaj mi pan ramię, zaprowadzę pana do siebie. Nie mogę przyjmować gościa w ogrodzie, który przestał być moim. Musiałam do swojej willi wpuścić obcych ludzi, zachowując dla siebie tylko niewielki apartament na pierwszem piętrze. Patrz pan te róże, te piękne róże sztamowe, tak przedziwnie szkarłatne, ja sama wychowałam, jak własne dzieci. Dziś już tylko przychodzę je odwiedzać, przyjrzeć się im z daleka, kiedy słońce rozpurpurzy do największej potęgi ich płatki delikatne.

— Przepadam — mówiła — za tą mocną, palącą się w blaskach czerwienią — w oczach mi wtedy gra dziwna rozkosz i zda się krew w żyłach żywiej pulsuje. Nie znoszę róż bladych — wydają mi się jak anemiczne panny, co tęsknią za oblubieńcem, a niezdolne są po-

kochać silnie i gorąco. Wolę już inne kwiatki, białe, niebieskie i liliowe.

Obeszli barwne kwietniki dookoła. Z drugiej strony domu, kręte, żelazne schodki prowadziły na werendę pierwszego piętra. Pani de Rocher puściła rękę Witolda, uniosła z wdziękiem długiej powłoki szlafroczka i wspinać się zaczęła po stopniach. Witold podążał za nią wzruszony do utraty przytomności uczuciami, których też analizować, wbrew usposobieniu swemu w danej chwili, nie umiał.

— Zdaje mi się, że jestem szczęśliwy — powtarzał sobie.

Na werendzie zatrzymali się chwilę. Pani zaczerpnęła w piersi powietrza. Oddychała prędko i była zaróżowiona jakby po silnem zmęczeniu. Witoldowi wydała się teraz piękniejszą niż kiedykolwiek. Przeszli pokój jadalny. W salonie na środkowym stole stała „Chimera“ Ordona.

— Pańskie arcydzieło. Czyż źle wygląda w otoczeniu moich cacek?

— Za dobrze stanowczo — aż się wstydzę za nią.

Wtem piękna pani zbliżyła się poufale do artysty, wzięła go mocno za obie ręce i patrząc serdecznie w oczy, prosiła:

— Zrób mi pan wielką przysługę i chciej być szczerym i otwartym zemną, jak z naj-

lepszą przyjaciółką. Pańską rzeźbę sprzedałam komuś za sto franków — pieniędzy nie wzięłam, bo... bo nie wiedziałam, bo nie znałam ceny — nie powiedzieliście mi. Jeżeli pan chce mieć tę sumę zaraz...

— Oh, cóż znowu!

— Bardzo proszę...

— Ależ pani, ja doprawdy...

— Nie szczery pan jest ze mną. Ja wiem, artyści zawsze potrzebują gotówki. Mnie to różnicy nie robi.

— Pobiegła do starożytnego biurka, stojącego w rogu salonu i wyjęła z jednej z tysiąca skrytek papierek stu-frankowy.

— Proszę.

Witold się wahał...

— Przecież to się panu należy.

Wyciągnął rękę.

— O tak, dziękuję panu, najgoręcej dziękuję za dowód zaufania przyjacielskiego.

Oczy jej się roześmiały radośnie. Witold przypadł do jej rąk i całował je z zapałem: namiętnie, gorąco.

Naraz ogarnęło go przelotne uczucie wstydu, że tak gwałtownie manifestuje wdzięczność za otrzymane pieniądze. Ale ona patrzyła na niego tak serdecznie, tak poczciwie.

Głupstwo! — należy mi się, nie myślmy o tem.

Ogarnął wzrokiem jej postać wspaniałą...

— Kocham tę kobietę — myśli sobie — kocham na śmierć i życie, jakaś siła ciągnie mnie do niej fatalnie.

— Przejdźmy do buduaru — najlepiej lubię to moje zacisze. Będziemy gadali o wszystkiem i o rozmaitych innych rzeczach.

Pociągnęła go za rękę.

Znaleźli się znowu w tem samem ustroniu, wysłanem miękkim dywanem, przesyconem zapachem róż i jakichś innych odurzających woni. Siedzą na małej kanapie obok siebie, tak blizko, że czuje ciepło jej ciała, czuje jej oddech, zapach jej włosów. Są sami, zupełnie sami. Hrabia nie gra, jak wtedy, w przyległym salonie. Nie spotkali nawet pokojówki. Piękna pani mówi dużo z ożywieniem. On słucha, słucha, ale w głowie rodzą się jakieś wiry szalone, porywają go, niosą ze sobą w odmęty... Huczy burza krwi...

Siedzą na małej kanapie tak blizko... Wyciągnął rękę, spotkał jej ramię toczone. Nachylił się i przywarł doń płomiennemi wargami. Potem porwał wpół gwałtownie, cisnął z całej mocy do siebie, do piersi pałających, garnął jej gorące ciało, ustami szukał jej ust

czerwonych... A kiedy się spotkały, kiedy się złączyły w namiętnym, długim jak nieskończoność pocałunku, czuł jak ją przebiega dreszcz słodki, widział jak oczy jej przysłania mgła roskoszy... I była jego...

Tęsknota słodka i okrutna — cierpienie daje i z cierpienia rozkosz rodzi niepojętą. Rwie w sztuki, szarpie, skręca niecierpliwą duszę bólem pragnień nieziszczalnych, to pieściwie utula rozpłakaną czarem nadziemskich omamień. Spycha w gehennę bezdennego żalu i znów dźwiga w niebo na skrzydłach błogosławionej nadziei.

Okrutna, słodka tęsknota do ukochanej. Tęsknota o bladej twarzy mistycznej dziewicy. Tęsknota — krwawy upiór spokoju — cudowna prządka świetlanych miraży szczęśliwości!

Tydzień rozłąki, całe siedem długich dni, siedem nocy długich... Oszaleję.

Pani de Rocher wyjechała na wieś w sprawach familijnych.

Rodzina jej posiada starożytny zamek w Normandyi, gdzieś na skale nad brzegiem morza w pięknej krainie Calvados, wśród żyznych ła-

nów, wśród gajów grusz i jabłoni. Ma wrócić za tydzień. Czy wróci? Może nie wróci wcale — nie wróci do niego...

Zadrżał, i ciemno mu się w oczach zrobiło i bał się myśleć...

Zaledwie pożegnali się wczoraj na dworcu St. Lazare, zaledwie sam pozostał wśród tłumu, przystąpiła doń blada, okrutna pani — tęsknota. Stanęła obok i szła ciągle, natrętna: szła z nim między ludzi, nie opuszczała, kiedy sam zostawał, nie opuszczała na chwilę jedną. Siadła u łoża i sen z powiek płoszyła. Wzięła jej oblicze, jej postać, jej głos i ten zapach słodki jej ciała. I widzi ją całą, żywą, istotną i słyszy słowa jej miłosne i czuje ciepły oddech, a kiedy wyciągnie ramiona ażeby chwycić w objęcia, przycisnąć do piersi ukochaną — rozwiewa się w nicość, ginie...

Zrywa się wtedy i chce biedz, biedz hen nad morze, gdzie wśród grusz i jabłoni wznosi szczerbate mury stare, feodalne zamczysko. Biedz co sił, co tchu w piersiach, biedz do utraty myśli, czucia, świadomości.

Nie dość szybkie pociągi kolei żelaznych, nie dość szybki lot skrzydeł ptasich — mgnienie błyskawicy.

Być tam, przy niej, przypaść do kolan, pocałunkami okryć całą. Pocałunkami chłonąć

w siebie, chłonąć mózgiem, nerwami, krwią, chłonąć słuchem, wzrokiem.

Widzieć na chwilę jedną, na jedno mgnienie oka, jak o księżycu w noc pogodną przez cichy park zamkowy, pod koronami drzew wiekowych, idzie samotna, tęskna, marząca...

Samotna? Oh!

Dwa szeregi starych wiązów, jak dwie ściany nieprzebite: wierzchołki ich gęste, niby łby kędzierzawe, splątane ze sobą... Ciemna czeluść szpaleru — w ciemni tej postać jakaś majaczy — mężczyzna!

Ha, straszliwa zazdrość zawyła, zaskowytała w piersiach przeraźliwie, wstrętny czerw niepokoju zaląg się w sercu — gryzie je, toczy...

Być tam choć zdaleka, widzieć, mieć pewność!...

— Nieznośna męka! Oszaleję!

— Pojechać tam, stanąć na wsi w zajeździe, nie zdradzając swej obecności, podpełznąć pod mury zamku... Ha ha, ha! Tak bywa w romansie — w romansie ubogiego młodzieńca, co dąży za księżniczką o mil dwieście. Autor nie troszczy się bynajmniej, że młodzieniec nic nie robi przez czas pogoni za panią serca swego, nic nie zarabia, a podróże dyabelnie kosztują. Zkąd ubogi młodzieniec czerpie na to środki?

Gdyby mógł wsiąść do pociągu na St. Lazare, za kilka godzin byłby blizko niej — mógłby zajrzeć przez ogrodzenie do wnętrza tego gniazda dawnych feodałów. Ale życie nie jest romansem.

Sto franków, jakie dostał za swój szkic plastelinowy, prysło jak bańka mydlana. Ani się obejrzał, kiedy mu zostało zaledwie kilkanaście sous w kieszeni. Ale miał przynajmniej dach nad głową — mieszkanie na cały miesiąc zapłacone.

Tak zwana tabakierka, to jest pokój z okienkiem w dachu, którą najął za dwadzieścia franków miesięcznie, mieściła się na piątem piętrze starej, brudnej rudery przy ulicy St. Jacques. Ciasno tu było okropnie i Witold w strapieniach rozłąki, w gorączkowem podnieceniu, chodząc nerwowo wielkiemi krokami po pokoju, rozbijał się o ściany, jak ptak, złapany w potrzask, o pręty klatki.

— Oszaleję — powtarzał — zająć się czem... Wymodeluję tęsknotę swoją. Dam jej wyraz, dam ciało...

Chciał biedz do Boneckiego, prosić go o glinę, ale nagle przypomniał mu się Plewiński. W szczęściu nie myślał o nim — nie odwiedził ani razu. Od dziesięciu dni nie miał o nim wiadomości. Mógł stary wyzdrowieć lub umrzeć.

Uczuł wyrzuty sumienia, pobiegł więc spiesznie do szpitala Beaujon, gdzie malarza odwieziono.

Nie był to jednak dzień odwiedzin, miał więc już odejść z niczem, odprawiony przez odźwiernego, kiedy zbliżył się do niego młody człowiek, o twarzy słodkiej dziewczęcia i dziwnie dźwięcznym głosem, wprost po polsku zapytał:

— Pan jesteś rzeźbiarzem?

— Tak jest, nazywam się Witold Ordon.

— Czerwiński – przedstawił się tamten — jestem internem w tym szpitalu.

Podali sobie ręce.

— Plewiński dopytywał się ustawicznie o pana, dla tego się domyślam — zaczął student. — Spóźniłeś się pan.

— Więc umarł?

Nie jeszcze, ale jest bez przytomności — bredzi, strasznie bredzi, rzuca się, musimy go ciągle mieć na oku.

— Cóż to jest?

— Bo ja wiem — odparł — jakieś komplikacye. Mogę pana zaprowadzić na górę, właśnie tam idę.

— Czy stracono nadzieję, czy lekarze odstąpili? — pytał Witold.

— Hm, lekarze nigdy chorego nie odstępują — odrzekł krótko; otworzył bowiem drzwi

do wielkiej sali sklepionej, gdzie dwoma szeregami ustawione były łóżka. Każde z nich miało pawilonik, osłaniający je dookoła, z białego płótna.

Czysto tu było, cicho i pogodnie i bynajmniej nic nie przypominało ponurego nastroju cierpień i nędzy, czego ludzie domyślają się w szpitalach.

To też dziwnie donośnie rozbrzmiewał suchy, zmatowany, jakby nosowy dźwięk komendy wojskowej.

· Na prawo zwrot, naprzód marsz!

Głos wychodził z najdalszego kąta sali i rozbijał się pod sklepieniami.

— To Plewiński dowodzi fantastycznym hufcem gorączkowych widziadeł — mówił student — dziwna, co się tam dzieje w biednym chorym mózgu człowieka.

— Szlusuuuj! — wołał Plewiński z całem wytężeniem, na jakie stać było jego nędzne piersi.

Z pomiędzy białych firanek łóżka wychyliła się głowa jednego z chorych, siwa, o twarzy żółtej i pomiętej niemiłosiernie, chudej i wykrzywionej żółciowo.

— He, doktory! Wyrzućcie gdzie do morowej zarazy tego bułgarskiego czy tureckiego generała, bo mnie, kanalia, tak zdenerwował swoim krzykiem, że się chyba wściekne.

Zasnąć nie mogę. Wrzeszczy po całych dniach i nocach, jak w koszarach.

Inny śmiał się dobrodusznie:

— Ha, ha! — ten jest dobry — udał mi się.

Śmiech jednak widocznie sprawił mu ból wewnętrzny, bo zaraz jęknął żałośnie.

Zbliżyli się do łóżka Plewińskiego. Nie poznał Witolda — nie zwrócił nań nawet uwagi.

— Szlusuuuj! — komenderował, robiąc szybko piersiami.

— Dostanie zimną kąpiel, to mu na chwilę obniża temperaturę; odzyskuje więc częściowo przytomność — mówił Czerwiński, mierząc gorączkę.

Weszło dwóch posługaczy, wzięli chorego na ręce i zanieśli do sąsiedniego pokoju, gdzie były wanny.

Jakoż rzeczywiście w kąpieli spojrzał nieco przytomniej. Zwrócił oczy na Witolda i wpatrywał się weń długo i uparcie, wreszcie, jakby sobie przypomniał twarz znajomą, uśmiechnął się. Chciał coś mówić, poruszał ustami, ręką robił jakieś znaki.

— Poznajesz mnie pan? — pytał Witold.

Chory skinął głową potwierdzająco. Pokazywał ręką na głowę, na piersi — to znowu marszczył czoło, jak gdyby pracował mózgiem z nadzwyczajnym wysiłkiem.

— Chce panu coś powiedzieć — zauważył student. — Kiedy bywał przytomniejszy, zaklinał mnie na wszystko, ażebym pana sprowadził. Nie znałem adresu. Pytałem się wszystkich Polaków artystów: Podkowińskiego, Michalskiego, Löewego — nikt nie umiał mnie objaśnić. Byłem u Sałackiej, u Kocha. Dopiero pan Miron, z którym pan bliżej żyje, objaśnił mnie, że chwilowo mieszkacie z Boneckim. Miałem tam dziś być koniecznie. Choć właściwie jest już zapóźno — wątpię, aby odzyskał przytomność.

— Czy nie mówił panu, o co mu chodzi? — pytał Witold.

— Zaczynał coś bezładnie, o jakiemś zleceniu, o papierach, ale przerywał nagle i prosił ze łzami, ażeby pana sprowadzić.

— Papiery, zlecenia?! Więc niczego się już nie dowiem?

Ciążyła mu ta zapieczętowana paczka, którą po śmierci malarza, miał wręczyć jakiejś kobiecie. Co w niej jest; co znaczyć miało owo straszne słowo: zemsta? Nie mogli wtedy porozumieć się dokładniej. Weszli Pawłowscy — przeszkodzili.

A on w chwilach szczęścia zapomniał o wszystkiem, o całym świecie Bożym, o ludziach, obowiązkach, o sobie samym.

Bo też to były pierwsze w jego życiu dni

prawdziwej bezbrzeżnej szczęśliwości, pierwsza słodka czara dla jego ust spragnionych, więc pił z niej do zapamiętania się, do szału.

Dziś, trawiony tęsknotą do ukochanej, miotany niepokojem o trwałość swego szczęścia, staje jeszcze wobec wyrzutów sumienia, za niewypełnienie woli umierającego, woli narzuconej sobie przez jakieś tajemne pośrednictwo sił nieznanych, mistycznych, niepojętych; to przejmowało go jakimś dziwnym lękiem i wzruszało do głębi.

Dziś w chorej głowie tego człowieka zapanowały ponure mroki i niczego się już nie dowie, nic nie rozjaśni ciemności, wśród których kazano mu błądzić.

— Czy niema sposobu przywrócenia choremu przytomności, chociaż na chwilę? Niema dlań nadziei?

Czerwiński wzruszył ramionami.

— Czy nie znał pan w Warszawie Inowicza?

— Owszem.

— I Bzurę.

— Tak.

— Właśnie, zdawało mi się, że was tam spotykałem — mówił Czerwiński, zmieniając etykietalne pan, na poufałe — wy.

— To przecież jest okropne, że nie mogę się dowiedzieć, czego ten człowiek chciał ode-

mnie, co mi miał do powiedzenia — wołał z rozpaczą Witold. — Czy nie możnaby ze słów oderwanych, z gorączkowych majaczeń wywnioskować czegoś... ułożyć zdania...

— Jakie stosunki wąs łączą z malarzem? — spytał Czerwiński.

— Prawie żadne — krótka znajomość.

— To dziwne, bo przecież tak pragnął okropnie zobaczyć was — czekajcie, zaczął — zapisałem sobie nazwisko, które kazał wam przypomnieć.

Wyjął notatnik z kieszeni i przeczytał głośno:

— Rigaud.

— Na dźwięk ten, Plewiński otworzyl szeroko oczy i poruszył ustami.

— Panie Plewiński, panie Plewiński — wołał Witold, ale odpowiedzi nie było.

Posługacze szpitalni wyjęli go z wody, na chude przeraźliwie ciało, okryte okropnemi siniakami od baniek, które mu stawiano, włożyli długą koszulę i zanieśli na łóżko. Czerwiński odwiedzał innych chorych na sali. Witold usiadł przy Plewińskim w nadziei, że może zrobi mu się lepiej i będzie mógł mówić.

Chory leżał po kąpieli nieruchomo, wyczerpany i osłabiony, z oczami zamkniętemi. Po chwili jakoby się ożywiał. Poruszył się, zaczął mruczeć, potem wyrzucać z gardła pojedyńcze

nieartykulowane, chrapliwe dźwięki, wreszcie mówić bez związku monotonnie. Temperatura się podnosiła. I znowu rozległ się głośny, ostry krzyk komendy:

— Szlusuuuj!

Witolda przebiegł dreszcz. Było coś okropnego w tem okrzyku, który się rozbijał po żebrowaniach sklepienia olbrzymiej sali ponurem, żałobnem echem.

— Szlusuj! — krzyczał chory coraz silniej

Właściciel żółtej twarzy zaklął straszliwie.

Witolda zdenerwowało to do najwyższego stopnia, wszystkie fibry dygotać w nim zaczęły. Czuł, że jeżeli dłużej tu zostanie, wybuchnie spazmatycznym płaczem, jak histeryczka. Wstał cały drżący i szedł pożegnać się z Czerwińskim.

— Dajcie mi swój adres, jeżeliby mu się poprawiło — zawiadomię. W każdym razie możecie do szpitala wejść, kiedy wam się podoba. Tylko się nikogo o nic nie pytać — wezmą was za studenta.

— 117 rue St. Jacques — zapisał Czerwiński — znam ten dom.

Pożegnali się.

Witold biegł przez ludny, hałaśliwy Paryż, a w uszach dzwoniły mu ciągle okrzyki chorego malarza.

Do domu nie chciał wracać — bał się po-

prostu samotności. Wybrał się więc na poszukiwanie kogoś ze znajomych. U George'a zastał tylko Boneckiego, ale już w bardzo podnieconym stanie. Miron od jakiegoś czasu nie pokazywał się tu wcale, co zaczęło niepokoić Matyldę. Kiedy więc zobaczyła rzeźbiarza, zbliżyła się doń ukradkiem i bojaźliwie wypytywała, czy dawno widział przyjaciela, czy nie wie, co porabia, gdzie się obraca? W głosie jej był smutek i jakaś bolesna rezygnacya.

— Ja wiem, on teraz do nas nie przyjdzie... On bywa u kogo innego.

Witold czuł, że nie powinien mówić tej kobiecie wszystkiego co wie, starał się więc sprowadzić rozmowę na inne tory, ale ona wracała uparcie do swego przedmiotu.

— Widziałeś ją pan, ładna?

— Kto?

— O, bo ja wiem, jak się nazywa. No, ta — nie ukrywaj pan przedemną...

Zbliżał się ugrzeczniony George, co położyło koniec pytaniom, nadto Bonecki urządził poważną dywersyę piekielnym hałasem, jaki nagle wybuchł w drugim kącie izby. Wziął się za bary, zresztą całkowicie wedle reguł zapaśniczych, z olbrzymim, usmolonym na czarno węglarzem, podobno atletą zawodowym. Walka była krótka, a w rezultacie jej, rzeźbiarz leżał wyciągnięty jak długi pod przewró-

conym stołem, wśród potłuczonych szklanek i butelek. Gospodarz i gospodyni podążyli na miejsce katastrofy. Witold zaś korzystając z zamieszania, zapłacił cztery sous za ćwiartkę wina i wysunął się po cichu z szynkowni.

Znalazłszy się w swojej tabakierce, próbował czytać — miał bowiem kilka książek z biblioteki pani de Rocher.

Przebiegał wzrokiem kartki mechanicznie, nie rozumiejąc zgoła tego, co czyta.

Zanadto był wzburzony. Odrzucił książkę — zdmuchnął świecę i próbował usnąć. Długo jednak przewracał się z boku na bok, niepokojony rozterką sprzecznych uczuć, wreszcie zmęczenie wzięło górę — kojący sen skleił powieki.

Po północy zbudziło go gwałtowne szarpnięcie za rękę i głos Mirona.

— Witold, śpisz? Zapal świecę!

— Co się sało?

— Nieszczęście. Złapali *greków* i *cercle* policya zamknęła.

Witold siadł na łóżku. Nic nie rozumiał.

— O czterdzieści kart było za wiele. Nakryli ptaszków — budę zamknęli...

— Co, jak, gdzie?

— Klub zamknęli.

— Więc co?

— Nie mam gdzie grać.

— To bardzo szczęśliwie.

— To klęska! to dla mnie powróz na szyję, to rozpacz — wołał malarz. — Nie wylazłbym z interesów póki życia. Ha, ha. Gdybym miał liczyć na obrazy — powiesiłbym się. Bój się Boga, co ja mam długów — przejść nie dają!... Teraz nie mam gdzie grać.

— Więc co?

— Zaprowadź mnie do tej twojej margrabiny — tam grają — sprobuję...

— Wyjechała.

— Kiedy?

— Wczoraj.

— Ha, niech to wszyscy dyabli porwą! Co ja zrobię, co ja zrobię? Nie znasz kogoś, coby mnie wprowadził do *presse'y*, albo do jakiego innego tripotu — psia kość! Może ten hrabia? Przecież muszę znaleść gdzieś baccara, inaczej zginę z bebechami.

Chodził po pokoju wielkiemi krokami bardzo podniecony. Wreszcie zatrzymawszy się przed Witoldem, mówił jakby bardzo kontent z siebie:

— A jednak moja metoda nie zawodzi.

— No?

— Przegrywałem — oczywiście musiałem przegrywać, skoro trafiłem na szulerów, gdyby jednak rzecz szła normalnie i uczciwie, wygrałbym niezawodnie — jak dwa a dwa

cztery. — Tak uczy rachunek prawdopodobieństwa.

* * *

Z Mironem jakoś znowu zacisnął się silnej węzeł przyjaźni. Malarz odwiedzał dawnego kolegę, prawie codziennie — więcej — całemi godzinami przesiadywał w tabakierce na ulicy St. Jacques; tu załatwiał niektóre sprawy, tu przyjmował wizyty różnych figur, mających doń jakieś tajemne interesy. Nie robił tego u siebie w hotelu Pot de Vins, gdzie stale dotąd mieszkał, jakoby dla tego, że zanadto był zadłużony właścicielce i nie chciał, ażeby ta gadatliwa pani robiła cierpkie uwagi wobec jego znajomych, a może też z innych, bardziej głębokich powodów, dość, że schadzki w ciasnem mieszkaniu rzeźbiarza, stawały się coraz częstsze i coraz dłużej w noc przeciągały się posiedzenia na poważnych naradach.

Z narad tych Witold był wyłączony, jakkolwiek znał dobrze materyę, około której się toczyły.

Blady strach padł w tym czasie na karciarzy paryskich. Policya baczną opiekę rozciągnęła nad domami gry — przyłapywano oszustów, a każde przyłapanie takie pociągało za sobą zamknięcie szulerni. Tym sposobem

poza całem mnóstwem drobnych tripotów, ciemnych jaskiń, gdzie poprostu obdzierano naiwnych w sposób najbardziej pierwotny, załamało się kilka wspaniałych z nadzwyczajnym przepychem urządzonych klubów, jak naprzykład wielki cercle de l'Opera i dwa inne na włoskich bulwarach. Złapał ktoś za rękę Greka, któremu zaplątało się w talii kilka kart niepotrzebnych, już zamykano złocone podwoje przebogatych apartamentów, o wytwornem, za setki tysięcy franków, umeblowaniu, gdzie suto zastawione stoły i pełne czasze szampana oczekiwały co wieczór miłych gości. Już to niewyczerpana była gościnność tych przybytków niewinnej zabawy.

Miron, wyrwawszy skąd sto franków, biegł tam próbować szczęścia. Za skromną opłatą dwóch franków, ustanowioną raczej dla formy, niż dla potrzeby, dostawało się tam wytworny obiad — wino i napoje chłodzące roznoszono darmo. Nie tego jednak żal mu teraz, kiedy zamknięto mu przed nosem drogę do owej Capui. Ma sto franków, ma nową doskonałą kombinacyę — wygrałby z pewnością...

Istnieje bardzo poważny klub prasy — i kilka innych lepiej notowanych domów, ale tam trzeba być wprowadzonym. Dawni znajomi z klubu skompromitowani są nieco — ba, ktoś tam dostał się do kozy...

Miron szuka człowieka.

Przez mieszkanie Witolda przesunęła się więc cała galerya postaci, do których w dziwactwie swem czegoś nie miał zaufania, pomimo iż byli to ludzie na ogół niezmiernie eleganccy.

Przychodzi o północy pewnego dnia do domu. — Trzech panów w cylindrach siedzi na łóżku — dwóch innych, również w kapeluszach na głowie, zajęli stół i krzesło. Miron stoi pośrodku.

Debatują.

Rej prowadzi szykowny młodzieniec o rysach twarzy semickich. Pochodzi z Lublina, ale się nazywa Sieradzki — Izydor Sieradzki. Inni, to Włoch, Hiszpan i dwóch Francuzów. Pan Izydor przedstawia panów bardzo poprawną francuzczyzną, tylko francuzkie *u* w wymowie jego brzmi wyraźnie jak polskie *i*. — Pan Planquette, student prawa, pan Pini, rożek w orkiestrze teatru Cluny, pan Verga, przemysłowiec z Madrytu, pan Rigaud, artysta dramatyczny.

— Witold drgnął.

Przyglądał się twarzy aktora, wygolonej i zmiętej, z której trudno było wieku się domyśleć.

— Czyżby to miał być ten człowiek, któ-

rego poszukuje z uporem maniaka stary Pawłowski, co związał się jakimś fatalnym węzłem z losami Plewińskiego i tej kobiety do której ma straszne, zagrobowe polecenie.

Kiedy wszedł, dyskusya się nagle urwała. Wydawało się jakoby byli zażenowani jego obecnością — porozumiewano się półsłówkami, wreszcie, po kilku grzecznych frazesach na benefis gospodarza, towarzystwo się wyniosło.

Witold zatrzymał Mirona.

— Zkąd znasz tego aktora?

— Rigaud?

— Tak.

— Nie znam go właściwie wcale — spotykałem się z nim w klubie. Teraz łączy nas wspólna klęska — nie mamy gdzie grać.

— Kto ci go przedstawił?

— Nie pamiętam.

— Na wszystkie świętości, dowiedz się, co zacz — zaklinał rzeźbiarz — ogromnie mi na tem zależy.

— Wprost go się zapytam — zakończył, wychodząc. — Do jutra!

Nad ranem Witold dostał od Czerwińskiego kartkę, wysłaną pocztą pneumatyczną:

„Plewiński umarł dziś w nocy, do końca przytomności nie odzyskał. Jeżeli się rodzina

zgłosi, pogrzeb odbędzie się we środę. W każdym razie zobaczcie się ze mną w szpitalu — może trzeba będzie coś obmyśleć, przecież to rodak i nie bez zasług.

Wasz C z e r w i ń s k i".

Witold ubrał się spiesznie i pobiegł do szpitala.

Deszcz chlapał od rana.

Przed kostnicą szpitalną zebrała się spora gromadka Polaków na pogrzeb rodaka.

Było to wielką niespodzianką dla młodego Pawłowskiego, który, bynajmniej nie oczekiwał tak licznego zebrania za trumną cichego, nieznanego kopisty, urządził mu też pogrzeb o ile możności najskromniejszy. Najbiedniejszy, jednokonny karawan miał zawieźć w prostej szpitalnej trumnie zwłoki malarza na cmentarz.

Czerwińskiemu w kancelaryi powiedziano, iż rodzina załatwia wszelkie formalności pogrzebowe, nie miał tu więc nic do roboty, natomiast zajął się gorliwie zwołaniem przyzwoitego orszaku, któryby godnie odprowadził tego nieszczęsnego, zapoznanego za życia samotnika, na miejsce wiecznego spoczynku. Bez ogłoszeń, bez klepsydr, zbiegła się kolonia polska ze wszech stron Paryża; znalazły się wieńce,

kwiaty i wstęgi z gorącymi napisami, z wyrazami czci i uznania.

Pawłowski wzruszał ramionami i drwiąco patrzył na stojące w słocie pod parasolami grupy przybyłych, na ich kwiaty i wieńce, na te wszystkie oznaki szacunku dla zmarłego.

— Po co to, dla kogo to?

Witold przyleciał zziajany, kiedy już trumnę ustawiono na karawanie. Do ostatniej chwili czekał u siebie na Mirona, który miał tam być z wieńcem od artystów plastyków, niedoczekawszy się go, biegł co tchu, żeby się nie spóźnić.

— Waszych jeszcze nie ma — przywitał go wymówką Czerwiński.

Witold rozłożył ręce.

— Spóźnili się — przyjdą.

Kondukt ruszył z miejsca. Długi ogon rozciągnął się za żałobnym wozem. Szli w nieładzie mężczyźni, kobiety, pomięszani gromadkami po kilka i kilkanaście osób, to pojedyńczo wlokły się postacie różnych stanów i sfer towarzyskich.

Francuzi zatrzymywali się na ulicy i patrzyli ze zdziwieniem na ten orszak tak liczny i tak różnolity, który dążył za karawanem nędzarzy, zdumiewała ich ilość wieńców, jakie okrywały białe, nie malowane deski trumny

szpitalnej, zastanawiał szczególniejszy nieporządek, w jakim postępowali zebrani.

Na pogrzebach francuzkich, mężczyźni biorą się pod ręce po czterech lub po sześciu i idą szeregami w zwartej kolumnie — kobiety osobno na końcu, tu zgoła inaczej...

Do Witolda zbliżył się mężczyzna z czarną brodą i czarnemi puklami długich włosów, wysuwających się z pod miękkiego, straszliwie wygniecionego kapelusza. Pomimo zaniedbania, był prawie piękny ze swojem spojrzeniem melancholijnem i myślącem i klasycznym rysunkiem ust pod niewielkim wąsem.

— Szarski — przedstawił się — podając rękę.

Witold wymienił swoje nazwisko.

— Mówił mi Czerwiński — zaczął brunet — żeście się znali z Bzurą i Inowiczem. Uważacie, przyjeżdża tu kupa różnej hołoty — figur podejrzanych. Póki się kto nie wylegitymuje z jakich porządnych stosunków w kraju — nie gadamy. Bzura dobra legitymacya, Inowicz też. Inowicz w Szwajcaryi — wiecie?

— Owszem.

— Przyjdźcie na Glasiery — poznamy się bliżej. — Mówił krótkiemi, urywanemi zdaniami. — Przyjdźcie do mnie pod dwudziesty — spotkacie garstkę ludzi lepszych, kilka po-

rządnych bab, kilku facetów... Ten Plewiński był tęgi chłop — wiecie?

— Nie znałem go bliżej.

— Ba, dzielna dusza w nikczemnem ciele— wiecie?

— Dla mnie niezmiernie sympatyczny i... bo ja wiem, coś mnie ciągnęło...

— Hołota — wykrzyknął nagle Szarski — byliby go wrzucili do dołu, jak pierwszego lepszego włóczęgę paryzkiego! A Francuzi także!... Bił się za nich w siedemdziesiątym roku. Pod Dijon był ranny — wiecie?

— Podobno.

— Ba, w szarży oficerskiej — i nic, nikt się nie zatroszczył. Zabrałem ze sobą mojego Francuza — wiecie — deputowany. Brał udział w wojnie i w komunie, teraz jest deputowanym — dobry mówca. Będzie więc jedna mowa francuzka; doktór powie od starszej generacyi, niby od rówieśników Plewińskiego! — ja od młodych. Może byście co powiedzieli od artystów.

Witold zmięszał się.

— Nieprzygotowałem się.

Tamten machnął lekceważąco ręką.

— Wogóle nie wieleście dla Plewińskiego zrobili. Czerwiński na was liczył.

— Doktora Marczewskiego znacie? — spytał nagle.

— Nie.

Wziął go pod rękę i zwrócił w tył. Za nimi właśnie szedł człowiek wysoki, barczysty, o ruchach ciężkich, z głową pochyloną, z długiemi obwisłemi wąsami, przypominający całą postawą wachmistrza od dragonów.

— Poznajcie się. Doktór Marczewski.

Doktór, po zamienieniu nazwisk, wziął Szarskiego pod ramię i uprowadził w bok na pogawędkę. Witold został sam i teraz dopiero zobaczył starego Pawłowskiego, którego prowadziła za rękę kobieta trzydziestokilkoletnia, w ciemnej sukni, wysoka, smukła, bardzo blada, ale bardzo jeszcze przystojna. Stary ślepiec wydał mu się teraz jako Edyp, wspierający się na wiotkiej postaci czułej Antygony. Ogromny, poważny siwizną długiej brody, szedł jak ów nieszczęsny król tebański, podawszy naprzód głowę i piersi, wyciągnąwszy przed siebie rękę ruchem niewidomych. Ona cicha, spokojna, smętna, prowadziła go zrezygnowana jak przeznaczenie. Obok postępowała dziewczyna...

Julia Rigaud! Tak, to ona, rysowniczka z sali Jana Goujon. Ta smutna, blada pani, prowadząca ślepego Pawłowskiego, to jej matka — kobieta, do której ma polecenie umarłego.

Troje tych ludzi zaczyna pochłaniać cał-

kowicie jego uwagę. Idzie za nimi krok za krokiem, śledzi, jak rzadkie, rozrobione błoto ocieka z ich obuwia przy każdem podniesieniu nogi. Julja ma grube niezgrabne trzewiki, prawdopodobnie za duże na nią. Idzie ciężko, machając rękami. Z pod nędznego kapelusika wymyka się warkocz, przewiązany ciemną wstążką.

— Co mnie ta dziewczyna obchodzi?

A jednak hypnotyzuje go swoją osobą. Dziwne!

— Zmarły Plewiński, pani Rigaud... ja?

Przeszli fortyfikacye. Kondukt dąży do oddalonego cmentarza.

Mignęło po bokach drogi trochę zielonej murawy, kawał ciemnej uprawnej gleby i znowu siwieją mury, rzekłbyś dalszy ciąg Paryża, sterczą szeregi domów, ale mniejsze, niby jakieś skarlałe miasto.

Pada ciągle. Deszcz drobny siecze ukośnie i zasnuwa widnokrąg, jak pajęczyna, szarą tkanką rozpylonej wody.

W wilgotnej, gęstej zamroczy mętnieją dalsze przedmioty, a potem giną zupełnie, jakby się w nicość rozpływały i zda się, że spadła z nieba głęboka opona gęstych mgieł, co przedziela świat na dwoje.

Co za oponą tą? Dokąd dąży smutny wóz

żałobny i wlecze za sobą — jego i tych wszystkich?

Chudy koń przecina piersiami deszczowe smugi i zapada wraz z karawanem i białą trumną, gdzieś w dal nieznaną, tajemną...

Zmęczony przeszło godzinnym, powolnym marszem, uczuwa znużenie; posuwa się naprzód automatycznie, a myśl zaczyna pracować...

Zda mu się, że widzi jakieś dziwne nici, które go fatalnie wiążą z karawanem i ciągną go za nim, te same nici oplątały tych troje ludzi, sunących przed nim.

Rozplątać ich nie potrafi, pójdą więc razem, wiedzeni siłą nieubłaganej konieczności.

Dokąd?

Orszak rozciągał się coraz bardziej.

Mniej wytrwali odpadali po drodze, została już nieliczna tylko garstka najgorliwszych.

Gdyby Plewiński mógł słyszeć gorące, entuzyastyczne mowy, wygłoszone na swoim pogrzebie, osłodziło by mu to niezawodnie gorycz i liczne zawody ciężkiego żywota.

Był tylko skromnym kopistą — w malarstwie nie zrobił nic absolutnie, imię jego nie zabłysło jaśniej wśród wielkich koryfeuszów sztuki, przechodził między ludźmi biedny, nieznany, lekceważony, aż oto ludzie ci nad otwartą mogiłą dowiadują się, iż składają w nią śmiertelne szczątki bohatera — bohatera poświęcenia, obowiązku, idei, co na ołtarzu dobra publicznego składał w ofierze siły swe, zdrowie i życie, z zaparciem się własnych korzyści.

Witolda zdjął wstyd i jakby niechęć do samego siebie.

Czemże on jest ze swojemi egoistycznemi dążeniami, ze swoją jednostronną pogonią za

doskonałością w sztuce? Czego właściwie od sztuki tej oczekiwał?

Sławy, dostatków, użycia i czysto zmysłowego zadowolenia w najszerszem tego słowa znaczeniu, bo jakiejś egzaltowanej radości dla oczu z pięknych kształtów i wytwornej linii, jakiejś subtelnej pieszczoty dotyku w miękkiej, soczystej modelacyi.

Czy taki Miron nie nurza się formalnie w rozpuście barw, czy inni nie zniepráwiają się dla melodyjnych dźwięcznych wrażeń słuchowych. A poza tem wszystkiem dziwna łechczywość miłości własnej.

Niepowodzenia swoje, swe niedołęstwo, nieudolność, w zdobyciu formy podnosi się do znaczenia tytanicznych zapasów ze złośliwymi potęgami, czyni przedmiotem tworzenia i każe się bliźnim radować z tryumfów lub płakać nad upadkiem.

Czemże są te rozpaczne żale na brak uznania u współczesnych, rozdzierające serce jeremiady geniuszów zapoznanych. Czem ten jego umiłowany pomysł, ta chimera tragiczna — chimera — sztuka druzgocząca człowieka, co jak ćma, dążąc do światła, ginie w płomieniach.

Egotyzm, egotyzm! Mały, nizki, ciasny ten egocentryczny punkt widzenia — zapatrzenie się fakira we własny pępek!

Co to ludzkość obchodzić może, że ktoś w niemocy twórczej szarpie się jak potępieniec? Czy może być coś równie niemądrego, jak ów oklepany przez salonowych deklamatorów wiersz Balińskiego, niby gloryfikujący poetę.

„Męczarnie wieszcza w chwili tworzenia, to boleść matki w chwili porodu“...

Ha, ha, cóż za mały pożytek z tych bólów porodowych, z tego, że jakiś tam czułek wśród piekielnych cierpień wystęka sonet do ukochanej. Kilka idyotycznych, banalnych westchnień, trochę grubych zmysłowych zwierzeń...

Cóż ztąd, że końcówki się rymują, że wiersz brzmi rytmicznie...

Inny mazgaj, drapiąc się po żebrach, wyobraża sobie, że mu sęp straszliwy pożera wątrobę, każe więc światu wierzyć w swoje prometejstwo. Ha, ha! nie w tem zasługa Prometeusza, że wrzaskiem wstrząsał skały Kaukazu, lecz że wykradł bogom ogień, potrzebny ziemianom do przygotowania pieczeni.

Czynu, roboty jakiejś realnej, pozytywnej, owocnej, bo życie to będzie jak bańka mydlana tęczowe, puste i nieważkie. Życie bez historyi!

A jednak ten człowiek pełen zasług, zacny, dzielny, szlachetny, umierał z sercem rozgoryczonem. Plewiński — kopista żalił się na sztukę, że mu nie dała zostać twórcą. Plewiński,

cichy bohater, przeklinał losy, że mu nie pozwoliły być kochankiem. Ha, sztuka mu była macochą — los okrutnym szydercą...

Człowiek jest przedewszystkiem samolubem. Jedna fala przyjemnych wspomnień zmienia tok myśli, zwęża kąt widzenia, zabarwia szczególniej szkła, których pomimo usiłowań z nosa zrzucić nie jesteśmy w stanie, a które fatalnie wykrzywiają nam przed oczami istotne kształty i zmieniają rzeczywiste barwy rzeczy.

Witold, zmęczony długą pieszą wędrówką na cmentarz, zmoczony, przejęty smutnym i wzniosłym zarazem nastrojem obrzędu, leżał na łóżku w ciasnem mieszkaniu swojem, oddając się powyższym refleksyom.

Długo trapiła go myśl, iż zbliżył się już czas spełnienia woli umierającego i doręczenia powierzonych sobie papierów wedle przeznaczenia.

Na pogrzebie dowiedział się, gdzie może znaleźć panią Rigaud, wmówił w siebie jednak, iż nie należy niepokoić tej kobiety w tej chwili, po zgonie człowieka, który ją mógł bliżej obchodzić.

Na tym punkcie załatwił się z sumieniem bardzo szybko.

— Daję sobie tydzień czasu — myślał — zwyczajna delikatność tego wymaga.

Schował papiery do szuflady stolika i przestały go niepokoić.

Natomiast dźwięczały mu w uszach gorące mowy doktora, Szarskiego, a zwłaszcza namiętne, ogniste przemówienie deputowanego, Francuza z krwi i kości, urodzonego mówcy, wyrobionego przytem do doskonałości przez długą karyerę parlamentarną. Zazdrościł prawie tej garstce prochów zamkniętych w prostej drewnianej trumnie — zazdrościł człowiekowi pięknej przeszłości.

Nagłe przypomnienie zmieniło kierunek marzeń.

Człowiek jest samolubem! Dla Plewińskiego sztuka była złą macochą, dla niego dobrotliwą panią.

Tworzy... Przytem, ach ona mu rzuciła w objęcia kobietę przepiękną, wspaniałą, pełną czaru, kobietę, na którą oczu by nie śmiał podnieść i która by też ze swej strony nie raczyła jego obdarzyć spojrzeniem, gdyby nie był artystą. Sztuka rzuciła mu ją w objęcia u progów świątyni, do której wstępował. Gdyby umierał dzisiaj, już nie zawoła jak nieszczęsny Plewiński: co za próżnia, nie byłem kochany, nie zaznałem jednej słodkiej pieszczoty, jednego gorącego pocałunku!...

Oni się kochają do szału. Wśród namiętnych pocałunków zatracają poczucie czasu,

miejsca, zapominają o świecie, o wszystkiem, wszystkiem... Ona mu pozwala pić czar swych wdzięków, chłonąć rozkosz ciała...

Ujrzeć ją teraz.

Zajęty sprawami pogrzebowemi, od dwóch dni nie był pod oknami willi... Może przyjechała.

Nie czuje zmęczenia, nie zważa na późną porę i biegnie tam, gdzie chodził codzień prawie i wpatrywał się w znane okna, czy nie dojrzy śladów obecności ukochanej, ale rolety były zapuszczone, drzwi na werendzie szczelnie zamknięte z zewnątrz żelazną sztabą. Pani de Rocher nie wracała.

Dziś już z daleka dostrzegł światło w salonie. Przyspieszył kroku, biegł prawie z bijącem sercem. Było wprawdzie po dziesiątej, ale przecież jego przyjąć powinna — jego, co tęsknił tak długo, co gryzł palce z niecierpliwości kochania, co szalał z pragnienia pieszczoty, nie skarże na męki oczekiwań. Wszak i ona go kocha...

Miał już nacisnąć guzik dzwonka elektrycznego u furtki, kiedy uszu jego doleciały lekkie akordy przegrywki, a potem pierwsze takty aryi miłosnej z Fausta, śpiewane pięknym tenorem:

„Salut demeure chaste et pure!“

Pani de Rocher ma gości. Zawahał się.

Nie wypada wchodzić tak późno, nie wypada kompromitować kobiety...

Ale pieśń się urwała. Akompaniament wrócił znowu do początkowych akordów i tenor powtórzył, z innym już tylko nieco akcentem:

„Salut demeure chaste et pure!"

Więc to nie popis, nie koncert salonowy.

Śpiew rwał się ciągle, jeden frazes powtarzano kilkakrotnie. Była to lekcya śpiewu. Pani de Rocher uczy kogoś śpiewać, wszak i jemu to proponowała...

Zrobiło mu się w oczach żółto.

Kto tam jest u jego kochanki? Tenor — oczywiście młody, przystojny — rywal!...

Straszna, piekąca zazdrość zalała serce. I nagle przed wzrokiem zaczęły migotać czerwone plamki, niby płatki maku wirujące w powietrzu, a potem czerwona fala krwi chlusnęła do mózgu i widzi czerwono, czerwono, jakby w duszy rozbłysły łuny pożarów.

Wpaść tam... z bronią... ach!

I macał się po kieszeni. Innej broni prócz scyzoryka nie miał przy sobie. Otworzył go i cisnął w ręku konwulsyjnie. Wtem zdało mu się, że jakaś postać przesunęła przez salon.

— Więc nie są sami!

To go trochę uspokoiło, a zarazem uczuł śmieszność położenia. Gniecie w garści scyzoryk — co za głupstwo!

Wdrapał się na mur i wlepił wzrok w oświetlone szyby salonu, czy nie ujrzy w nich więcej osób. Szyby te były odsłonięte i gorzały krwawo od czerwonych abażurów nad lampami. W sąsiedniej sypialni przez zapuszczoną roletę przebijało się blade światło alabastrowej ampli.

Blade, drażniące światło sypialni.

Usłyszał kroki na ulicy, przesadził kratę i znalazł się w ogrodzie. Przesunął się między krzewami, podpełznął pod schody werendy i stanął pod drzwiami salonu. Drzwi jednak były zamknięte sztabą żelazną.

Przywarł więc uchem do drzewa i łowił każde słowo, każdy najdrobniejszy szelest.

Lekcya śpiewu trwała długo. Piękna pani mozolnie pracowała nad głosem, który był istotnie piękny, ale zupełnie jeszcze surowy i niewyrobiony.

— Jestem do niczego? — słyszy przez drzwi zapytanie mężczyzny.

— Ależ przeciwnie, materyał przepiękny, należy tylko głos postawić właściwie, będziesz pan mógł wystąpić w operze po dwóch latach nauki. Ja ręczę — odpowiada pani de Rocher

— Pani jesteś zbyt łaskawą dla mnie..,

Słyszy trzask zamykanego fortepianu i kroki oddalających się. W salonie zapanowała cisza.

Zbiegł z werendy i obszedł dom dookoła. W buduarze, w jadalnym pokoju było ciemno, świeciło się tylko w mieszkaniu pokojówki. Witold znał dobrze rozkład mieszkania. Przychodził często bardzo późno, pani go czekała na werendzie, przeprowadzała przez salon, tą drogą też wychodził.

Teraz drzwi są zamknięte na sztabę żelazną, gość wyjść musi schodami frontowymi.

Stanął więc przy drzwiach, ukryty za krzakiem bzu i czekał.

W salonie gaszono lampy, konało nagle światło jedno po drugiem i stało się ciemno zupełnie. Z sypialni tylko przez zapuszczoną roletę przerzyna się blado alabastrowa ampla i hypnotyzuje Witolda.

Nikt nie wychodził.

Mroki nocne zaczęły się przerzedzać. Sączyła się zkądś łagodna, rozproszona światłość. Alabastrowa ampla coraz mniej wyraźniej znaczyła się bladą plamą na szarzejącem płótnie rolety.

Piekło! Piekło wrzało mu w duszy. Co chwila jakieś szalone wściekłe burze zrywały się w piersiach, chciał krzyczeć, wybić kamieniem okno... Wpaść tam z nożem w ręku... Obawa śmieszności stała się teraz sterem wśród rozszalałych żywiołowo namiętności.

Każe mnie wyrzucić za drzwi. Jakież właściwie prawo mogę mieć do niej. Czy wogóle stosunek taki mógł mieć przyszłość, trwałość?... Stało się, co się stać musiało... Ha, ale dlaczego stało się tak nagle, nieoczekiwanie, w chwili, kiedy zdawało mu się, że jest u szczytów szczęśliwości. Ależ to jest nikczemne, upokarzające, to jest straszliwe uderzenie maczugi, którego przeżyć nie będę wstanie.

I znowu okropny ból zatargał całą istotą, i znowu mózg zamroczyło nieprzeparte pragnienie jakiegoś gwałtownego czynu. Czuł, że jeżeli chwilę jeszcze tu pozostanie, popełni straszliwe szaleństwo...

Postanowił uciec. Widok tego okna rozbielonego światłem nocnej lampki, okna, za którem ona, tak niedawno jeszcze z nim... a dziś...

Przeskoczył mur ogrodzenia, nie przedsiębiorąc środków ostrożności. Kiedy się znalazł na ulicy, spadłszy na trotuar z dość znacznej wysokości, usłyszał za sobą przyspieszone kroki i wołanie:

— Złodziej, złodziej!

Puścił się z całej siły, uświadomiwszy sobie niebezpieczeństwo, na jakie był narażony. Długo jeszcze słyszał za sobą krzyk i dudnie-

nie grubych, podkutych trzewików po kamieniach chodnika.

Przedział jednak między uciekającym i goniącym zwiększał się ciągle. Głos kroków stawał się mniej wyraźny. Na szczęście nikt mu drogi nie zastąpił od przodu i kiedy Witold znalazł się w szerokiej zacienionej alei koło Trocadero, pogoń ustała zupełnie.

Do domu przyszedł, kiedy już było zupełnie widno. Na dole, w biurze hotelowem nie zastał swego klucza na miejscu. Domyślał się, iż musi tam być Miron, który często sobie w ten sposób poczynał. Zabierał klucz i zakwaterowywał się wygodnie, jak u siebie.

Zaklął straszliwie, czuł potrzebę poszarpania czegoś ze złości.

Rozerwał koszulę pod szyją.

Pragnie dziś być sam koniecznie. Pali go zazdrość, wstyd, boli nieznośnie krwawa rana miłości własnej.

W mieszkaniu na łóżku leżał jegomość jakiś nierozebrany, w surducie lecz bez spodni.

Na odgłos skrzypnięcia drzwi, zerwał się na równe nogi i podbiegł do Witolda.

— Zapewne pan Ordon? Jestem Sobol.

— Nie znam. Co pan robisz w mojem mieszkaniu? — zawołał w najwyższej pasyi Witold.

— Przedstawiłem się panu, do cholery — krzyknął znów tamten buńczucznie — czego pan robi brewerye.

Postawieniem się tym wprost zdetonował rzeźbiarza.

— Jakto, więc w swojem własnem mieszkaniu niema prawa zapytać?

— Pożyczyłem Mironowi spodni — zaczął gość szczególny — bo mu się jego „niegodne wspomnienia“, dyabelnie podfatygowały. Poszedł na gierkę, a ja czekam.

— Ażeby was pioruny spaliły! — mruknął gospodarz. — Chcę spać, chcę być sam... dosyć mam tego.

— No, nie możesz pan wymagać, ażebym w tym kostiumie przez miasto wędrował. — Pokazał na nogi. — W Mironowych też niekoniecznie, bo mam za krótki surdut, byłby skandal!

— A cóż mnie to wszystko obchodzić może,— desperował rzeźbiarz. — Czego wy odemnie chcecie, po co mnie nachodzicie? Dla czego Miron nie urządza tych szulerskich schadzek u siebie.

Sobol zaśmiał się i zaczął mrugać znacząco.

— Ba, i ja bym może wolal poczekać w jego mieszkaniu. Hi, hi, hi! Pocieszałbym

tęskniącą Klarę... Ale Miron, bestya, zazdrosny jest jak stary jeleń.

— Bo wie pan, on mieszka z tą małą Klarą. Sprowadziła się do niego i ta kanalia nie wpuszcza nikogo do mieszkania, a jej też nie wypuszcza na chwilę z domu. Nieraz dziewczyna całemi dniami nic w ustach nie ma, jak się chłop zahula na mieście. Boi się biedactwo zejść na dół do kremeryi.

— Ha, ha — zaśmiał się Witold — może to jedyny sposób zapewnienia wierności niewieściej, spokoju. Uczuł jakąś złą radość w sercu. Dobrze jej tak, swoją drogą Miron szelma.

— Phi, panie, fijoł nielada, nie pozwoli sobie kołków na ciemieniu ciosać. Ale mu teraz wena nie służy, jeżeli tak dalej pójdzie, będzie klapa.

Witold siedział na stołku, zły, zniecierpliwiony, z głową wspartą na rękach. Sobol próbował wszcząć gawędę.

— Pan nie grywa?

— Nie panie!

— To pan tego nie zrozumie...

— Pewnie.

— Ha! panie, namiętność, panie, do gry, to jest najokropniejsza namiętność! Karcięta, panie, ho, ho! To gorsze niż pijaństwo, niż

kobiety... Panie, trzeba znać psychologię gracza... Baczka pan nigdy nie próbował?

— Dajże mi pan święty spokój — sarknął rzeźbiarz.

— No, nie, to nie — zgodził się ciekawy jegomość, zgoła niezrażony nieco szorstkim tonem gospodarza. Zawinął się szczelniej w surdut, bo było dość chłodno w pokoju i obadwaj zapadli w niemotę.

Wszedł Miron z nosem spuszczonym na kwintę, widocznie przygnębiony i rozdrażniony.

— No? — zapytał Sobol z akcentem niecierpliwej ciekawości. — No, gadaj?!

— Ii — skrzywil się przybyły — klęska na calej linii. Niema się po co schylić.

— A to podle jest — zmartwił się naprawdę Sobol — wiesz, ja miałem przeczucie.

— Przepodle, crènom — choć powróz na szyję!

— A no, nieszczęście, psia kość, będzie skweres.

— Dobrze im tak — pomyślał Witold i uczuł znów niby radość z niepowodzenia tych ludzi.

— Jednak człowiek w nieszczęściu nikczemnieje — zastanawiał się dalej — cieszę się z przykrości bliźniego, przecież to jest ohydne.

Pomimo uwagi tej, okropnie chciało mu się wyciągać w dalszym ciągu malarza na żale i narzekania, gdyż zdało mu się, że tym sposobem robi ulgę swojej boleści.

— Przegrało się znowu jakiś obrazek, co?

— Przegrało! żeby tylko obrazek! Hm — westchnął ciężko i zamienił z Sobolem porozumiewawcze spojrzenie. — Oj przegrało — psiakrew! przegrało!

— Do licha, cóż więcej?

— Wiem, nazwiesz mnie szubrawcem i będziesz miał słuszność. Zapewne to nie tak łatwo zrozumieć stan człowieka rozgorączkowanego grą. Wiesz — niech tam, przyznam się — przegrałem oszczędności Klary.

Witold uczuł straszny niesmak i odrazę do dawnego towarzysza.

— To brzydko — rzekł lakonicznie.

— To podle, to nikczemnie, to wstrętnie, to... to... bo ja wiem — wołał z wybuchem. — Szuja jestem, szubrawiec, łotr z pod ciemnej gwiazdy. Ale musiałem — nóż na gardle... dyabli wiedzą... Ii bagatela — niecałe dwieście franków — oddam przecież, a nie, to sobie w łeb palnę... Mój drogi, są chwile w życiu człowieka... Takem liczył... Toż ja sobie nawet pantalonów nie kupiłem i chodzę jak ostatni łapserdak. Tu pokazał leżące na łóżku, istotnie mocno nadwerężone ubranie. Pomyśl,

ja w podartej garderobie! Ja! Poły surduta spinam szpilkami, żeby zamaskować pewne niedokładności. Nie chciałem jednego grosza wydać na siebie z pieniędzy tej dziewczyny. Nie, ja nie jestem taki znów ostatni. Jeszcze człowiek nie upadł tak nizko. Taką miałem pewność, że dziś właśnie wygram... Latałem przez cały dzień jak w gorączce, żeby gdzie wkręcić się do klubu... Wiesz, dla tego nie byłem na pogrzebie...

— Wiem, nie było też wieńca...

— A prawda; no, głupstwo, dwanaście franków — oddam jutro, zwróci się facetom i już!

Witold nie znalazł już słowa, patrzył nań zdumiony i prawie przerażony.

Miron wzniósł ręce do góry i kończył z emfazą:

— Kto kiedykolwiek wpadł w ten straszliwy wir namiętności i utrzymał się na powierzchni, niech na mnie rzuci kamieniem.

— Namiętność jest straszną namiętnością — zakonkludował Sobol, wciągając ubranie, które zdjął Miron.

Witold wzruszył ramionami.

Hrabia wysunął głowę z pod kołdry.

— Czego pan, proszę, chcesz odemnie.

Witold stał przed nim blady, drżący, szarpał nerwowo swoje młode wąsy i brodę, ciskał oczami błyskawice.

— Podobno pani de Rocher przyjechała,— spytał, siląc się na spokój.

— Przedwczoraj.

Zapanowało milczenie. Malarz nie wiedział jak zacząć. Chciał się czegoś dowiedzieć o stosunku tej pani do człowieka, którego śpiew słyszał w jej salonie. Chciał się upewnić—nie, chciał, ażeby mu powiedziano, iż podejrzenia jego niesłuszne, że się mylił, że uległ halucynacyi, że to był brat... że...

Nie przyzna się przecież, iż podsłuchiwał pode drzwiami, iż noc spędził wpatrzony w blade światło sypialni.

Stał niezdecydowany w najwyższej rozter-

ce. Hrabia może odgadł stan jego ducha, bo zaczął niby naumyślnie swobodnie i żartobliwie opowiadać, jak margrabina wygrzebała gdzieś, w zapadłym kącie Normandyi, prawdziwą perłę—przyszłego króla tenorów.

— Jest to, proszę, syn właściciela niewielkiego manoir'u w sąsiedztwie, pochodzi ze starej, lecz zubożałej szlachty. No, jak to oni... Siedział na wsi, chodził za kaczkami, przepiórkami i zbijał bąki po całych dniach. Pani de Rocher, która lubi także wyjść z psem i flintą na pole, usłyszała go kiedyś śpiewającego pod lasem — zachwyciła się głosem i postanowiła zająć się karyerą śpiewaczą młodego Nemroda. Przywiozła go więc z sobą. Margrabina na tym punkcie ma nieco w głowie przewrócone, uważa się za niezrównaną nauczycielkę śpiewu.

— I nic więcej?—spytał ponuro malarz.

Hrabia wpatrzył się weń przenikliwie, i uśmiechając się przez pół złośliwie, przez pół dobrodusznie ciągnął:

— Hi, hi, hi! Może i coś więcej... Proszę, może zajął pańskie miejsce, młody człowiek, w sercu pięknej pani. O, one są niestałe, mój Boże—te piękne panie.

Witold doznał zawrotu głowy. Czuł, że mu krew odpływa od mózgu—zachwiał się. Ale po chwili wściekły gniew zatargał całym, a krew

ze zdwojoną siłą uderzyła znowu do głowy i zaczęła gwałtownie pulsować w skroniach.

Porwał się, jakby chciał dusić tego nędznego starca i wrzasnął w straszliwem uniesieniu:

— To nie prawda! Nie miałem miejsca w sercu pani de Rocher, w niczyjem sercu — słyszysz pan!—nikt mi go zająć nie może! Kto pana upoważnił odzywać się w podobny sposób?! Kto? pytam!.. Kto! kto?...

Nadmiar złości zalewał go i nie pozwalał dłużej mówić. Patrzył strasznie i żuł przekleństwa.

Lekkie rumieńce wystąpiły na zwiędłe policzki starca.

— Nie unoś się pan—mówił głosem stanowczym i pełnym godności — nie unoś się w moim domu. Jesteś, proszę, bardzo młody, ale miałem cię za rozsądniejszego. To, com powiedział, prawdą jest—ja wiem, ja nie kłamię.

— Tak? a więc prawda, prawda! Ale powiedz mi pan, na litość Boską, co to było?

— Kaprys.

— Ha, kaprys!—A kaprys ten złamał mi duszę, zdruzgotał, unicestwił, obłąkał. Ja szaleję. Byłem tam wczoraj, słyszałem ten śpiew przeklęty i wściekłem się. Nie, przecież tak duszą człowieka szastać nie można, nie, słyszycie! Czyż jestem amfibią, płazem, nikczemną kreaturą, bez krwi, ambicyi, honoru, a!

psiakrew! Czem ja jestem, czemże jest ta pani de Rocher? Panie, powiedz, czem ona jest, do szatana?

— Jest zachwycającą kobietą, a pan, którego darzyła łaską swą, którego uszczęśliwiła swemi względami, rzuca teraz brutalstwa. Pani de Rocher jest zachwycającą kobietą — słyszysz pan.—Pan był szczęśliwy!

Witold zatrząsł się cały, chwycił rękami za głowę i padł na kanapę, a hrabia ciągnął dalej wolno i poważnie:

— Teraz, widząc jego brak upamiętania, brak rozwagi, muszę bronić pani de Rocher od wszelkiej ewentualności, od wszelkiego brutalstwa... Czego, proszę, pan chce od tej pani, czego sią pan spodziewał? Czy myślałeś, młody człowieku, o trwałym związku, że się dla ciebie rozwiedzie z margrabią, z którym wprawdzie nie żyje, ale z którym łączą ją względy wyższe... Że... a bo ja wiem, co mogłeś przypuszczać?

— Nie, nie, nie wiem, nie myślę, kochałem, słyszycie, kochałem i nie pozwolę drwić z uczuć...

Hrabia usiadł na łóżku...

— Powiedz jej to... masz zapał... Ale, proszę, boję się scen gwałtownych, zatargów — trzeba, żebyś wiedział: Pani de Rocher zajęła się tobą. Mój Boże!—to takie proste—zajmie się

kim innym... hm—jest panią swojej woli... Zaprowadziłem cię do niej, bo wiem, że może być użyteczną, że wyświadczy ci nie jedną poważną przysługę. Kobieta zamożna, ustosunkowana... Oto poratowała cię, proszę, w krytycznej chwili—nabyła rzeźbę.

Witold zerwał się nagle...

— Więc jestem zapłacony. Ha, już wiem teraz: Ta pani jest kobietą... kapryśną— ja jestem zapłacony, a pan, pan tylko proksenetą—ułatwiaczem schadzek, ha, ha, ha! jak w starożytnym Rzymie!... ha, ha! jakież to cyniczne, jakie ohydne. A, już teraz wiem wszystko, już teraz mi jasno we łbie, jakby mi kto stodołę zapalił, już się niczemu nie ździwię, jużem posiadł całą mądrość życia. Ha, więc nie za rzeźbę dostałem owe sto franków, nie za pracę, nie za talent, ale za sztukę. Ha, cóż za obrzydliwość, co za nikczemność, co za dwuznaczne stanowisko! Szewc, krawiec, powroźnik wie jak ocenić swoją robotę — artysta nigdy. Za trochę gliny lub wosku, za kawałek szmaty płóciennej, za kilka tonów, za zabazgrany świstek papieru, płacą setki i tysiące. Ale gdzie pewność, że nie płacą dla mody, dla próżnej fryzury autora, dla... kaprysu.

— Zapłacony! ha, ha! hańba! cała duma twórcy, ambicya artysty, miłość własna człowieka — w błoto, w proch.... Dziękuję, panie

hrabio! Piękna była nauka... Żegnam, panie hrabio.

Wziął kapelusz. Hrabia smutnie kiwał głową:

— Czekaj, proszę, chwilę—rzekł żałośnie.— Nazwałeś mnie proksenetą - chciałeś zelżyć— to brzydko i niewdzięcznie. Nie mam służby, nie mogę cię kazać za drzwi wyrzucić, jestem stary i niedołężny—to nie rycersko. Ale ja ci wybaczam. Jesteś młody, bardzo młody, bardzo naiwny. Wybaczam.

— Powziąłem—ciągnął hrabia—życzliwość, bo cię przysłał poczciwy Lolo—chciałem jak najlepiej—lżysz. Nie słowo mnie dotknęło, ale intencye, niewdzięczność—wybaczam. Straciłem dla ciebie serce, ale może ja istotnie winien jestem? Cierpisz, ha! Rozmaici są ludzie, ogromnie rozmaici, zda się — nieprawdopodobna, ażeby z jednej gliny ulepieni byli. Bohaterowie i zbrodniarze, dusze wielkie i lokajskie, mędrcy i kretyni... Ale tamto, proszę, to było tylko złudzeniem miłości. Zetrzeć się musi ten świeży puszek—życie zetrze po trochu, wszystko zetrze. Nieszczęście to wielka szkoła—obyś nie kończył tej szkoły tak gorliwie, jak ja ją kończyłem—wtedy już złudzeń niema, opadają różowe opaski,—wszystko jest godziwe i równie zacne hi, hi, hi! Młody człowieku, kobieta to przekleństwo nasze, straszna, zła, demoniczna

siła, to cierpienie, to upadek... Miałem kochanki, byłem żonaty i... nie mam przesądów. Miałem kochanki, byłem żonaty i... dla tego ci wybaczam.

Mówił z prawdziwym smutkiem, choć z pewną dozą cynizmu, który często dźwięczał nieznośnie w jego ustach. Czuć było jednak beznadziejną rozpacz człowieka okropnie zawiedzionego, co Witolda tak wzruszyło, iż począł żałować porywczości swojej.

— Bo ja wiem co trzymać o hrabi, jak sądzić jego czyny? Dla mnie był tylko życzliwy. — Uczuł wyrzut sumienia.

— Przepraszam pana—przepraszam z całego serca, uniosłem się.

Hrabia się uśmiechnął gorzko i wyniośle.

— Zbyteczne, pan mnie nie obraził. Ja jestem twardy cynik ze szkoły nieszczęścia, pan mnie obrazić nie zdoła. Naucz się żyć z teoryi, bo experymenty to, proszę, przebajecznie rzecz kosztowna, hi, hi, hi. Dostępna dla magnatów, jakim ja byłem, nie dla was chudopachołków. Dam ci wskazówki, tęgie, wypróbowanej mocy rady—byłem żonaty, miałem kochanki, hi, hi, hi. Ostrożnie z sercem i honorem—zapomnieć o tem. Unika się dyabelnie trudnych kolizyi... Pójdź dzisiaj ze mną wieczorem do pani de Rocher na zebranie. Tak

nakazuje przyzwoitość—jedyne prawo, które uznaję.

Na propozycyę tę, wypowiedzianą tak z nienacka, Witold aż się wzdrygnął, ale w tej chwili ogarnęła go okrutna chęć rozdrapania świeżej rany — ujrzenia jej i tego rywala swego...

— Ujrzeć ich razem!

Gorąco mu się zrobiło pod czaszką, a w rękach uczuł jakby ciarki,—dłonie skurczyły mu się nerwowo, palce zacisnęły...

— Ha, wejdzie tam zimny, spokojny, obojętny. Uśmiechem powita panią — jemu poda rękę z wyszukaną grzecznością. Oczywiście taki tenor głupi musi być jak stołowe nogi, ale przecież musi być szlachcicem. Znajdzie się sposobność nadepnięcia mu na odcisk... Potem pistolety w ręku... komenda... ach jakże go bierze na cel niemiłosiernie...

Zapachniały mu proch i krew.

Zapalił się. Bezwiednie wykonał ruch ręką, jakby mierzył do przeciwnika z pistoletu.

— Idę—zawołał prawie uradowany.

* * *

Tego dnia okoliczności składały się nader szczęśliwie. Gremium złożone z Mirona, Sobola i Sieradzkiego, wyekwipowanie na wieczór

Witolda do pani de Rocher uznało za sprawę ogólnej doniosłości, a pan Izydor nietylko że z własnych funduszów wynajął garnitur frakowy, ale jeszcze wcisnął rzeźbiarzowi w rękę dwa ludwiki:

— Spróbuj pan szczęścia—mówił—nie zawadzi.

Witold wzbraniał się.

— Wiesz pan, nowicyuszom w grze wena służy, to wiadoma rzecz jest. Przytem, ja panu co powiem: ja będę miał do pana poważniejszy interes, niech pan tylko dobrze wdepnie w tę arystokracyę, to my pogadamy...

Sobol wyciągnął z kieszeni dwie talie kart i wykładał zasady baccara.

— Ależ ja grać nie będę.

— Spróbuj, spróbuj koniecznie—namawiał Miron—później i mnie tam wkręcisz.

Witold rozumiał, że nieoczekiwana szczodrobliwość pana Izydora nie jest bezinteresowną, że za tem wszystkiem, kryje się jakieś wyrachowanie na szerszą spekulacyę, ale zajęty planami szatańskiej zemsty, nad piękną panią i nad rywalem, przyjmował wszystko skwapliwie. Jak się później wypłaci z zaciągniętego długu, nad tem się nie zastanawiał.

— Niech tam. Wszystko jedno! Nic mu przecież nie obiecuje—sami tego chcą.

O wejdę tam z całą paradą światowca; od niechcenia rzucę na stół ludwika... a potem poszukam rozmowy z panem tenorem, wymacam czułą strunę... Ha, jakżeby się chciało postrzelić takiego gagatka... Nie drwi się tak z ludzi, moja pani!...

Przyjaciele odprowadzili go do omnibusu. Miron już na odjezdnem przestrzegał, ażeby karty nie przeciągał.

— Ostrożnie i nie palić się—wołał—zimna krew to grunt.

Hrabia czekał już ubrany, wsiedli do dorożki i znaleźli się przed furtką willi.

Witold drżał na całem ciele.

— Proszę, zachowa się pan przystojnie?— spytał go hrabia, ściskając go mocno za rękę.

— O z całą godnością dżentelmana — wykrzyknął rzeźbiarz z odcieniem ironii — taki przecież jestem spokojny.

— Pan drży...

— Złudzenie.

— Więc mogę liczyć?

– Najpewniej.

Weszli. W salonie już było sporo osób, siedzieli grupami lub przechodzili się po puszystych dywanach. Panią de Rocher spotkali we drzwiach.

Była w jasnej jedwabnej sukni, mocno wydekoltowana. Przywitała ich bardzo serdecz-

nie, a ku Witoldowi rzuciła wejrzenie pełne przedziwnej radości.

— A, pan Witold — jakże to poczciwie z jego strony.

Spojrzenie to rozproszyło w znacznej mierze mroczną atmosferę usposobienia z jakiem tu wchodził, ale jeszcze pełen żalu zaczął ponuro, drżąc ze wzruszenia:

— Nie byłem zaproszony — może będę tu zbyteczny.

Zakryła mu usta dłonią filuternym gestem.

— Nie wolno panu tak mówić—szczebiotała z przymileniem — panu, którego uważam za... przyjaciela. No, przeproś i chodźmy dalej

Podsunęła mu rękę do pocałowania.

Witold stopniał pod wpływem tak czułego przyjęcia.

— Myliłem się, hrabia się mylił... Tu się nic nie zmieniło.

Ucałował podaną rękę gorąco. Wzięła go pod ramię i przedstawiała zebranym.

W kącie za fortepianem, odsuniętym od ściany ukośnie, stał człowiek tęgi, prawie otyły, pomimo bardzo młodego wieku. Witold odrazu domyślił się w nim tenora, tak wszystkie cechy tego gatunku ludzi malowały się na jego postaci.

Duża, spiczasta głowa, ozdobiona silnym

podbródkiem osadzona była na grubej szyi. Oczy wielkie choć niezbyt inteligentnie patrzące, były pięknie oprawione. Czarna, rozdzielona na dwoje bródka, dopełniała charakterystyki.

— Istny tenor z „Journal amusant“—myślał rzeźbiarz.

— Pan d'Amiens de St. Salut—mój pupil, przyszły król tenorów — obecna moja pasya. Poświęcam panu d'Amiens cały swój czas i umiejętność muzyczną, ażeby go wykierować na ludzi, a ten niewdzięcznik woli łobuzować się po mieście.

Witoldowi zdawało się, że się ziemia pod nim otworzyła.

— Jej pasya—jak to rozumieć?

— Trudny jestem do prowadzenia — śmiał się tenor.

— Damy sobie radę.

— Wątpię...

Goście siadali do gry. Jegomość z rudymi bokobrodami, którego Witold widział już z drugiego pokoju w dniu pierwszej swej wizyty, wziął karty do ręki i zajął miejsce na końcu długiego stołu.

— Baron trzyma bank,—wołano ze wszech stron—siadajcie, siadajcie państwo. Zapanował ruch ożywiony, szastanie krzesłami. Jakaś piękna, bardzo młoda jeszcze blondynka, wzię-

ła hrabiego Czelepały pod rękę i prowadziła do stołu, ale stary światowiec ociągał się.

— Wybacz, najsłodsza Nino—jestem zaangażowany.

— Sądzę, że mi się nie sprzeniewierzysz, hrabio—zawołała, widząc to pani de Rocher.—To mój *porte bonheur* na dzisiejszy wieczór — rzuciła figlarnie, zostawiając tenora z Witoldem. Sama tymczasem ujęła hrabiego pod ramię i posadziła koło siebie przy stole.

Rozdano karty. Hrabia nie grał; skulił się na krześle tak, że mu zaledwie głowa wyglądała ponad stołem. Pani de Rocher oparła się łokciem na jego plecach.

— Margrabina chce dziś ograć nas do szczętu—zawołała z przekąsem młoda blondynka — zebrała pod pachę wszystkie fory.

— Kochana Nina!—mówiła ze zwykłą lekkością pani de Rocher—robi sceny zazdrości o hrabiego. O, ja biedna—on jeden wierny mi jest niezmiennie. Nie odbierajcie mi go.

— Ha, ha, ha — zaśmiał się dobrodusznie tenor—to z powodu jego garbu sprzeczają się te panie.

Rzeźbiarz pomimo woli zwrócił nań pytające spojrzenie.

— Wierz pan przecie, to przynosi szczęście graczom, kiedy się dotykają garbu — a jakże...

Witold przypomniał sobie rzeczywiście, że mu Miron pokazywał kiedyś na bulwarach, stojącego przed jednym z domów gry garbuska, który pozwalał graczom dotykać się swojego straszliwie wypaczonego grzbietu, za co odbierał hojną jałmużnę.

— Miłe przesądy, — przyjemny proceder. Jeszcze jedno stanowisko, które nie przynosi zaszczytu... Ha, ha! Piękny jest świat—pięknie się ludzie na nim bawią...

Zaciekawiało go to niezmiernie. Na chwilę zapomniał o tenorze i swojej do niego nienawiści.

Zbliżył się do stołu, przy którym ciasno przy sobie siedzieli mężczyźni i kobiety. Kilku panów niegrających tworzyło galeryę. Stali w milczeniu i z najwyższem zajęciem śledzili przebieg akcyi. Złoto przepływało w różnych kierunkach, największe jednak kupy zebrały się koło barona, który ciągle bank trzymał. Siedział sztywny, zimny, obojętny, z nadzwyczajną gracyą wyrzucał karty, a potem zgarniał luidory, bez śladu jakiegokolwiek wzruszenia, to znowu gładził flegmatycznie bokobrody, wypieszczoną ręką.

Zresztą wszyscy obecni tu panowie zachowali najzupełniej zimną krew, natomiast panie daremnie usiłowały tłumić gwałtowne przejawy podniecenia. Najlepiej jeszcze udawało się

to pani de Rocher, która wygrywając ciągle, była może tylko nieco bardziej niż zazwyczaj wesoła i ożywiona, śmiała się swobodnie—mówiła wiele i dowcipnie, ale zda się nie zwracała uwagi, nie patrzyła na pęczniejący przed sobą coraz bardziej, stos błyszczącego złota, jakby to ją zgoła nic nie obchodziło.

Za to owa młoda blondynka—piękna Nina—poprostu zapamiętywała się w ferworze. Dostała silnych wypieków na policzkach, oczy biegały niespokojnie, śledząc zmianę kart, a że nerwowymi ruchami rąk dotykała ustawicznie głowy, nadwerężyła wykwintnej fryzury w sposób dość zabawny. Kosmyki włosów wymykały się niesfornie z pod szpilek i wiewały w powietrzu, całe uczesanie przytem przechyliło się fantastycznie ku prawej stronie. Rozgorączkowana grą kobieta upuszczała co chwila jakieś przedmioty: to wachlarz, to torebkę, to chustkę do nosa. Trzymała kartę w ręku, a kazała jej szukać na stole lub pod stołem. Wykrzykiwała radośnie przy każdej wygranej, to znowu skarżyła się płaczliwie, jeżeli los był mniej łaskawy.

— Jaka ona jeszcze młoda, ta moja kochana Nina — szepnęła pani de Rocher do sąsiada.

— Zachwycające dziecko — odparł ten to-

nem znawcy — urocze stworzenie, istne zjawisko, delicye!

Był to jegomość, mogący mieć około siedemdziesiątki, łysy, otyły, z siwymi wąsami i takąż napoleonką! Nazywał się pan de Choubrac i był pułkownikiem za cesarstwa.

— A wiem, pułkowniku, kochasz się przecie od dawna.

— Kocham się w ogóle w bardzo pięknych kobietach; dlatego, margrabino, nie wykreślaj mnie z listy swoich wielbicieli najgorętszych.

Dalej za nim siedziała wytworna dama nie pierwszej młodości, brunetka, sucha, szczupła, o rysach twarzy delikatnych, z włosami, mocno upudrowanymi, może dla zamaskowania istotnej siwizny. Przygryzała wargi prawie do krwi i była ponuro zasępiona — szczęście jej nie posłużyło.

— Ale nam dziś nie idzie, pułkowniku.

— A nie idzie, pani, przegrałem całą roczną emeryturę—odpowiedział żartobliwie.— Gotów jestem uwierzyć, że za wiele mam szczęścia w miłości...

— Ha, i to być może.

— Ależ z całą pewnością — wtrąciła pani de Rocher.

— W takim razie poszukam innego miejsca.—Grając dłużej u twego boku, piękna Thaido, wyszedłbym z torbami.

Jakoż wstał, ale nie usiadł już gdzieindziej, lecz powiększył grono przyglądających się.

— Nie należy forsować weny—poczekam.

Miejsce jego zostało nie zajęte. Witold patrzył na to jak na przedstawienie [teatralne. Zdawało mu się, że jest na „Damie kameliowej“, a jemu wyznaczono rolę Armanda.

— Nie, wszystko to razem wzięte nie jest z prawdziwego zdarzenia...

Ujął ręką poręcz krzesła.

Pani de Rocher podniosła swoje wielkie czarne oczy.

— I pan się skusił?

— Chcę grać przy boku pani.

Rzucił na stół dziesięć franków. Podsunięto mu kartę. Wygrał. Dał do bicia ludwika. Nie długo ujrzał przed sobą sporą kupkę złota—wszystko to zostawiał na karcie.

— Ściągnij pan połowę—szepnęła mu margrabina,—co za szaleństwo!

Witoldowi zdawało się, że słyszy za sobą drwiące szepty:

— Rozbije bank...

— Biedak, nie musi mieć szczęścia w miłości.

— Desperat!

— Zostawiam—rzekł z uporem.

Tym razem baron zgarniał wszystkie jego pieniądze i składał bank jednocześnie.

Lokaje specyalnie wynajęci na dzisiejszy wieczór, wnieśli szampana i napoje chłodzące.

W głowie mu się kręciło, był nieprzytomny, nie wiedział czy śni, czy na jawie przeszedł całą gamę wzruszeń.

— Ależ to zupełnie jak w operetce.

Porwał z tacy kieliszek szampana i wypił duszkiem, potem drugi i trzeci i... zrobiło mu się jaśniej w mózgu.

* * *

I nic! Nic z tych okropnych planów, zawziętej nienawiści, mściwych zamiarów — rozstali się zgodnie kochankowie pani de Rocher, i mogą się dalej u niej spotykać, ha, ha, ha!

Ale bo też ten pan d'Amiens de Saint Salut, poprostu nie pozwala wybić się z równowagi, niema sposobu pozbawienia go przedziwnej dobrodusznej pogody.

Wyszli razem, rzeźbiarz zresztą oczekiwał sposobności, aby się znaleźć sam na sam ze szczęśliwym rywalem. Tenor, który nie grał wcale, robił o grających uwagi, nie tyle może dowcipne, ile dosadne i ryzykowne, Witold zaś, ni w pięć ni w dziewiętnaście, pryskał mu w twarz złośliwościami, ale on śmiał się na całe

gardło, zgoła nic urażony zaczepnemi wycieczkami towarzysza.

— A ja sobie, kochany panie, nic z tego nie robię i już. Powiadają: głupi jak tenor... A co mnie to może obchodzić. Wmówili we mnie głos, talent, powołanie... Ha, ha, co mi tam. Bawię się jak król i nic mnie to nie kosztuje... byle jeszcze wyjechać od czasu do czasu na polowanie...

— Pan się kochasz w pani de Rocher?— zawołał nagle Witold.

Nowa, szeroka rulada śmiechu zadźwięczała wśród ciszy nocnej.

— Nie koniecznie, kochany panie, nie koniecznie. Bawię się, piramidalnie bawię się w Paryżu. Ta pani jest arcymiłą kobietką, nie przeczę, ale, wiesz pan, kochać się... no nie! To by było zbyt szczytne, ha, ha, ha! Bawimy się, kochany panie. *Sapristi*—raz się jest młodym... Kobietki lubią nas.

Tu huknął z całej piersi hulaszczą, niezbyt skromną piosenkę.

— A pani de Rocher także,—kończył.

— Zabraniam panu mówić tym tonem.

— O la la!—zawołał tamten i podciągając rękawów, stanął w pozycyi do boksowania. Rozparł się mocno nogami i nadstawił potężne piersi:

— Jestem gotów—mówił wesoło.

— Takich rozpraw nie uznaję — wycedził przez zęby rzeźbiarz i miał już rzucić straszną obelgę, ale francuz zmiarkował, iż żartami jeszcze bardziej rozdrażnia tego dziwaka, podbiegł więc do niego, chwycił za ręce i bardzo serdecznie, bardzo ciepło uspakajał.

— Co panu jest? Czego pan chcesz odemnie? Jestem dobry chłopiec. Wstydź się pan.

Witold istotnie zawstydził się. Blizki był najordynarniejszej donkichoteryi. Co mu zawinił ten spokojny, dobroduszny człowiek?

A tamten ciągnął:

— Mógłbym od biedy skrzyżować z panem szpady, albo strzelać się, ale na Imię Boże, nie widzę po temu żadnej racyi. Poprostu nie miałbym serca kłuć pana żelazem, ani mierzyć z pistoletu. Chodzi panu o tę panią?

— O nie, nie—protestował—cóż znowu!

Przemowa francuza rozbiła go zupełnie — nie wiedział, jak się ma teraz wycofać z drażliwej sytuacyi.

— Piłem za wiele, *sapristi*, zawsze mam takie zadzierzyste usposobienie, kiedy jestem pijany... Widzisz pan, już się wstydzę...

— Odwiozę pana do domu, — zaproponował tenor.

— Nie, dziękuję.

Podali sobie ręce—rozstali się zgodnie...

— To i lepiej! Ba, ale on okrył się śmie-

snością — ta głupia scena prowokacyi. Brr!.. kwaśno w duszy, niesmak moralny!... A ta pani—taka ponętna w swej jasnej wydekoltowanej sukni. Weszła na chwilę do buduaru, on wsunął się za nią... Pozwoliła mu się całować w szyję... Jeszcze wczoraj... Potem może tenor znalazł sposobność szczęśliwego sam na sam...

Opanowała go wściekłość i kopał łóżko, na którem leżał, rzucał się w bezsilnej pasyi... To znowu przyszła inna refleksya:

— Zapłacony!

Zaklął straszliwie i zakrył twarz rękami.

Wszedł Sieradzki.

— No?

— Nic.

— Wygrałeś pan?

— Przegrałem. Zabieraj pan ubranie i zostaw mnie samego.

— Ładny interes—zaprotestował pan Izydor.—A moje pieniądze?

— Zostaw mnie pan samego, psiakrew!

Tamten przyjął postawę wyzywającą.

— Co to za świńswo jest?

Witold zerwał się gwałtownie na równe nogi i byłby za tenora i panią de Rocher powetował sobie na wczorajszym dobroczyńcy i ulżył nagromadzonej złości, gdyby właśnie w tej chwili nie wszedł Miron z Sobolem.

Miron miał minę okropną: blady, drżący, prawie nieprzytomny.

— Doigrałem się—zaczął.—Grozi mi sprawa kryminalna.

— Winszuję.

— Nie urągaj. Chciałem ocalić honor. Słuchaj, ty znasz tych studentów—medyków, zdobądź mi przez którego z nich trucizny.

— Cóżeś ty zrobił?

— At, przeklęta gra. Wziąłem od kogoś autentycznego Van Dycka do odnowienia... Trzymałem, trzymałem, wreszcie potrzeba mi było pieniędzy—zastawiłem.

— W lombardzie?

— Nie, u tego ramiarza—Poireau.

— Sprzedałeś?

— Zastawiłem.

— Trzeba wykupić.

— Ba, pięćset franków!... Muszę zrobić coś okropnego, inaczej — skandal, straszna rzecz! Grożą procesem. Dostarcz mi trucizny.

Witold wzruszył ramionami.

— Dlaczego ja? Przyznam ci się otwarcie, że gdybym miał coś podobnego pod ręką— może bym nie miał skrupułów, sentymentalnych wahań... owszem... Ale chodzić po truciznę do kogoś—nie!

— Muszę mieć koniecznie opium.

Witoldowi zakręciła się w głowie złośliwa myśl: Są na piątem piętrze, okno otwarte—dla czego ten desperat nie machnie się na bruk poprostu, ale szuka koniecznie opium? Był dziś strasznie rozgoryczony na świat cały — nie śmiał jednak powiedzieć tego głośno, mruknął tylko.

— Róbcie sobie, co wam się podoba...

Wmięszał się Sobol.

— Proszę pana. Miron się chce zabić. Położenie z pod psa. Ale my, przyjaciele jego, powinniśmy starać się powstrzymać go od rozpaczliwego kroku. Jakże można pozwolić człowiekowi dla głupich pięciuset franków pozbawiać się życia.

— Więc?

— Żeby tak wymiarkować dawkę opium... uważa pan, że niby to zamach samobójczy... Tymczasem wezmą go do szpitala i... sprawa się jakoś zatrze, coś tego...

Witold zaczął się chwiać. Nie wiedział, czy przemówił w nim jakiś dobry, wyższy instynkt, czy też poprostu tylko słabość ludzka, dość, że uczuł przypływ litości i chęć współdziałania nad uratowaniem nieszczęśliwego gracza od konieczności samobójstwa.

— Chodźmy do Czerwińskiego — rzekł

wreszcie—nie wiem tylko, czy on zgodzi się na taką kombinacyę.

— Ach nie zgodzi się z pewnością — zawołał Sobol—ta ich etyka... trzeba będzie chłopa podejść z miejsca.

I poszli, a Miron myślał, jak też to wszystko w życiu robi się na żarty.

Sobol znalazł Mirona w stanie bezprzytomnym na Pont-Neuf, u stóp posągu Henryka IV. Obok leżała wypróżniona flaszeczka z rysunkiem trupiej główki i napisem: „Laudanum“. Policyant odwiózł otrutego do szpitala Hôtel Dieu, gdzie energiczna pomoc lekarska łatwo usunęła niebezpieczeństwo, a po kilku dniach samobójca przychodzić zaczął do zdrowia.

Dotąd wszystko wywijało się jak z płatka. Czerwiński dał opium na boleści żołądkowe, które jakoby miały trapić malarza. Przytem, w pogawędce najdokładniej objaśnił, jakie jest działanie trucizny i jaka dawka mogłaby być śmiertelną.

Miron należał do rezolutów — hazard był najistotniejszą potrzebą jego organizacyi psychicznej, postawił więc życie i zdrowie na jedną kartę — wypił dozę znaczną i wygrał na razie przynajmniej pozory ocalenia honoru.

Rzeczywiście wypadek ten powstrzymał zawiedzionego posiadacza Van Dycka w gwałtownych poszukiwaniach obrazu; wierzyciele najbardziej niecierpliwi, widząc, jak dłużnik o mały włos nie wymknął się im na zawsze do krainy, gdzie żaden już pościg ziemski nie sięga — złagodnieli, a właścicielka hotelu, która w ostatnich czasach stawała się nieznośną ze swojemi pretensyami, nietylko nie wyrzuciła na bruk Klary, zajmującej obecnie mieszkanie Mirona, ale przyszła sama pocieszać przerażoną nieoczekiwanym ciosem kobietę.

— Ktoby się spodziewał, moja pani — taki wesoły chłopiec... Ani chybi — sprawa miłosna! On już taki był...

Klara również nie podejrzewała istotnej przyczyny tego samobójczego zamachu, chętnie więc uwierzyła w jakiś okropny romans. Zalewała się łzami i zaciskała mściwie małe piąstki.

— Ja ją wynajdę — ja swego nie daruję.

Sobol ze swej strony o ile mógł, podtrzymywał ową legendę romantycznej awantury, choć tu i owdzie z przekąsem przebąkiwano coś o figlach mądrości, zwłaszcza, kiedy ze szpitala przyszły wieści, że niebezpieczeństwo śmierci usunięte.

— Znamy się na tem — mówił groźnie pan Lukas, ów właściciel obrazu, kiedy mu

Witold przyszedł oznajmić o wypadku Mirona i upewnić, że skoro tylko chory przyjdzie do zdrowia, zwróci niezawodnie zabrane arcydzieło. — Znamy się na tem! — powtarzał Francuz, patrząc podejrzliwie na rzeźbiarza. — Ja obraz swój odzyskam, choćbyście już zdążyli wysłać go do Ameryki.

Forma, w jakiej Francuz zwrócił się do Witolda, ta liczba mnoga wskazywała, że uważa go poniekąd za wspólnika w całej sprawie i nie żywi doń zbytniego zaufania.

Zarumienił się ze wstydu i oburzenia.

— Widziałem się z chorym w szpitalu — odparł szorstko — i przyszedłem panu powiedzieć o co mnie proszono, poza tem nic nie wiem i wiedzieć nie chcę. Niepotrzebnie zwracasz się pan do mnie w liczbie mnogiej.

Trzasnął drzwiami i wyszedł z najmocniejszem postanowieniem nie mięszania się więcej w dwuznaczne machinacye malarza.

— Niech ich piorun trzaśnie — mówił do siebie — maczam ręce we wszelakich nieczystościach i ani się obejrzę, jak wpadnę w kabałę. Dosyć tego!

Ale inaczej się stać miało.

Poszedł do szpitala, ażeby zawiadomić Mirona o rezultacie swej misyi. Zastał tam Sobola i Sieradzkiego na naradzie. Malarz zdrów już był zupełnie, udawał jednak ciągle jeszcze

senność i osłabienie. W czasie wizyt lekarskich przymykał oczy i nie odpowiadał na zapytania doktorów.

Udawanie to z czasem musiało się skończyć i zbliżała się fatalna chwila, kiedy niedoszłego samobójcę wypiszą ostatecznie ze szpitala. Trzeba było coś radzić. Jakoż przyjaciele obmyślili środki wydostania obrazu z rąk ramiarza i wyprawienia malarza do kraju, gdyż dłuższy jego pobyt w Paryżu stawał się niemożliwością.

Witold wpadł na towarzysza z furyą, za wystawienie go na nieprzyjemność rozmowy z Lucas'em, ale chory wzrokiem proszącym i giestami zmusił go do milczenia.

Obecni wstali i zaczęli się żegnać. Sieradzki wychodząc, zbliżył się do Witolda i szepnął mu na ucho:

— Mam dla pana kokosowy interes — jutro o dziesiątej czekam w Café de Madrid.

Kiedy zostali sami, Miron tajemniczo szepnął:

— Musisz mi załatwić niezmiernie ważne sprawy.

Witold żachnął się.

— Nie, za nic w świecie — już mam tego dosyć, kompromituję się, wstyd łykam i hańbę za ciebie, dosyć! — I opowiedział jakiego doznał przed chwilą przyjęcia.

— Właśnie o to chodzi, chodzi o zaspokojenie Lukas'a, a potem wracam do kraju. Tu z pod poduszki wyciągnął banknot stufrankowy. Musisz, musisz koniecznie, nikt inny mi tego nie zrobi. Oto są pieniądze, nie mam komu ich powierzyć.

— A Sobol, twój przyjaciel?

— Sobol, dobry chłop, ale, szelma, stu franków nie doniesie.

— Ładny przyjaciel!

— Mój drogi, cóż chcesz — gra...

— A Sieradzki?

— Nie może, to inna kwestya. On mi właśnie wytrzasnął te pieniądze. Żebym miał je przed tygodniem, nie trułbym się...

— Pójdziesz? — zaczął Miron.

— Nie, nie — protestował proszony. — Nie, nie chcę się w to mięszać. Nie chcę was znać, waszych spraw...

Ale malarz umiał przeprowadzić wszystko co chciał, a Witold był miękki.

Stanęło na tem, że pójdzie do ramiarza, zapłaci osiemdziesiąt franków za ramy do „Normandki", wykupi z lombardu dwa akty kobiece, zastawione tam za piętnaście franków, przed kilku miesiącami i zawiezie to wszystko do barona Meyerdorfa, place Clichy 10.

— Meyerdorf? — wykrzyknął Witold — któż to jest?

— Phi! — bo ja wiem, ściśle biorąc: sportowiec, clubman, człowiek bardzo bogaty, światowy i amator sztuki... poza tem obywatel świata — choć podobno polskiego pochodzenia.

— Spotkałem się z tem nazwiskiem u pani de Rocher — trzymał bank. Wysoki, tęgi, blondyn, z miną lorda, gładził żółte bokobrody, białą, wypieszczoną ręką.

Chłopie! — zawołał Miron, podnosząc się na łokciu. — Znałeś Meyerdorfa i nic, nic nie mówiłeś, a niech cię wszyscy dyabli porwą! Psiakość, że ja też teraz muszę wyjechać!

* * *

Wytwornie umeblowany apartament kawalerski na drugiem piętrze. Na ścianach mnóstwo obrazów oryginalnych, do koła pełno drobnych przedmiotów wysokiej artystycznej wartości.

Wyszedł w kurtce negliżowej baron i widocznie od razu poznał Witolda, bo już od progu wołał:

— A to pana widzę u siebie, jakże się cieszę!

Mówił po polsku, chociaż nie zupełnie poprawnie, ot, jak człowiek, który dawno nie miał w użyciu ojczystego języka.

— Wszakże to u pani de Rocher miałem przyjemność pana spotykać?

I zaczął rozpływać się w zachwytach nad przymiotami margrabiny, przypomniał sobie nawet „chimerę“, którą widział w jej salonie i szczerze winszował autorowi pomysłu i wykonania. Obrazy Mirona ocenił okiem znawcy.

— To jest soczysty pędzel — zawyrokował. — Ten człowiek ma talent i prawdziwie malarski temperament. Ale trzeba koniecznie, żeby wyjechał. Mówił mi ten, jakże go tam, Sieradzki, że się trochę przez grę zaszargał.. no, ja to rozumiem. Ja mu pomogę, ja lubię pomódz rodakowi—niech wyjedzie. Jeżeli on gra, jeżeli on ma długi — to jest taka beczka Danaid, co zupełnie dna nie ma — tam wszystko wlezie. Niech on koniecznie wyjedzie. Ten obraz ja już widziałem u Poireau -- on mi się podobał, ja go kupię. Ja sobie teraz mebluję willę w Billancourt, taką małą, kawalerską willę, to mi tam będzie potrzeba jaki ładny kawałek ciała, a to jest bardzo ładne ciało — ja się znam... Ja za to duże płótno dam pięćset franków, a za te dwa akty akademickie, zapłacę dwieście pięćdziesiąt —no trzysta franków, to razem ośmset.

Witold słuchał i uszom własnym nie wierzył, i nie dlatego bynajmniej, ażeby obrazy były ocenione nad wartość, owszem, mogło to

nawet w pewnych warunkach uchodzić za doskonały interes dla barona, ale dziwiło go, iż ubił sprawę tak szybko i gładko.

— Jednakże w czepku się rodził ten chłopiec—myślał sobie—jeżeli spada, to spada jak kot: na cztery łapy.

Otrzymawszy pieniądze, wziął sobie za punkt honoru, nie wypuszczać ich z ręki, lecz przedewszystkiem załatwić sprawę z Lukasem, a resztę wręczyć Mironowi dopiero na dworcu kolejowym.

— Niech wraca do kraju, niech ucieka od tego obrzydliwego kotliska, wrzącego namiętnościami, niech w zaciszu polskiej wsi, zapomni o kartach i odda się sztuce, którą zaniedbywał wśród ciągłego podniecenia w wielkiem mieście.

A właśnie Witold radził, ażeby Miron zajechał wprost do jednego z dawnych wspólnych kolegów, który odziedziczywszy po rodzicach majątek w łomżyńskiem, rzucił malarsto i dziś bardzo przyzwoicie gospodaruje.

Pan Łącki maluje wprawdzie jeszcze akwarelowe pejzaże, ale już robi to całkiem po dyletancku, natomiast zamożny i obszerny dwór jego stał się ostoją dla skołatanej braci po Apolinie.

Jeżeli któremu z malarzy lub rzeźbiarzy było krucho na warszawskim bruku, jechał

jak w dym do Szczyrowa i znajdował tam wywczas i dobrą kuchnię.

Pan Tadeusz przyjmował wszystkich z otwartemi rękami, karmił, poił, fetował, dostarczał farb, płótna, gliny—istny raj na ziemi. Witold spędził tam parę tygodni zeszłego lata i teraz wspomnienie tego czasu zrodziło w duszy bezdenną tęsknotę. Przypomina sobie ciche wieczory letnie, jak siedział marząc nad brzegiem stawu, wsłuchany w rechotanie żab, w monotonny turkot kół młyńskich i w plusk wody, rozbijającej się w upuście. Na okół snują się mgliste opary, powietrze przesycone orzeźwiającą wilgocią, pachną trawy, pachnie odurzająca tawuła, której miękkie, puszyste, biało-zielonawe kitki zamięszały się gdzieś wśród wikliny nadbrzeżnej... To znowu ranne słonko idzie po zielonej łące, usianej złotem jaskrów, a skrzy się tęczą w kroplach rosy—idzie słonko po aksamitach zielonych i mieni się srebrem i brylantami.

Hej, hej, do łąk naszych pachnących, do pól złoconych, do lasów żywicznych, hej!... Teraz tam jesień nadciąga - przepiękna jesień polska, strojna w czerwień i złoto i wszystkich barw najcudniejsze tony. Posiniał bór w oddali; jakże jasno żółci się przed nim delikatny włos białej płaczki—brzozy, jak głębokim fioletem mienią się zorane skibi czarnej

roli, wśród młodzieńczej zieloności ozimych runi!

Klony pobladły, liść rzuciły już na ziemię, a od liści tych zdeptanych stopą, bije silna, niepokojąca woń melancholii...

Jakże zapragnął znaleźć się tam w tej chwili, wśród swoich, wyrwać się z tego straszliwego Paryża, który znienawidził całą duszą, który mu dał dotąd tylko głód, nędzę, cierpienia, który mu rozdarł serce na dwoje, osłabił wolę, zaćmił wzrok, przepoił duszę niewiarą w ludzi, w cnotę, w ideały. Miłość, kobieta, pani de Rocher—kaprys zapłacony! Brr!... Siwowłosy starzec, dziedzic szanownego nazwiska—porte bonheur rozgorączkowanych grą kobiet—pośrednik uciech.

Miron, przyjaciel—dawny druh serdeczny, przegrywa pieniądze biednej dziewczyny, sprzedaje cudzą własność...

Ta cała szajka szulerów!... A sztuka?!

Baron Meyerhof potrzebował do kawalerskiego mieszkania ładnego kawałka ciała... Ha, ha, czyż warto doskonalić się, mozolić, z takim znojem wdzierać na szczyty artyzmu, ażeby ładnym kawałkiem ciała udekorować willę panu baronowi?

Co zyskał, co zrobił, co zyszcze dalej?

Sprzeda baronowi temu lub innemu figurkę, wymodeluje portret opasłego bankiera,

a może zacznie poszukiwać lekkiego chleba w mętach wielkomiejskich jak Sobol, jak Miron... może runie w przepaść nałogu jak Bonecki.

Niby nieopatrzny pływak wpadł na wir otchłanny i porwany prądem, kręci się na miejscu, utrzymuje się resztkami sił na powierzchni. Ale sił zbraknie i otchłań wciągnie go fatalnie.

Ratunku, ratunku!

Wrócić do kraju dziś, zaraz natychmiast! Tam wśród swoich, wśród swego społeczeństwa, może być użyteczny, może pracować owocnie, tam znajdzie grunt pod nogami, oparcie — tu jest liściem oderwanym od drzewa, wiotką igraszką rzuconą na wolę potężnych żywiołów.

Gdyby mu Miron chciał oddać teraz sto franków, pojechałby z nim razem. Podróżował by możliwie najtaniej—czwartą klasą... piechotą by resztę drogi odbył... Gdyby mu choć pięćdziesiąt franków oddano.

Miron jednakże miał za wiele swoich własnych potrzeb, ażeby mógł dzielić się z kimkolwiek skromnemi funduszami.

— Chłopie kochany! —rozczulił się—duszę bym ci oddał, ale zastanów się: jakże ja sobie z tą odrobiną dam radę. Za to, słowo honoru daję, że skoro tylko wrócę do kraju, w tej

chwili odeszlę ci dług cały. Naciągnę Łąckiego, albo tego bankiera, com u niego lekcye dawał, albo kogokolwiek... jednem słowem, możesz być najpewniejszy, że ci zawodu nie zrobię. Wierz mi, ze wszystkich świństw, które mam na sumieniu, twoje pieniądze i tej biednej Klary... Najbardziej mnie dolegają, dla tego też o was przedewszystkiem będę myślał...

— Mój Boże — zwrócił nagle tok rozmowy — Boże, co ja poczną z tą nieszczęsną dziewczyną, jak jej o tym nieszczęsnym wyjeździe powiedzieć?

· Siedzieli w mieszkaniu Witolda. Miron, który wyszedł rano ze szpitala, do siebie wcale nie zaglądał.

Nie chciał się z nikim widzieć, ażeby uniknąć wszelkich wyjaśnień, a przedewszystkiem bał się rozmowy z kochanką, gdyż czuł, iż mogła go zachwiać w postanowieniu wyjazdu, a wyjechać miał dziś jeszcze po południu koleją północną.

Odniósł więc tylko osobiście Van Dycka Lukasowi, przyczem nawymyślał mu buńczucznie za podejrzliwość niczem nie uzasadnioną, i za szarpanie jego sławy, w czasie kiedy on nieprzytomny walczył ze śmiercią na łożu szpitalnem.

Pozatem inne sprawy załatwili przyjaciele, a on w tabakierce Witolda oczekiwał oznaczonej godziny opuszczenia Paryża pełen żalu i rozrzewnienia. Pozostało już tylko uwiadomienie Klary...

Miron siądał kilkakrotnie do pisania, ale darł listy i chodził po ciasnym pokoju ciężko zamyślony. Wreszcie stanął przed rzeźbiarzem.

— Nie, ja do niej napisać nie potrafię, nie umiem znaleźś formy... boję się zaskoczyć ją nagle... Słuchaj, jeszcze jedną, jedyną, ostatnią przysługę mi wyświadczysz. Pójdziesz do Klary...

— Nie,—odparł ten stanowczo.

— Musisz.

— Za nic na świecie.

Miron nie zrażał się i nalegał w dalszym ciągu.

-- Nie mogę napisać po prostu: żegnam cię, bom winien jej trochę grosza –dziewczyna jest gwałtowna, powie, żem ją okradł, wyzyskał i porzucił...

— Tak wygląda.

— Ależ ja chcę zwrócić tę głupią sumkę, ja zwrócę, ale znowuż nie podobna o tem pisać — miała by czarne na białem, przyznanie się, żem brał pieniądze od dziewczyny... Nie, nie możesz tego wymagać odemnie. Dowód, na piśmie... wszyscy by widzieli, cała dzielnica, Ja ją znam. Nie!

— Dziwne skrupuły—skoro wziąłeś...

— A już ja wiem — wybuchnął nagle malarz — już wiem: chciałeś powiedzieć, że nie mam nic do stracenia. Tak, zapewne, upadłem bardzo nizko. Zapomniałem się aż do podłości, szalałem... opętała mię ta nieszczęsna mania wygrania... Ale wierz mi, po tej nauce, jaką teraz dostałem, po tem gwałtownem wstrząśnieniu przez jakie przeszedłem... Człowieku, toż ja życie stawiałem na jedną kartę, toż jedna kropla więcej... Nie, już dzisiaj ktoś zupełnie inny z tobą mówi, nie ten gracz o mózgu zamroczonym, o duszy opętanej, ale człowiek odrodzony w wielkiej katastrofie życiowej. Dobre instynkty odżyły, pozwólcież mi się rehabilitować—nie pogrążajcie ostatecznie.

Witold wzruszył ramionami.

— No Witoldzie, mój drogi, mój kochany...

— Ale po co, po co? Nie pisz nic, nie mów, niech czeka.

— Nie można! Ja się o nią boję — taka gwałtowna. Przygotuj ostrożnie, delikatnie, przecież kochała mnie, kochaliśmy się.

Wpadł Sieradzki.

— Jedziemy—zabierajcie się panowie.

Miron nalegał:

— No, Witoldzie, słowo?

— Witold prawie już z rozpaczą wołał.

— Uwolnij mnie od tego.

Ale Miron wziął to za zgodę — ścisnął mocno dłoń towarzysza i dziękował.

— Oto chłop serdeczny — pamiętaj, mam twoje słowo. A donieś mi zaraz, jak to przyjmie biedne dziecko. Doprawdy serce mi się kraje.

Sieradzki naglił do wyjścia. Pakunków żadnych nie mieli. Po drodze kupili trochę wędlin i chleba i biegli w stronę ulicy Monge, gdzie złapali omnibus, idący na gare du Nord. Na dworcu czekał Sobol. Podbiegł do Mirona i szeptał mu coś na ucho, potem wzięli się we trzech z Sieradzkim pod ręce i chodzili po sali poczekalnej. Witold tymczasem kupił bilet do Kolonii. Dalej malarz jakoby miał jechać czwartą klasą.

Kiedy się mieli pożegnać przed wyjściem na peron, gdyż odprowadzających tam nie wpuszczają, Miron odprowadził na bok Sieradzkiego i widocznie targowali się o coś zawzięcie, a potem pan Izydor wyciągnął z kieszeni w kamizelce sztukę złota i wsunął ją w rękę malarza, po chwili ten sam ruch, a potem i trzecia sztuka przeszła z kieszeni Sieradzkiego do rąk Mirona.

Pożegnali się. Odjeżdżający już z drugiej strony *tourniquet'u* jeszcze raz odwrócił się, skłonił kapeluszem i wołał:

— Witold, o tobie pamiętam, czekaj na

monetę niezawodnie — a kiedy znikł między ścianami pociągów, ustawionych szeregiem wzdłuż peronu, Witold zwrócił się do Sieradzkiego.

— Pan dawałeś mu pieniądze?

— Ja urządziłem cały ten wyjazd, ja wynalazłem barona, dlaczego nie miałem jeszcze trochę dołożyć, żeby chłop sobie wygodniej pojechał.

— Taka troskliwość?

— Nie bój się pan, ja na tem nic stracę — zaśmiał się.

Witold otworzył szeroko zdumione oczy.

— Dziś wieczorem w Café de Madrid — szepnął — pamiętaj pan. Do widzenia.

Z tem zapadł w tłumie.

* * *

Przez drzwi niezbyt szczelnie zamknięte przedziera się wyraźnie klekot maszyny do szycia i wesoły śpiew dziewczyny. Zalewa się jak słowik tym śpiewem -- przeskakuje od melodyi do melodyi, probuje po kolei najpopularniejszych śpiewek brukowych, rzuca je i zaczyna stary sentymentalny romans. Ale wolny rytm pieśni nie godzi się z szybkim ruchem maszyny, więc dalejże, w takt szalonej galopady puszcza wartkie koło.

Witold stoi pod drzwiami i waha się... Od czego zacznie? Szedł tu, ażeby wywiązać się z danego Mironowi przyrzeczenia, przyznaje się jednak w głębi duszy, iż było jeszcze coś poza tem, co go tu ciągnęło... Może chęć zobaczenia Klary, opuszczonej przez kochanka — ładnej, wesołej dziewczyny, opuszczonej... Może widoki nawiązania serdecznego stosunku... Boć przecie stosunki tego rodzaju nie mogą być wieczne, a zerwanie nie pociąga za sobą dramatycznych kolizyi. Ot... jedna z wielu — romans przelotny dwojga ptaków niebieskich... Ona jest niezmiernie miła i powabna, ta mała Klara.

Nagle przypomniał sobie owe nieszczęsne pieniądze, wyłudzone przez Mirona i jako Polak poczuł się solidarnie odpowiedzialnym za niecny czyn jednego ze swoich.

— To jest okropnie brzydka sprawa.

I wstydził się samego siebie. Wstyd mu było tych interesownych myśli, które przemknęły przez mózg w chwili, kiedy należało pamiętać o wynagrodzeniu krzywdy wyrządzonej, o osłodzeniu dziewczynie przykrej chwili zawodu, o złagodzeniu okrucieństwa ciosu.

Zastukał.

Klara rzuciła w pośpiechu robotę i radośnie witała przybyłego.

— A to pan, no mówże, jak się ma? Pra-

wda, że lepiej? Jutro dzień odwiedzin w szpitalach — idę do niego, zobaczę go sama nareszcie. Wiesz pan, nie chcieli mnie wpuścić. Nie mogę się już tego dnia odwiedzin doczekać. Tak się czas dłuży...

Witold spuścił głowę, unikał jej wzroku.

— No, nic pan nie mówisz? Może gorzej, co? Może chory, no? Szarpnęła go za rękę.

— Nie, zdrów zupełnie.

Klasnęła w dłonie.

— Kiedy go wypiszą, kiedy przyjdzie do mnie? Może już wyszedł? No, gadajżeż pan!

— Już wyszedł.

— Czemu nie przychodzi? Aha, pewno jest na schodach, figlarz...

Wybiegła za drzwi.

— Tony, Tony! — wołała.

Poseł złej wieści uczuł teraz cały ciężar swej misyi. Żal ścisnął go za gardło i dławił słowa.

— Jak powiedzieć tej nieszczęśliwej, jak wyprowadzić ją z błogiego stanu złudzeń.

— Mówże pan na litość boską, co jest — nalegała bijąc niecierpliwie ręką w stół. — Mów pan, bo oszaleję...

— Miron wyjechał.

— Dokąd?

— Daleko — do siebie.

Wpatrzyła się w mówiącego niedowierzająco.

— Kłamiesz pan bezczelnie — krzyknęła! — To nieprawda!

Niestety, szczera prawda.

I zaczął opowiadać, jak pewne, bardzo ważne okoliczności zmusiły malarza do nagłego wyjazdu, że nawet pożegnać się z nią nie miał czasu, jak jego uprosił, ażeby zawiadomił o tem Klarę i pożegnał ją w imieniu odjeżdżającego, że pieniądze odeszle natychmiast, że sam pewnie niedługo wróci...

Dziewczyna słuchała tego w osłupieniu. Była blada jak kreda i drżała na całem ciele. Rękami nerwowo dotykała ciała, przecierała oczy, chwytała się za głowę, a kiedy usłyszała, że Miron może nie długo wróci...

— Nieprawda, nie wróci! ja wiem, opuścił mię! — Krzyknęła okropnie i nagłym ruchem rzuciła się do okna. Witold miał zaledwie czas chwycić za suknię, kiedy już całym ciężarem zwisła nad przepaścią.

Okna w domach paryzkich dochodzą najczęściej prawie do samej podłogi, ale na wysokości pasa średniej miary człowieka, jest poręcz zabezpieczająca od wypadku.

Po chwili gwałtowne wybuchy przeszły w jęki i łkania, rzekłbyś nieludzkie jakieś sko-

wytanie, jakieś okropne, bezbrzeżne rozlanie się żalu i rozpaczy. Wtedy wziął ją, jak dziecko, na ręce i zaniósł na łóżko.

Widocznie krzyki te wywołały sąsiadów na korytarz — usłyszał pod drzwiami szepty i kroki zbliżających się osób.

Otworzył drzwi. Dwie kobiety, przyłapane na gorącym uczynku podsłuchiwania, chciały się cofnąć, ale Witold poznał w jednej z nich Matyldę i prosił o pomoc.

— Niech mi pani pomoże uspokoić tę dziewczynę.

— A on?

— Wyjechał do swego kraju.

Matylda pobladła nieco.

— Zostawił ją, biedna mała — rzekła, kiwając smutnie głową — już jej teraz niczego nie zazdroszczę.

— Chciała wyskoczyć oknem — zaczął Witold szeptem — trzeba pilnować... Zamknę okno, ale zawsze... ja zostać tu nie mogę, może pani...

— Niech pan będzie spokojny — zajmę się szczerze biedaczką, jak własną siostrą. Ale jedno — prosiła — niech George, niech nikt nie wie, że mnie pan tu spotkał.

Klara, łkając, leżała z twarzą ukrytą w rękach.

Od wyjazdu Mirona myśl powrotu do kraju niepodzielnie opanowała wyobraźnię Witolda. Niczem innem zająć się nie jest w stanie, nic przedsięwziąć. Bezdenna tęsknota szarpie piersi, piecze pragnienie opuszczenia Paryża, a żyje jedynie nadzieją zobaczenia swoich drogich, ukochanych kątów rodzinnych — wyboistego bruku Warszawy, płaskiego mazowieckiego krajobrazu, za który oddałby w tej chwili wszystkie cuda arkadyjskich ogrodów.

— Będzie to wprawdzie, ni mniej ni więcej, tylko niezbyt zaszczytna rejterada — przyznawał się w duchu. — Uciekam, bo się boję, ale z drugiej strony niema znowu słusznej racyi upierania się przy tej nędzy, wśród tysiąca innych niebezpieczeństw, dla jakichś urojonych ambicyj...

A bał się rzeczywiście nie tylko nędzy, nie tylko bladego widma śmierci głodowej, co usta-

wiecznie szczerzyło doń wściekłe zęby, ale przerażała go jeszcze bardziej dwuznaczność środowiska, w jakiem się niespodziewanie ocucił.

Stosunek z takiemi figurami jak Sobol, człowiek bez określonego zajęcia, żonaty, jak się właśnie dowiedział, z awanturnicą ostatniego rzędu; z takimi Pinim, Planquetem, z takim Sieradzkim; a już poprostu zabobonny lęk ogarnął go, kiedy ten ostatni wystąpił z dziwną, niezrozumiałą propozycyą.

Kiedy Witold stawił się w kawiarni na oznaczoną z nim schadzkę, jeszcze cały wzruszony po dramatycznem przejściu z Klarą, pan Izydor zaprosił go gościnnie do stolika, kazał przynieść likierów i przemówił w te słowa:

— Ja pana ubiorę od stóp do głów u jednego z najpierwszych krawców, ja panu najmę i umebluję takie mieszkanie, że palce lizać — i już...

— No i co?

— To będziesz pan tam mieszkał.

— I co więcej?

— Przybijesz pan swój bilet na drzwiach i już.

— I nic więcej?

— Może ja czasem będę potrzebował przyjść z kim na godzinę — co to panu szkodzi.

— A więcej?

— Będą przychodziły listy do pana, to mi pan je odda.

— Co będzie w tych listach?

— Tego ja panu teraz powiedzieć nie mogę. Jak my zrobimy razem interes, to się pan wszystkiego dowie.

Na Witolda uderzyły ognie, czuł, że mu proponują jakieś straszne szelmostwo, chciał odrazu wybuchnąć gwałtownie, ale ciekawość poznania tych machinacyj wzięła górę nad oburzeniem, pohamował się więc i pytał dalej, siląc się na spokój.

— Dlaczego mnie właśnie wybrałeś pan do tego, jak go nazywasz, interesu.

— To — to ja nawet mogę panu powiedzieć: Widzi pan, pan się ładnie nazywa. Tu we Francyi nazwisko Ordonów jest znane, tu mieszkali bardzo bogaci ludzie tej familii — arystokracya. Mnie potrzeba dobrej firmy do interesu, bo to będzie bardzo solidny interes. Przytem pan ma już znajomości w wielkim świecie, jak pan będzie ładnie ubrany i będzie miał zawsze ludwika w kieszeni, to pań tych znajomości jeszcze więcej narobi. Wtedy my będziemy mogli wyprowadzić geszeft na szeroką wodę. Panie, w Paryżu to można pojechać na całego.

Co knuje, co siedzi we łbie takiego łapser-

daka, na jakie matactwo chce go wyciągnąć ten zabiegliwy nurek toni wielkomiejskich...

— Co to wszystko ma znaczyć? — zapytał ostro. — Czego pan właściwie chcesz odemnie? Wytłomacz się jasno i kategorycznie.

— Pan chcesz, żebym ja obcemu człowiekowi swoje plany wyjawil. To nie jest żaden interes. Przystaniesz pan, to pogadamy. No, daj pan rękę na zgodę.

I wyciągnął istotnie rękę. Witold stracil panowanie nad sobą, przystąpiła doń desperacka wściekłość. Już się widzi wplątany w jakiś skandaliczny proces, pod groźą kary głównej, widzi się jak niespodziewanie zasiadł na ławie oskarżonych, jak omotany przez bandę oszustów, wszystkie pozory ma przeciw sobie, jak odsądzony od czci, umarły cywilnie, siedzi w ponurej celi więziennej... wraz z mordercami, jedzie hen, za morza, do Nowej Kaledonii... Oh!

Sieradzki trwa dalej w pozycyi wyczekującej z ręką wyciągniętą.

— No, będzie zgoda?

Witold zerwał się, ujął w rękę krzesło, na którem siedział i nachylając się, zdyszanym głosem wyrzucił:

— Psiakrew, łeb rozwalę za podobne propozycye, słyszysz, oszuście jeden!

Jak szalony wybiegł na ulicę, doleciała go tylko jeszcze ironiczna uwaga Sieradzkiego:

— Osioł!

Biegł przez ulice, miotany wewnętrznym gniewem. Nie mógł sobie darować, że pozostawił bez odpowiedzi epitet, jakim pożegnał go Sieradzki. Od poważniejszego wystąpienia powstrzymała go ta okoliczność, że właściwie przed załatwieniem sprawy tego rodzaju, należało zapłacić za siebie w kawiarni.

Uderzył się po biodrach.

— A niech to jasne pioruny zatrzasną — jakże idyotycznie upokarzające położenie! Pogrążam się, psiakość, pogrążam coraz bardziej... Nie, stanowczo uciec ztąd jaknajprędzej, uciec do swoich!... Stąpam po ostrzu brzytwy — tracę równowagę i runę gdzieś w błoto wstrętnej kałuży... Ha, ha, ha! coraz lepiej: Hrabia gotów zawsze zaprotegować do jakiej starej baby... Sieradzki ciągnie do interesu, ha, ha, ha — możnaby nawet zażyć świata... do czasu... I nawet reagować niepodobna uczciwie, niepodobna trzasnąć takiej szelmy po karku... Nie mieć na zapłacenie konsomacyi... Brr!

— Pieniędzy, pieniędzy! Pieniędzy na wyjazd!

Liczył trochę na Mirona, ale to długa historya. Zanim ten dojedzie, zanim wystara się

o fundusze, zanim je wyśle... Przytem czy wyśle wogóle, choć przysięgał tak uroczyście?

Witold miał szkic główki fantastycznej, mającej wyobrażać tęsknotę. Zrobił go w czasie, kiedy pani de Rocher bawiła w Normandyi. Później wstrząśnienia innej natury wytrąciły go z nastroju i pomysł poszedł w zapomnienie. Stał w kącie mansardy, pod przykryciem zeschniętych szmat, sam kruszący się i popękany, gliniany wyraz uczuć artysty. On nie miał odwagi zaglądać do tych wspomnień, wskrzeszać szczęśliwszych złudzeń, zagrzebanych pod gruzami zburzonego gmachu naiwnej wiary. Wogóle w ostatnich czasach uczuwał jakąś szczególniejszą niechęć do rzeźby, do sztuki całej, jako do rzeczy błahej, niegodnej zabiegów ludzkich. Teraz postanowił wykończyć główkę, bądź co bądź, aby ją sprzedać za jakie sto franków baronowi, który zresztą poprostu z góry zamówił sobie pierwszą pracę rzeźbiarza.

— Niech tam — mówił sobie — machnę to na zimno, złapię trochę grosza i uciekam, nie oglądając się za siebie. Byle prędzej, jutro, bodaj dziś jeszcze!

Pobiegł do Boneckiego. W pracowni zastał młodą kobietę, karmiącą duże, tłuste, może roczne dziecko.

— Pan Bonecki? — spytał po francuzku.

— Ich kann nichts parle français — odpowiedziała i robiła jakieś mimiczne znaki.

W tej chwili wszedł rzeźbiarz, niosąc w ręku litr wina, a pod pachą długi, dwułokciowy bochenek chleba.

— Jucha — wołał — widzisz, żona mi się na łeb zwaliła.

Witold zrobił minę zdziwioną.

— Przyjechała z synem z Monachium, ale ją zaraz z powrotem tym szwabom wyekspedyuję. Co jabym tu, jucha, z tym fantem robił?

— Więc żona naprawdę? — pytał zdumiony. — Nigdy mi o tem nie mówiłeś.

Hu, hu — śmiał się — nie było się z czem chwalić. Siedzi u starych — mają tam sklep korzenny, to co im szkodzi. U mnie będzie siedziała, gdzie? Choć Lefebre prawie wcale w budzie się nie pokazuje, hu, hu, idyota. Ja tu teraz pan!

Witold strapił się, przypuszczał bowiem, że okoliczność ta przeszkodzi mu w korzystaniu z pracowni, a tak koniecznie chciał wymodelować swoją „tęsknotę“.

— Zawadzałbym tu wam — zaczął — gdybym zabrał się u ciebie do roboty...

Bonecki zaprotestował gorąco.

— A co mi to szkodzi — ona ci popozuje, jeżeli będzie potrzeba. Marijchen, rzuć małego — zawołał po niemiecku — będziesz pozowała.

Witold skorzystał z łaskawej gotowości pani Boneckiej. Poczciwa Niemka, jasna, o szarym tonie blondynka, dość kształtna i przystojna, siedziała cierpliwie, nie zmieniając pozycyi, choć dzieciak darł się niemiłosiernie.

Nie usposabiało to wprawdzie artysty zbyt dodatnio przy pracy, w każdym razie, mając przed sobą naturę, lepił śmiało i szybko. W dwa dni głowa była na ukończeniu, pozostawały do zrobienia szczegóły kompozycyi samej i wyraz, co Witold miał uzupełnić z fantazyi. Tu jednak okazało się, że fantazya nie dopisuje. O ileż pobieżny, obecnie uszkodzony nieco i zeschnięty szkic posiadał więcej siły i charakteru. Zniechęcony, opuścił ręce i miał już zniszczyć nieudane dzieło, ale Bonecki powstrzymał go za rękę.

— Nie bądź głupi — to właśnie, jucha, najlepsze do sprzedania... Ale to nie „tęsknota“ — to jest sobie poprostu Marijchen... Bo ty jesteś taki, jucha, do szkicowania, wykonanie nie twoja rzecz. Gdyby to zrobił Lefebre, no... — To mówiąc, zrzucił płachty z wielkiej, stojącej na środku pokoju, rzeźby. — Pozna-

jesz — pytał — swój szkic, coś z mojej gęby wymodelował?

Witold poznał rzeczywiście: U nóg nagiej kobiety, którą już tu dawniej widział, wynurzała się z fali rozpryskującej się o skałę, straszna, z rozbitym nosem, z otwartemi ustami, głowa Boneckiego. Postać kobiety dawniej niezdecydowana w ruchu, teraz trzymała w jednej ręce grzebień, drugą gładziła splot bujnych włosów. Całość przedstawiała się wspaniale.

— Loreley!

— Hu, hu, to mu się przydało, żeś mię wtedy pijanego odmachał — kończył Bonecki, spryskując ręczną sikawką glinę. — Lefebre ma to wykuć w marmurze, głowa topielca będzie z bronzu, zobaczysz.

Narzucił z powrotem mokre szmaty.

Przecież ten Lefebre okradł go najwyraźniej.

Na chwilę poczuł się dumnym.

— Nie wiedział, jucha, co zrobić z tym aktem, jak to nazwać — tłómaczył Bonecki — znalazł w kącie łeb topielca, przypasował do swojej rzeźby i wyłoniła się Loreleya, hu, hu... Możesz zażądać za to ze dwadzieścia franków, Lefebre zapłaci, to dobry facet, sam zresztą mówił...

Witold wzruszył ramionami. Powróciła mu znowu obojętność na punkcie ambicyi artystycznych.

— Co tam! Gdyby mi dał dwadzieścia franków zaraz... Muszę mieć pieniądze na wyjazd. Cała nadzieja w „Tęsknocie“ czy jak ją nazywasz w „Marijchen“.

Niepodobna było nieść mokrej jeszcze rzeźby do barona; na odlew, ani na wypalenie nie miał funduszów, postanowił więc sprowadzić łaskawego mecenasa do pracowni. Po zapewnieniach barona na chwilę nie wątpił w dobry skutek, zastał go jednak w nieszczególnem usposobieniu.

Przyjęcie było zimne. Na propozycyę kupna kompozycyi, baron Meyerdorf skrzywił się nieprzyjemnie.

— Mój drogi panie, źleś pan trafił. Przyznam się, jestem obecnie nieco *żenowany*. Ja kupować?! Pozbywam się raczej najcenniejszych rzeczy za półdarmo.

Rzeczywiście Witold zauważył, że ściany były ogołocone z arcydzieł, które tu tak niedawno jeszcze wisiały.

— Pech! — pomyślał. Zawsze wmawiał w siebie, iż urodził się pod nieszczęśliwą gwia-

zdą i nic mu się w życiu nie udaje. Teraz umacniał się coraz bardziej w tem mniemaniu.

— A jednak taki Miron trafił na dobre czasy, wygarnął z kasy pana barona przeszło ośmset franków, on marnych stu nie dostanie!

Co jednak tak nagle mogło wpłynąć na zmianę w położeniu majątkowem tego człowieka?

Na rozwiązanie zagadki czekano niedługo. Głośny proces o *chantage* wykryty w łonie redakcyi „Ruy-Blasa" dał publiczne i aż nazbyt dokładne wyjaśnienia.

Pewnego pięknego wieczoru bulwary i ulice Paryża rozbrzmiewały okrzykami roznosicieli gazet:

— Skandal w wielkim świecie; monstrualny proces o *chantage!* Żądajcie: odkrycia o osobie barona Meyerdorfa! Dwa sou! Panowie, dwa sou tylko

Był właśnie na wielkich bulwarach. Skręcił na ulcę Montmartre. Tam przed olbrzymim domem, zwanym „Hôtel des imprimeries", gdyż mieszczą się w nim drukarnie i redakcye kilku dzienników, zebrały się tłumy ludu, ciekawe najświeższych wydarzeń dnia. Za drucianą kratką wisiał „Radical", on to pierwszy podniósł sprawę skandalików wielkoświatowych.

Przedarł się przez ciżbę i czytał co następuje:

Mniemany baron.

„Nader ciekawe szczegóły do słynnej sprawy szantażystów, która od kilku dni zajmuje gorąco pewne koła towarzystwa paryzkiego, przyniosło badanie mniemanego barona Meyerdorfa.

Jegomość ten, dobrze znany w sferach klubowych, zawsze bardzo elegancki i dystyngowany, trzymający bank z olimpijskim spokojem, lub z dźwiękiem potomka Plantagenetów, powodujący konia ze swego kokieteryjnego tilbury — odegrał najważniejszą rolę w tragikomedyi, zaimprowizowanej przez Meistersingerów z ulicy Faval! On to, opancerzony tytułem barona, pozorami dobrego tonu i wielkopańskich kondycyi, potrafił zjednać sobie zaufanie osób z towarzystwa, a zbrojny tem zaufaniem, stał się jednym z najniebezpieczniejszych rycerzy przemysłu. On to mianowicie był głównym naganiaczem naiwnych w sieci panów Delonnais, Rigaud i Com. Czynność tę spełniał tem dzielniej, że poza procederem zawodowego „greka" (od bardzo dawna zajmował zaszczytne stanowisko pośrednika między światem i półświatkiem, miewał więc zawsze cenne i autentyczne tajemnice do odstąpienia za dobre pieniądze.) Korzystał też z tego w całej pełni ku niemiłemu zdziwieniu swoich klientów, aż oto niedyskrecya pani

Jacquelard zwróciła baczność policyi na to wesołe stowarzyszenie śpiewacze i nasz kanarek, znalazłszy się w klatce, wygwizduje zajmujące aryjki, ale już z całkiem innego tonu.

Więc przedewszystkiem okazało się, że całe baronostwo, zamki nad Renem i Wisłą są najzwyczajniejszą fikcyą. Przyciśnięty na śledztwie pan baron, przyznał się ze skruchą, iż jakkolwiek nazywa się Meyerdorf, przecież z pochodzenia jest tylko żydem polskim, a czcigodny rodziciel jego do dzisiejszego dnia jeszcze posiada w powiatowem mieście Częstochowie salon... do strzyżenia i golenia. Przybrał tytuł dla interesu, a że nosił go z godnością, tego mu chyba nie zaprzeczą najbardziej zazdrośni o czystość krwi arystokraci. Zresztą dokumentów żadnych nie fałszował, papierów nie pokazywał — uwierzono mu na słowo, do czego przyczyniło się też bardzo samo brzmienie nazwiska.

Teraz, kiedy panowie Delonnais i Rigaud zdołali ulotnić się..."

Jakiś robotnik w bluzie stanął przed Witoldem i uniemożliwił mu dalsze czytanie.

Ale mu to już i tak wystarczyło: Na sprzedanie „tęsknoty" liczyć nie może, natomiast czuje się coraz bardziej ściśnięty pierścieniem niebezpieczeństw. Kto zaręczy, czy policya, idąc po nitce do kłębka, nie przyjdzie

go prosić o referencye o panu baronie? Kto wie, w jakich stosunkach był z Mironem Sobolem? Wszakże prawdopodobnie ten sam Rigaud był w jego mieszkaniu. Kto zapewni, że ludzie ci, wykręcając się z robionych sobie zarzutów, nie zechcą użyć go za kozła ofiarnego?... Brr... On by się przecież nawet tłomaczyć nie umiał.

— Pańskie środki utrzymania, pańskie stanowisko społeczne?

Nikt by nie uwierzył, iż można prowadzić taki tryb życia, jaki on prowadzi. Oddawna nic nie zarobił. Wszedł w okres drobnych, centimowych pożyczek. Dostał kilka susów od Mirona, Boneckiego, wyciągnął kiedyś franka od Czerwińskiego, pod pozorem nieprzewidzianych okoliczności; spotkał się z Szarskim i rumieniąc się po uszy, przyznał się, że jest bez grosza... Za pieniądze te kupował chleb, popijał go wodą z fontanny Wallace'a; to stanowiło całodzienny jego posiłek. Kiedy zaczęło się robić chłodniej na świecie, kiedy jesień coraz częściej bluzgała w twarz slotą, przejmowała wilgotnem zimnem do szpiku kości — jarska owa metoda odżywiania stawała się nieznośną. Organizm gwałtownie domagał się, jeżeli już nie gorącego rozbefu, nie kawałka sztuki mięsa, to przynajmniej odrobiny tłuszczu. Przechodząc koło wędliniarni, gdzie

we drzwiach lub zupełnie na ulicy, jak to się dzieje na wystawach sklepów paryzkich, stały beczki ze szmalcem, miał nieprzepartą ochotę zanurzyć rękę w białej masie i pełnemi ustami pochłaniać ten niewytworny przysmak.

Zrozumiał teraz pożądliwe westchnienia do sadła naszych chłopów, ludzi, którzy przez rok długi nie oglądają mięsa.

— Ba, jadać tłusto — dużo omasty!

Kupował też szmalec, o ile fundusze na to pozwalały, w braku jednak większej sumy na ów zbytek, fundował sobie za jedno sous słoniny, pokrajanej w kostkę na skwarki, a przegryzając nią chleb, miał możliwie najekonomiczniejszą repartycyę tłustej przyprawy.

List od Mirona nie przychodził. Zresztą zwątpił weń najzupełniej i dziwił się nawet sobie, jak mógł dotąd łudzić się jakąkolwiek obietnicą, pochodzącą od tego rodzaju człowieka.

Ale dla czego właściwie nie miałby sam osobiście zwrócić się do Łęckiego z prośbą o pożyczkę; wszakże mu jej z całą pewnością nie odmówi. Myśl ta wydała mu się bardzo szczęśliwą i chwycił się jej jak ostatniej deski zbawienia. Napisze list szczerze, sformułuje prośbę swoją w taki sposób, że niepodobna aby człowiek szlachetny, żywiący przytem dlań

pewne uczucie życzliwości pozostawić mógł ją bez odpowiedzi.

Ożywiony wiarą w dobry skutek postanowienia, obliczył czas potrzebny na wymianę korespondencyi i przedsięwziął środki zapewnienia sobie możliwości przeczekania tego czasu, który nie przenosić miał dwóch tygodni. Więc przedewszystkiem wyprosił sobie dwutygodniowy kredyt u właścicielki hotelu, gdyż właśnie miesiąc się był skończył. Następnie wstąpił do piekarni i zamówił dwa funty chleba dziennie, zamówił też u mleczarza, który stale w tym domu bywał, litr mleka, na całe pół miesiąca. Odtąd pewny był, że codzień rano, pod drzwiami swego pokoju znajdzie bochenek chleba, a na klamce zawieszoną blaszankę z mlekiem. Zabezpieczywszy się w ten sposób od głodu, siadł i pisał do Łęckiego.

Mój drogi!

„Piszę do ciebie niby syn marnotrawny. W pogoni za bezlicową chimerą, za urojeniem ambitnych pragnień, pogrążyłem się w ostatniej nędzy — idę na dno, błagam więc, pomóż mi wydostać się z toni.

Z góry jednak zastrzegam, iż nie zwracam się do ciebie jako do filantropa, do mecenasa, do protektora sztuki; nie wołam: ratuj światu artystę, krajowi chwałę narodową, sztuce

kapłana, bom niestety, aż nadto mocno uwierzył w czczość podobnego rodzaju wykrzykników.

Świat obejdzie się łatwo bez jednego artysty, kraj bez chwały, którą bym mógł mu przysporzyć, a całe kapłaństwo w sztuce jest arcy wątpliwej świętości i stanowczo śmiem twierdzić, iż człowiek dorosły, pełnoletni, w imię takich zaklęć nie ma prawa wymagać dla siebie jakiejkolwiek pomocy od społeczeństwa. Nie korzystałem wprawdzie dotąd z żadnych stypendyów, z żadnych zasiłków publicznych, przyznam się jednak otwarcie, żem nieraz szczerze zazdrościł tym, których to ułatwienie w walce spotykało, a sam uważałem się za srodze pokrzywdzonego. Rwałem się jak szalony do tego Paryża, niby do ziemi obiecanej, gdzie mlekiem i miodem płyną rzeki rozkoszy artystycznych i uważałem to za cel wzniosły i godzien najwyższych poświęceń. Dziś, zrobiwszy wspólny rachunek sumienia, zbadawszy na trzeźwo naturę pobudek, które mnie tak bezwzględnie pchały na owe niebezpieczne drogi, widzę, iż nie była to bynajmniej bezinteresowna miłość sztuki, ale ambitna żądza wybicia się po nad tłumy, zdobycia oklasków uznania i dostatków. Czyż ma się prawo wymagać od otoczenia poparcia żądz podobnych? Dla czego ja mam kosztem ofiarności ludzkiej

zdobywać stanowisko uprzywilejowane, niedostępne dla milionów. Czyż nie dla tego dążyłem do doskonałości w sztuce, aby nie być kamieniarzem, aby nie zostać kantorzystą lub przepisywaczem.

Otóż tedy nie chcę cię wzruszać tragizmem zmarnowanego talentu, gdyż to jest przesąd, zaklinać wielkiemi słowami o świętem powołaniu artysty, bo to nikogo nie obchodzi, ale proszę poprostu, jako dobrego człowieka: pożycz mi sto pięćdziesiąt rubli, ażebym mógł wrócić do kraju, bo inaczej zdechnę tu z głodu, jak pies włóczęga. Wróciwszy, zajmę się jaką użyteczną produkcyjną pracą, przyjmę robotę od którego z kamieniarzy na Powązkach, lub postaram się o miejsce rysownika w biurze technicznem. W każdym razie będę chciał oddać pieniądze w możliwie najkrótszym czasie. Zwracam się do ciebie z tą prośbą, nie do kogo innego, gdyż jesteś jedynym w swerze moich znajomych, który taką sumą rozporządzać może.

Twój Witold.

P. S. Bis dat, qui cito dat. Przypominam ci to przysłowie tem skwapliwiej, że egzystencyę w Paryżu zapewnioną mam ściśle tylko na dwa tygodnie.

Czy nie był u was Miron? W. O.

Wysławszy list, Witold poprostu nie mógł i nie chciał o czem innem myśleć. Czekał, licząc niecierpliwie dnie i godziny. Wypadało by coprawda doręczyć już nareszcie ową nieszczęsną paczkę Plewińskiego, tej jakiejś pani Rigaud, ale nie chciał wychodzić na ulicę bez pieniędzy, bał się jak ognia wszelkich spotkań, wszelkich nieoczekiwanych wydarzeń.

— Załatwię to — mówił sobie — przed samym wyjazdem.

Tymczasem zamknął się w mieszkaniu i prawie zeń nie wychodził. Za pieniądze, pożyczone od Czerwińskiego, kupił tytoniu, rozdzielił go na czternaście równych części i jak przezorny kapitan okrętu, ogarniętego ciszą morską, nie przekraczał racyi wyznaczonej na dzień każdy. Szarski dostarczył mu trochę książek — w książkach tych zatonął całkowicie, jak pijak, odurzając się do niepamięci.

Były to przeważnie dzieła treści społecznej i ekonomicznej. Artysta po raz pierwszy w życiu zasiadł do tego rodzaju lektury, dziwił się więc, iż z takim zajęciem czyta rzeczy, które kiedyindziej wydałyby mu się niewypowiedzianie ciężkie i nudne. Teraz przeciwnie uczuwa jakąś pogardę dla utworów czysto literackich. Miał kilka tomów poezyi, odrzucił je z niechęcią.

— Nie, stanowczo: C'est en vers, que l'homme a dit le plus des sottisses. Pisanie wierszyków nie jest godne człowieka dojrzałego, a ja nie mam bynajmniej humoru do wyczytywania tych rymowanych kwileń. Przecież gdyby to wszystko przełożyć na prozę — nie byłoby w tem za grosz jeden zdrowego sensu. Nie zajmowała go też i proza powieści, zwłaszcza owe wieczne awantury miłosne; a już poprostu zirytowała go do najwyższego stopnia Musset'a „Spowiedź dziecięcia wieku". Postanowił odczytać romans ten do końca, jako jedno z arcydzieł literatury francuzkiej, ale kiedy przyszedł do miejsca, gdzie bohater przez kilkanaście stronnic zawodzi rozpaczne żale, z powodu, że przy kawalerskiej uczcie, złapał swoją kochankę na gorącym uczynku porozumiewania się nogą pod stołem z jednym z sąsiadów, cisnął książkę w najwyższej pasyi.

— A niech ich tam piorun trzaśnie! A co mnie to może obchodzić, że taki mazgaj zalzawia się dla byle głupstwa. Czego taki osioł oczekiwał od kokoty? Czego poeta zawracą mi tem głowę? Gdyby jak ja przenocował pod mostem, gdyby jak ja przepościł parę tygodni, gdyby wreszcie siedział w nieopalonej mansardzie o chlebie, mleczku i dwóch papierosach dziennie, wiedział by, iż są poważniejsze sprawy, niż zdrady tych pań z półświatka.

Zabrał się do fantastycznych paradoksów Proudhon'a.

. . . .

Odpowiedź Łęckiego opóźniała się. Minął termin przypuszczalny. Minął jeszcze dzień jeden, drugi, trzeci. Właścicielka hotelu zatrzymała go kiedyś w biurze:

— No, panie Witold, cóż będzie?

— Nie mogę zrozumieć — tłomaczył się — powinienem już mieć list i pieniądze.

— Ja panu poradzę. Napisz pan kartę z odpowiedzią opłaconą. Oto jest — należność mi pan później zwróci.

Witold przyjął ofiarę i w biurze hotelowym napisał kartę, drugą zaadresował do siebie. W tydzień wróciły obydwie z napisem:

„Nie doręczono z powodu śmierci adresata."

Witold długo patrzył, jak osłupiały, oczom nie wierząc. Obracał list w rękach na wszystkie strony...

— No, co tam słychać, panie Witold? — pytała właścicielka.

Nie umiał nic odpowiedzieć, nie chciał odpowiedzieć. Wszedł automatycznie na górę do siebie, schował paczkę Plewińskiego do kieszeni i schodził z powrotem.

— No, panie Witold? — doleciało z loży właścicielki.

— Nic — odmruknął.

Kręcąc laską młynka i gwiżdżąc marsza, powędrował na miasto przed siebie....

Trzeci dzień tułactwa bez ostoi, bez dachu nad głową, bez możności wyciągnięcia utrudzonych członków — trzeci dzień głodu.

Senność i znużenie rozlewają w organizmie niemoc, przysłaniają świadomość mrokami półobłędu. Nogi się pod nim plączą, chwieją, ale idzie ciągle, bo usypia, jeżeli przystanie na chwilę. Czasami robi mu się bardzo wesoło. Śmieje się i monologuje ze sobą jak pijany. Łudzi się ciągle jakąś szaloną nadzieją czegoś nieoczekiwanego a świetnego, jakieś niezwykle urocze widoki tuż, tuż w najbliższej perspektywie mamią oko. Głośno zachęca się do wytrwania.

— Nuże, panie artysto, jeszcze trochę. Naprzód! Za godzinę, za dwie, spotkasz kogoś, co cię ujmie za rękę i poprowadzi do rozkoszy i użycia. Za godzinę, za dwie, jak się trochę ludniej zrobi w Paryżu. Teraz jeszcze zbyt wczesna godzina — motłoch się snuje po ulicach —

robotnicy, nędzarze. Potem zaroją się bulwary od milionerów. Znajdziesz swego człowieka... Tamtędy przechodzą milionerzy z całego świata... ha, ha, ha!

Co za głupstwo!

Przychodzi poczucie rzeczywistości.

— Aha, mam trochę gorączki. Wczoraj nie było mi tąk wesoło, wczoraj nie śmiałem się... Głód ciągnął wnętrzności, jakby mi kto na kiszkach bańki postawił, skręcał, tarmosił, szarpał... i szarpanie to bolało nieznośnie pod żebrami, bolała pustka w brzuchu. Wczoraj miałem dokładne, wyraźne uczucie okropności głodu i wyobrażałem sobie, iż jeszcze jedna chwila dłużej, jeszcze jedno cierpienie więcej— nie wytrzymam — zrobię coś nadzwyczajnego: zabiję, ukradnę, będę żebrał.

Stanę na środku ludnego placu i będę krzyczał strasznym głosem: jeść! jeść! jeść! albo sobie łeb o kant muru roztrzaskam, jak baran dotknięty kołowacizną...

— Otóż nieprawda: Przeszło — nie czuję bólów, tylko obojętną pustkę. Co tam—wszystko mi jedno. Głód nie jest takim strasznym dyabłem, jak go malują.

Wybuchnął śmiechem. Przypomniała mu się nowelka jakiegoś francuza, którą czytał niedawno w „Bon journal“:

Student medycyny, straciwszy nagle posadę

piona w liceum, gdzie miał całkowite utrzymanie, nie je nic przez dzień cały. Wieczorem doprowadzony do ostateczności cierpieniami głodu, prosi o jałmużnę młodą, skromnie ubraną dziewczynę, wychodzącą z magazynu. Ta, nie mając drobnych, oddaje mu monetę dwudziestofrankową, jedyną, jaką posiada. Sprawa się kończy nader sentymentalnie. Po kilku latach student stał się slynnym doktorem i odnajduje na łożu szpitalnem tę samą litościwą szwaczkę, umierającą z nędzy — ratuje ją od śmierci i żeni się oczywiście w procencie od owego pożyczonego kiedyś ludwika.

Tak sobie wyobraża te rzeczy gruby mieszczuch, któremu kucharka pewnego razu spóźniła się o półgodziny z obiadem. Cierpiał przez pół godziny! Gdyby cierpienie to miało się przedłużyć, gdyby miało trwać dzień cały. Nie, przecież gruby mieszczuch wyszedłby na ulicę i wołał: litości godna osobo — cały dzień nic nie jadłem.

On by przecież ręki nie wyciągnął, jak ten niedołęga francuz. Przeszedł najcięższe chwile i nic... He, he, he, najwidoczniej można się odzwyczaić od jedzenia.

— A może ci ludzie zdrowi fizycznie, ci mało uduchowieni, ci mięśniowcy, silniej odczuwają potrzeby fizyologiczne od nerwowców i dla tego trudniej przenoszą wszelkie prywacye,

dla tego upadlają się żebraniem, dla tego kradną i oszukują, dla tego z taką bezbrzeżną trwogą myślą o jednej bodaj godzinie przymusowego postu.

— Swoją drogą, taki żebrzący student dyabła wart!

Przy pogardzie dla owego studenta z noweli zjawiły się jednocześnie podziw i uznanie dla własnej wytrwałości. Był z siebie zadowolony.

Nagle uczuł ostry ból w kiszkach.

— Uhu — myślał — odzwyczajam się od jedzenia jak ów koń żydowski, który był już na dobrej drodze, ale właśnie zdechł dnia ostatniego przed dojściem do zupełnej doskonałości.

I błysnęła mu nadzieja ratunku. Nie umiera się przecież z głodu nagle, jak od pioruna... Upadnie na ulicy z wyczerpania, podniosą nieprzytomnego, zaniosą do szpitala, otoczą najtroskliwszą opieką, przepiszą podwójną racyę... Będzie leżał wygodnie na białem, czystem posłaniu, w łóżku, otoczonem płóciennemi firankami, jak Miron, jak Plewiński.

— Ach wyciągnąć się na wygodnem łóżku i spać, długo, długo... dnie całe!

Widzi wielką salę szpitalną, zastawioną białymi pawilonikami. W jednym z nich on... Jakże mu tam dobrze, ciepło, cicho i spokojnie...

Jakże by chciał już upaść, jakże by już chciał, aby wyczerpanie podcięło nogi, odebrało przytomność.

Bóle wzmagają się coraz bardziej, skręcają wnętrzności, podchodzą pod serce. Czuje nieznośne gniecenie w dołku i żar w piersiach. Musiał usiąść na ławce.

Wielkie bulwary ożywiały się na dobre, była to godzina przedśniadaniowa. W kawiarniach pito absynt. Przed nim olbrzymi gmach Crédit Lyonnais, cały z kamienia, szkła i żelaza, przechowujący w swych podziemiach nieprzeliczone skarby— tańczył piruety jak skoczna baletnica...

W boku zakłuło coś, aż syknął.

— Nareszcie!

Pilno mu było do szpitala, ale bóle po trochu ustawały. Mgliło go tylko nieprzyjemnie i miał pragnienie.

Wstał i szedł na poszukiwanie fontanny.

Kiedy się napił wody ustąpiły i mgłości, uczuł się też silniejszym na nogach. Wrócił apetyt i z zazdrością patrzył na francuzów, zasiadających do śniadania przed kawiarniami.

— A niech to dyabli porwą — zaklął. — Co za wściekła odporność organizmu. Już bym wolał zaryć w ziemię nosem!.. A licho wie, jak długo będę jeszcze musiał nosić ciężar pustego brzucha na chwiejnych nogach... Psia-

kość — żelazne zdrowie! Toż powinienbym się już dziesięć razy przeziębić — dostać zapalenia płuc, błonicy, tyfusu... Ziębnę po nocach bez okrycia, moknę na deszczu, wysycham, nie zmieniając ubrania, znowu moknę...

Istotnie od trzech dni panowała w Paryżu charakterystyczna pogoda jesienna — deszcz padał z małemi przerwami bez ustanku.

Witold, przemoczony do nitki, zaszargany, zabłocony, z nogami ociekającemi wodą, wchodził suszyć się do kościołów, na lekcye do College de France, na wykłady Topinard'a i Letourneau w szkole antropologicznej, wreszcie do Luwru. Stawał nad kaloriferem i rozkoszował się błogiem ciepłem, które idąc od dołu, przenikało całego. Teraz i to stało się niemożliwem, gdyż skoro tylko owionęło go cieplejsze powietrze, zasypiał stojąc i walił się jak długi na ziemię.

Do Luwru nie zaglądał z innych jeszcze względów. Wpadł w jakiś krańcowy nihilizm estetyczny. Po chwilach biernej obojętności dla sztuki, przyszedł teraz okres jakiejś wściekłej, zaczepnej nienawiści. Uczuwał w sobie pragnienie złośliwe, niszczycielskie. Kiedy chodził po wspaniałych olbrzymich galeryach, gniewało go w najwyższym stopniu, że stare zamalowane ścierki, że niezdarne bałwany kamienne zajmują ciepłe wygodne salony, gdzieby

stanąć mogły łóżka dla kilku przynajmniej tysięcy takich jak on nędzarzy.

— Co za głupstwo — mówił, stojąc przed Wenerą z Milo — co za głupstwo, utrzymywać dla kawałka otłuczonego marmuru osobny salon, zawieszony aksamitami! I co jest właściwie w tej Wenerze? Nagość. Bezwstydna nagość, nic więcej. Już Proudhone utrzymywał: „że skoro dłużej będę się jej przyglądał, elle finira par m'inspirer des pensées impures“. Bo pewnie! A zajmuje szelma taki piękny pokój! I miał ochotę porwać jeden z leżących obok szczątków rąk marmurowej bogini i rozbić głowę bezwstydnicy. Nieprzepartą też miał ochotę ciąć nożem arcydzieła Rubensa, Tycyana, Bouchera, Franconard'a.

Ogarniał go szał... To znowu drżał na myśl, że gdyby dopuścił się wandalizmu, pogrzebał by się moralnie raz na zawsze. Wieczna hańba — kryminał!...

— Co jednak jest w tej mojej nienawiści? Chłodno, głodno i do domu daleko! Nie ma przecież w sobie silnego przekonania wandalów w wielkim stylu, jak Courbet. To przejdzie, to przejść musi... Wściekam się z nędzy i basta.

Unikał więc Luwru w obawie odruchów chwilowego obłąkania.

I teraz, pomimo przejmującego deszczu nie

wstąpił do galeryi, ale pociągnął przez ulicę Royale i Plac Zgody na Pola Elizejskie. Tam wśród drzew ciągnie się długa altana, jako schronienie przed gwałtowną ulewą dla spacerujących. Usiadł na ławce i w tej chwili zapadł w sen kamienny. Spał długo widocznie, bo kiedy go wreszcie policyant, trącając kolanem o jego kolano, obudził — czynił się już wieczór na świecie.

Wypogodziło się. Słońce zachodziło różowo i mrugało wesoło, niby oko z pod powieki, z pod ostatniej chmury na niebie.

Tłumy strojne, świetne, barwne, zażywały przechadzki przedobiedniej pod szeregami platanów, które ostatnie swe pożółkłe liście sypały im na głowy. W alejach rozszalał się ruch powozów. Cała widna ztąd szeroka, długa ulica, wznosząca się w górę ku placowi de l'Etoîle, dygotała od tego ruchu, niby cielsko olbrzymiego, czarnego potwora.

Witold zbudzony z długiego snu, drżał od zimna na całem ciele, trząsł się jak w febrze, ale czuł się znacznie pokrzepiony i silniejszy. Wraz z poczuciem sił zjawiła się chęć działania, ratowania się, choćby samobójstwem od męczarni obecnego położenia.

Kiedy wstał i rozprostował obolałe kości, stanęła mu przed oczami okrutna konieczność przepędzenia znowu nocy na mieście, włócze-

nia się z ulicy na ulicę bez możności wypoczynku.

Zimna, dżysta, czarna, długa noc jesienna! Nie, to oszaleć można!

Obraz nocy tej przejął buntem całe jestestwo. Ciało i dusza odezwały się gwałtownym protestem. Chwycił się za głowę w straszliwej rozpaczy i wołał:

— Nie, nie, jeszcze jedna noc taka. Nie, raczej rozwalić łeb o latarnię... Nie wytrzymam, nie przeżyję...

Ale szedł przed siebie wzdłuż rzeki w kierunku dzielnicy łacińskiej. Szedł rozpaczny, beznadziejny, pełen bólu.. Wieczór zapadał ciemny. Czarna, ponura toń wabiła go, jak łono ponętne kochanki.

— Tam mi kres! Już dziś bym nie wypłynął z głębin. Siły by zabrakło, choćby zwierzę — instynkt ciągnął topielca za włosy...

Wstąpił na most, oparł się o baryerę i patrzył w tajemniczą ciemnię wody.

— Skończyć raz bezużyteczną walkę, bezcelowe męczarnie...

I nagle zaczął litować się nad sobą. Okrutny żal ścisnął za serce.

W ciemnej powierzchni wody, jak w czarodziejskiem zwierciadle, ujrzał całą swoją przeszłość, odbitą w jakichś groźnych, ponurych tonach. Obrazy przesuwały się jeden po

drugich, a wszystkie dziwnie połamane, dygocące, w ruchliwem migotaniu się fali, jakby chore, rozgorączkowane, biedne, nieszczęśliwe.

— Jednej weselszej nuty — jednej chwili spokoju!

Fala drży ciągle, migoce. Czarność jej staje się coraz bardziej gęstą, coraz bardziej ponurą. I widzi siebie, jak przyjeżdża do Paryża... Biegnie i wabi jak bachantka lubieżnem łonem. Przyjęła postać pani de Rocher; on rzuca się w jej objęcia, a ona srogiemi pazury rozdziera mu piersi... Biegnie przed nim skrzydlaty potwór — chimera. Twarzy jej nie widzi... Chce odgadnąć, ale rozbija się ona, rozłamuje w falowaniu wody, nieuchwytna. Pada u stóp fantastycznej postaci, a ona miażdży go potężnym kolanem marmurowej olbrzymki. Tak, to marmur, biały, twardy, zimny marmur. Ale oczy tej marmurowej istoty, czarne, wielkie oczy palą się żywym ogniem. To oczy dziewczyny z Luwru. I znowu jakby patrzał na Sekwanę w ów dzień upalny, kiedy w najwyższej rozpuście rozigrały się na niej blaski, zapalone praogniem niebieskim. W aureoli tęczowych roztoczy, patrzą nań czarne palące źrenice, tej dziewczyny z Luwru. Ale już go nie kłują, nie rażą ostre promienie, bo obraz cały przedstawia mu się, jakby szkło okopcone, przez które jasne, wełniste obłoki na niebie

przyjmują groźną barwę, ciężkiej gromonośnej chmury...

I groźnie, chmurno jest dokoła... Szara tkanka deszczowej przędzy omotała ich fatalnie... Ciągnie się wóz żałobny. Za białą szpitalną trumną idzie ślepy starzec siwowłosy, kobieta i dziewczyna w ciemnej sukni i on...

Na dnie głębiny zamajaczyła smukła postać dziewczęcia, obok matka jej: smutna kobieta w czerni. Paczka Plewińskiego ciąży mu na piersiach.

— Fatalne więzy!

Wyjął ją i mówił.

— To dla ciebie pani — ostatnia wola umierającego. Pozbywam się nareszcie strasznego ciężaru... Zabieraj, zabieraj zabieraj!

Rzucił paczkę na falę. Prąd porwał ją i niesie. Biała kwadratowa plama świeci się na ciemnej powierzchni rzeki. Schowała się pod mostem.

— Maligna! Com ja zrobił!

Chwycił się za głowę — pała gorączką. Przeszedł na drugą stronę. Biała koperta wypłynęła z pod arkady i błyska teraz, kołysząc się na fali. Przed nią pluszcze się w wodzie w zielonych promieniach księżycowego światła. które nagle zalało rzekę, postać niewieścia. Wabi go uśmiechem syreny, nęci urokiem toczonych piersi, wyciąga rozkoszne ramiona...

— Idę!

Wskoczył na balustradę i rzucił się w toń rzeki. Czuje, że leci... leci... Pogrążył się i leci ciągle w głębinę. Zrobiło mu się ciemno i oddychać nie może. Bezwiednym ruchem rąk wzbił się w górę i wydostał na powierzchnię. Widzi kopertę płynącą o kilkanaście kroków przed sobą.

— Nie powinienem jej się był pozbyć. Zawiodłem zaufanie.

Wytężając ostatek sił, stara się jej dosięgnąć. Płynie. Przestrzeń zmniejsza się, ale widzi coraz mniej wyraźnie. To Chimera tęczowemi skrzydły zasłania mu ją przed wzrokiem. Śmieje się doń urągliwie, straszna, drapieżna, okrutna!..

Ale on nie ulęknie się szponów pantery, przebije tkankę złudnych skrzydeł i w imię obowiązku dosięgnie powierzonego sobie depozytu...

Wtem plusnęła woda, ciemny cień stanął między nim a widziadłem... Witold uderzył okropnie głową o coś twardego i stracił przytomność.

Po pięciu latach pobytu, Witold uczul się w Paryżu jak u siebie w domu.

Szczególniejsze to miasto, że ciągną doń ze wszech stron ludy, jak do ziemi obiecanej, a później, opuszczając, tęsknią, niby za własnem gniazdem. Ale też życie układa się tu w sposób niezmiernie łatwy: jak kto chce, jak komu wygodniej.

Stał się paryżaninem w całem słowa tego znaczeniu. Przejął się duchem otoczenia, w którem żyje, jego dążeniami, jego losem, dlań pracuje i myśli. Jest sobie poprostu kamieniarzem, więc przedewszystkiem zajmują go sprawy towarzyszów zawodu, ich niedole i radości; ale też cieszy się i raduje wraz z całem tem społeczeństwem, które mu teraz pozwala istnieć w swem łonie.

Zdaje mu się, że jest szczęśliwy. Czasami tylko, kiedy się ziemia na krótko śniegiem

ubieli, lub kiedy, po zimowej martwocie, budzi do życia w jasnej szacie zieloności — okrutna tęsknota do swoich zatarga piersią, zamroczy łzą oko.

To znowu w slotny dzień jesienny wstrząśnie wspomnieniem strasznych przejść, ale wtedy staje z towarzyszami przy „cynku“ — kieliszek w dobrem towarzystwie rozprasza smutki... i niby jest mu dobrze.

Zarabia dużo. Oto podwyższono mu właśnie płacę do trzydziestu sous za godzinę, co stanowi całe piętnaście franków dziennie. Robotnik z tem pozwolić sobie może na pewne zbytki. Wprawdzie Witoldowi nie zawsze tygodniowy zarobek wystarcza od soboty do soboty, jednakże ma przecież codziennie dobre śniadanie, z winem, czarną kawą z koniakiem, takiż obiad, no i w razie fantazyi kredyt na jakąś szklankę absyntu. Ubiera się przytem bardzo starannie, nie bez pewnej nawet kokieteryi. Już przy robocie, kiedy stoi na rusztowaniu, wykuwając gdzieś wysoko, pod balkonem kwiaty i maskarony, pamięta o swoim wyglądzie. Suty fontaż krawata wyrzucony na piersi, długa biała bluza i czarny z szerokiem skrzydłem kapelusz, składa się na strój malowniczy, w którym do twarzy ładnemu chłopcu. To też dziewczęta przesyłają mu z dołu zalotne spojrzenia, on uśmiecha się do

nich wdzięcznie i zdaje mu się, że jest z losu zadowolony, z losu robotnika paryzkiego.

Po pracy przebierał się na „pana". Kładł czarny surdut, białą kamizelkę, cylinder i w towarzystwie jakiej poczciwej, wesołej kwiaciarki lub modystki z dzielnicy, szedł do teatru, na koncert lub poprostu do kawiarni na szklankę piwa, gdzie przesiadywali cały wieczór, baraszkując w pustocie, jak małe dzieci.

W niedziele zbierało się liczniejsze grono kolegów z żonami i przygodniemi towarzyszkami życia i robiono wspólne wyprawy za miasto — to łódkami wzdłuż Sekwany do Meudon, St. Cloud, Sevres, St. Germain, lub koleją do Wersalu i bardziej odległych miejscowości. Bawiono się dzień cały na świeżem powietrzu, jeżeli pogoda na to pozwalała, tańczono na trawie, ścigano się, skakano, zjadano obiad w jednym z wiejskich kabaretów, które, nawiasem mówiąc, przygotowane są zawsze do przyjęcia paryzkich gości aż nadto dobrze — no i wracano do miasta.

Zabawy takie przeciągnęły się często do późnej nocy, a zdarzało się, iż wracano rankiem wprost z wycieczki do pracowni i wtedy uczestnicy mieli „ciężki poniedziałek".

Oczywiście nie wszyscy robotnicy przyjmowali udział w tych uciechach; było to kółko wybranych — jak ich w fabryce nazywano —

artystów lub też arystokratów. Organizatorem i przewodnikiem bywał sam kontrometr, pan Delahay, stary kawaler, już dobrze po czterdziestce, trochę pijak, polityk, bardzo oczytany i nie bez wrodzonej inteligencyi. Miał on kiedyś aspiracye artystyczne, wystawił nawet przed kilkunastu laty jakiś biust w Salonie, ale praca fabryczna nie pozwalała mu nadal zajmować się sztuką, uważał się więc za zwichniętego — *raté*. Zbliżyło go to do Witolda, w którym odczuwał bratnią duszę, wyciągał go też na pijatyki, bo przy kieliszku otwierał upusty gorzkim żalom do losu, że go skazał na wieczną poniewierkę w fabryce — Witold jakoby miał go rozumieć lepiej od innych i to przynosiło ulgę zwichniętemu artyście.

Był on synem szewca z pod Rouen i w dzieciństwie podobno bawił się z Guy de Montpassantem, który z zamku rodziców swoich zabiegał na przedmieście. Ta okoliczność była przedmiotem licznych zestawień i daleko idących wniosków o nierówności między ludźmi, a ztąd pesymistycznego usposobienia pana kontrometra. Pesymizm ten przecież nie przeszkadzał mu być doskonałym przewodnikiem zabaw. Cały humor jednak do towarzystwa wnosił naprawdę młody, bardzo zdolny robotnik Bouvier, ex-aktor, a właściwie szansonista kawiarniany. Nie miał jeszcze lat dwudziestu

dwóch, a był żonaty i obarczony parką bliźniąt rudych jak wiewiórki. Na wycieczkach bywał z żoną, wesołą, ładną kobieciną, niezmordowaną tancecznicą. Bywał tam jeszcze Latouche, młody chłopak, żyjący ze starszą przynajmniej dwa razy od siebie kobietą. Bywał też pan Czik, z pochodzenia czech czy węgier, którego śliczna, jak anioł, żona, występowała w teatrze Folies Dramatiques.

Aktorka w obcowaniu z młodzieżą bawiącą się za kulisami, przywykła do lepszego towarzystwa, nie czuła się najlepiej w otoczeniu robotników i kobiet, w otoczeniu, jakie narzucało jej stanowisko męża. Trzymała się sztywno i z pewną powściągliwością, jednakże póki trwało zawieszenie przedstawień w teatrze, bywała stale na niedzielnych wycieczkach. Witolda tylko jakoby za dobry ton i dystynkcyę wyróżniała, czego jej mąż za złe nie brał bynajmniej.

Przy obiedzie, kiedy coraz gęściej krążyć zaczęły czasze i ona dawała folgę wrodzonej żywości temperamentu, i wtedy szalona, szumna, iście francuzka, perląca się jak szampan, wesołość, ogarniała wszystkich bez wyjątku. Bouvier przechodził samego siebie: błaznował, śpiewał, skakał, wykrzywiał zabawnie ruchliwą, jak z gutaperki, twarz komika. Kobiety zanosiły się od śmiechu, śmiech udzielał się

jak zaraza, śmiał się i Witold, porwany ogólnym nastrojem, śmiał się do łez, do spazmu.

A kiedy ustał na chwilę gwałtowny paroksyzm wesołości i przychodziło opamiętanie, wmawiał w siebie, że przecież życie upływa radośnie.

Po obiedzie, w cudną noc letnią, dyszącą wonią kwiatów, zapuszczali się w stare aleje parku St. Cloud, w malownicze, pełne niewypowiedzianego czaru, powabne romantycznością wspomnień, ustronia, niegdy królewskiej siedziby. Witold, prowadząc pod rękę, śliczną, jak anioł, żonę pana Czika, półodurzoną winem, rozmarzoną urokiem otaczającej natury, wierzył, iż życie ma swoje przyjemne strony...

A kiedy o świtaniu poranka siedli do łodzi, aby wracać do pracy, kiedy plusnęły wiosła, huknęła pieśń chóralna i nosiła się echem po fali, kiedy uczuł jak drobna rączka, siedzącej obok aktorki, wyciąga się nieznacznie ku niemu i pieściwie dotyka jego ręki i obejmuje za szyję... wołał w duszy, że kilka godzin radości, kilka godzin szału, wesela i ta ciężka praca tygodnia wypełnia życie człowieka po brzegi. Uderzał silniej wiosłem, podnosił głos w śpiewie, jakby się chciał zagłuszyć wysiłkiem, jakby się bał, że mu coś krzyknie do ucha: nieprawda!

— Nieprawda. Pusto jest za mną—pusto przedemną!

Jestem jak na popasie. Rozbiłem namiot wędrowca, lecz nie ułożyłem podwalin trwałego gmachu istnienia. Wsiąkam niby w to środowisko, oddaje im swoje siły—pracuję. Przyjąłem niby ich zwyczaje, nawyknienia, upodobania — śmieję się z nimi, piję, bawię miłością, a dusza rwie się gdzieś hen, daleko do swoich.

I stanęła przy nim tęsknota.

Łódź pruje ochoczo łono rzeki, mknie wesoło po fali; pieśń brzmi skocznie, zgodnemi głosy śpiewana. Czuje na ręku dotknięcie ciepłej, delikatnej dłoni niewieściej... Skłania się ku niemu cała, opiera śliczną główkę na jego ramieniu... a jemu pierś targa tęsknota.

— Jestem jak na popasie! Czyż taki jest kres mego przeznaczenia, taki ostateczny cel dążeń? Praca rzemieślnicza, bezmyślna, z dnia na dzień, a potem pijane odurzenie. Praca bez sławy, bez zaszczytów?

I stanęła przy nim Chimera.

— Sztuka?!

Zerwał przecież ze sztuką zwodniczą w ów dzień pamiętny, kiedy oszalały z głodu, rzucił do rzeki depozyt zmarłego, a potem gonił w nurtach gorączkowe widziadła. Przecież znienawidził ją — tę zbyteczną, niepotrzebną arystokratkę myśli, tę rozpustnicę, nęcącą

zwodniczemi wdziękami, kiedy chodził zziębnięty i przemoczony po galeryach Luwru; przecież ogarniało go wtedy pragnienie niszczenia tych pustych fetyszów czci ludzkiej, jako czegoś wrogiego prawdzie i cnocie. Przecież bronił się przed wskrzeszeniem w sobie, zagrzebanych przez cierpienia bezcelowe pragnień. Unikał podniet tego świata złudy — chciał pracować trzeźwo. Stanął przy warsztacie powszedniej wytwórczości, a jednak...

— Jestem jakby na popasie. Wszystko to jest chwilą przejściową. Oczekiwaniem. Ha, ha! życie całe jest chwilą przejściową... Ale to mi życia nie wypełnia — okłamuję się...

Okłamywałem się wtedy, kiedym klął sztukę jako nieprzyjaciółkę obowiązków obywatela i człowieka, nieprzyjaciółkę spokoju, okrutną dręczycielkę duszy.

— Czyżbym chciał po długim wypoczynku ducha, wrócić znowu na drogę wiecznej rozterki?

Witold zauważył w usposobieniu swem pewne zmiany, których nie może zrozumieć, a które go trwożą.

Od jakiegoś czasu, czuje niewypowiedziany pociąg do wszystkiego, co jest rzeźbą, malarstwem, poezyą, do wszystkiego, co jest sztuką. Długo bardzo po przejściach pierwszych miesięcy pobytu swego w Paryżu, nie zaglądał

wcale do galeryi, unikał ich, przypuszczając, że tkwi w nim jeszcze ów wandal niebezpieczny, gotowy wybuchnąć niepochamowaną furyą niszczycielską. Kiedyś spotkawszy się z kilku polakami, po dobrem śniadaniu, poszedł z nimi do Luwru i zdumiał się, że tak potężne wrażenie zrobiły na nim arcydzieła tam zebrane.

— Wiecie — tłomaczył obecnym. — Głodne zwierzę nie pozwala człowiekowi odczuwać należycie przyjemności estetycznych. Ongi, na głodno, poprostu nie mogłem znieść widoku tych zamalowanych ścierek, teraz przyznaję, bardzo mi to smakuje.

Tamci wzięli to za pozę. On sam stropił się nieco, gdyż czuł, iż jest może nieszczery, że więcej ma szacunku dla rzeczy, o których mówi, niż by to z jego odezwania się wnosić można było.

* *

Nie odrazu zdobywa się stanowisko dobrze płatnego robotnika. Nie mało było jeszcze dni chudych, zanim przyszły tłuste — owe *deux répas par jour*, wedle zwyczaju francuzkiego. Zresztą, nie z jednej próbował beczki, nie w jednym piecu chciał piec chleb powszedni, zanim trafił wreszcie na ludzi, którzy umieli zdolności jego najwłaściwiej wyzyskać. W ciągu

pierwszego roku zmieniał fachy, jak rękawiczki, nie cofał się przed żadną pracą, byle tylko odegnać blade widmo głodu, które stało się teraz nieznośną zmorą, płoszącą chwile spokoju. Długo jeszcze po owych pamiętnych doświadczeniach odporności organizmu własnego, w sprawie odżywiania się, nie mógł bez trwogi myśleć o podobnych przejściach.

Spożywając śniadanie, liczył niespokojnie godziny, dzielące go od obiadu, układał obfity jadłospis na przyszłość i delektował się w wyobraźni rozkoszą jedzenia. Na wypadek, gdyby przyszedł apetyt niespodziewanie, napychał kieszenie chlebem i owocami, ażeby mógł natychmiast usunąć rodzące się uczucie głodu. Panicznym strachem przejmowała go możliwość bodaj jednej chwili przymusowego postu. Dopiero należycie zaopatrzywszy kieszenie w wiwendę, stawał do pracy ze spokojem i odważnie.

A pracował ciężko i rozmaicie. Był u fotografa kopistą, przez kilka tygodni mięszał w kotle melasę, malował drzwi i okna w nowobudującym się domu, odbijał na ręcznej prasie arkusze korektowe w „Intrasigent“, ciągał do hal za jednym z restauratorów ręczny wózek, którym zwożono produkty spożywcze; przepisywał rękopisy; wreszcie stanął,

jako kamieniarz, do obrabiania wielkich bloków w chantier ojca Millot.

Nie miał tu jednak pola dla siebie, bo patron nie podejmował się robót wytworniejszych, a całym zatrudnieniem robotników było przepiłowywanie olbrzymich brył piaskowca, i odbijanie nierówności ciężkim, nasiekanym w zęby młotem. Ztąd dopiero koledzy po fachu wciągnęli go do wielkiej pracowni artystycznej, gdzie oceniono go jako zdolnego rzemieślnika-dekoratora i odpowiednio też wynagrodzono. Stopniowo doszedł do piętnastu franków dziennie, ma przed sobą widoki wyższych jeszcze zarobków, a jednak daremnie stara się przekonać siebie, że dotarł wreszcie do portu, że przecież zdobył stanowisko, którego zazdroszczą mu tysiące, że od biedy może założyć rodzinę i stać się poważnym obywatelem.

Co prawda, zarobki te nie wystarczają, długi rosną, ale dziś nie dba o to. Witold syt i dobrze odziany zatracił gdzieś dawne obawy, shardział, nabrał fantazyi i poprostu ciągnie go cygańskie życie z dnia na dzień.

Próbował składać pieniądze na powrót do kraju, i rzeczywiście odłożył nieco, ale kiedyś w niedzielę przy obiedzie, kiedy ktoś zdrowie prześlicznej pani Czik wzniósł winem czerwonem, Witold uczuł dziwne swędzenie w języku, wylał wino ze szklanki i kazał przynieść

dziesięć butelek szampana. Był to jakiś odruch bezwiedny, którego potem żałował, bo nie tylko pociągnął za sobą utratę drobnych oszczędności, ale jeszcze zmusił nieoględnego młodzieńca do życia na kredyt przez cały następny tydzień.

— Ale bo właściwie, czego sobie ma żałować. Jakiż jest inny cel życia?

— Najadłem się do syta nędzy w drodze do ideałów, sapristi!

Przychodziły mu wtedy na myśl czarne chwile, jakie przeżył: głód, upokorzenia i... paczka Plewińskiego.

Machnął ręką.

— Zerwałem z przeszłością. Może to było konieczne, ażeby przeciąć stanowczo tę jakąś fatalną nić, łączącą mnie z tamtym światem.

Rzeczywiście od tego dnia okropnego, kiedy oszalały rzucił się do rzeki, zaczął się dlań, całkiem nowy, odmienny okres życia.

* * *

Uderzywszy się potężnie o bok łódki, w której rybak spieszył mu na pomoc, stracił zupełnie przytomność, a kiedy się ocucił, leżał na tapczanie w ciasnej izbie, przesyconej zapachem mydlin i parą wodną. Było to mie-

szkanie dozorcy pralni, jednej z wielu, ustawionych na rzece do użytku publicznego.

Widział nad sobą kilka twarzy pochylonych. Gruba, tęga, z zawiniętemi za łokcie rękawami kobieta, nacierała mu skronie spirytusem.

— Omdlał — słyszysz — trzeba go odesłać do szpitala.

Witold uczuł radość...

— Niema potrzeby — zaoponował ktoś. — Dajcie mu kieliszek wina, to będzie zdrów.

Spojrzał w stronę mówiącego z niechęcią. Był to policyant.

Zrzucił z głowy kapiszon, w rękach trzymał notes i ołówek, a zauważywszy budzącą się przytomność, pytał twardo.

— Pańskie imię, nazwisko, adres?

Witold zamknął się w milczeniu.

Podano mu kieliszek wina, potem szklankę gorącego mleka. Otworzył oczy.

— Pański adres? — nalegał policyant.

Odezwała się duma. Za nic w świecie nie przyzna się teraz, że niema adresu, że jest nędznym włóczęgą.

— Pański adres?

— 20, rue de la Glassières.

— Nazwisko?

— Szarski.

Obecni, jak to zwykle francuzi, którzy ze

wszystkiego radzi zrobić farsę, zaczęli po trochu żartować... Posypały się drwiące pytania i uwagi.

— Coś pan, u dyabła robił w Sekwannie o tej porze?

— Amator zimnych kąpieli, brr!

— Zawody miłosne, he? Bracie, drwij z tego.

— Taka kąpiel dobrze zrobi — ostudzi w zapałach na długie czasy.

— Bo pewnie! Na samą myśl, dzwonię zębami jak w febrze.

Kobieta, która tak troskliwie zajmowała się cuceniem uratowanego, wzięła się pod boki i wystąpiła energicznie.

— Wynoście mi się ztąd, hołota! Widzicie ich — głupcy — kpić będą z ludzkiego nieszczęścia.

— Możesz pan posłać do siebie po świeże ubranie — pytał policyant.

Witold zawahał się...

— O, zbyteczne — wtrącił się dozorca pralni. — My mu tu coś przecie wynajdziemy.

Rzeczywiście przyniósł długą nocną koszulę i jakiś mocno zniszczony garnitur. Witold przebrany tedy w owe szaty, nawiasem mówiąc, nieco zaobszerne, odjechał dorożką na koszt policyi pod adres wskazany, nie wiedząc, co dalej ze sobą począć, jak się wywikłać z trudnego położenia.

Zrozpaczony powtarzał uparcie:

— Nawet do szpitala dostać się nie mogę, przecież to jest pech oczywisty!

* * *

Pamięta całą rozmowę ze studentem.

— Więc chcieliście się wyekspedyować do Nirwany via Sekwana?...

Szarski chodził po pokoju, szarpiąc niemiłosiernie swą czarną brodę i przygryzając ją nerwowo.

— Hm, skoro umiecie pływać, to wygląda na farsę, wiecie....

Witoldowi wstyd się zrobiło, iż posądzony jest o komedyę przez człowieka, dla którego powziął szczególniejszy szacunek, właśnie za jego szczerość i prostotę, otworzył mu się więc cały, jak najszczerzej, opowiedział całą swoją historyę, dał poznać wszystkie przejścia, zawody, cierpienia, zwierzył z dążeń, ambicyi, pragnień.

Student słuchał z uwagą, ale bez współczucia.

— To wszystko głupstwo jest, wiecie — egoizm! Świtają wam we łbie tradycye baronów średniowiecznych. W dzisiejszych społeczeństwach niema miejsca na nadludzi. Kto nie umie w szeregu, ramię przy ramieniu, stanąć do pracy zbiorowej, ten jest niepotrzebny

i basta. Niech się topi, ale już dokumentnie, żeby nie robić z siebie widowiska dla gawiedzi ulicznej, wiecie!

— Ależ ja się nie chciałem topić,—zaprotestował Witold i opowiedział, jak w przystępie gorączkowych halucynacyi, wrzucił do wody powierzone sobie przez umierającego Plewińskiego papiery i następnie starał się je ratować.

— Co było w tych papierach?

— Nie wiem.

Szarski zadumał się głęboko.

— Hm, taki półobłęd głodowy, jest rzeczą usprawiedliwioną fizyologicznie. Organizm źle odżywiany przestaje funkcyonować prawidłowo, odbija się to i na ośrodkach nerwowych... Ale papiery Plewińskiego mogły być bardzo ciekawe, — szkoda. Wiecie – to był tęgi facet... Kto jest ta pani Rigaud? — spytał nagle.

— Nie wiem — przypuszczam, że dawna miłość malarza...

— Ha, ha,—zaśmiał się student.—Furda!.. Jeżeli tak jest, to doskonale się stało, żeście spławili prawdopodobnie jakieś spóźnione zwierzenia. Po co się chłop ma jeszcze z za grobu kompromitować. Ja bym się takiej misyi zgoła nie podjął, wiecie.

Witold, który biedził się z sumieniem, z powodu niewypełnienia włożonego nań obo-

wiązku, przyjął chętnie argumenty Szarskiego i starał się uspokoić na tym punkcie. Wrodzona skłonność do mistycyzmu, podsunęła mu nadto przypuszczenie, iż było to jakieś zrządzenie sił wyższych, które rozrywało cały łańcuch złączonych ze sobą dramatycznych powikłań. Potrochu też, w odmiennych warunkach życia, zapominał o sprawie depozytu, aż znowu odżyć miała na nowo w okrutnej, niepokojącej tajemniczości.

Przyjechali do Paryża bracia Gumowicze, malarz i rzeźbiarz, dawni koledzy Witolda — wystawiają w tegorocznym sezonie.

Jacyż oni nieznośnie zarozumiali i bezwzględni. Obnoszą się ze swoją wielkością wśród otoczenia na podobieństwo władców wschodnich: niby pawie, roztaczają nad małemi głowami suty ogon z migotliwych piór sławy. A jacy przytem drażliwi na punkcie tej wielkości, jak śmiesznie chciwi na pochwały, jak łakomie dążą za najdrobniejszym przejawem uznania, a jakże nie znoszą ostrzejszego słowa krytyki?

Rzeczywiście, zdobyli już znakomity rozgłos i nazwiska ich należą do najbardziej popularnych w kraju. Po cóż jest tu nadczułość?

Powodzenie stanowczo psuje ludzi—paczy charakter, przewraca w głowie! Co się zrobiło z tych skromnych, poczciwych chłopaków?

Witoldowi, dla którego kiedyś, za czasów szkolnych, mieli coś w rodzaju szacunku, dziś okazują lekceważenie. Nie — raczej pogardę, jak zresztą tym wszystkim, którzy nie są artystami, którzy nie należą do rasy wybranej półbogów, którzy pracują dla jakichś ideałów społecznych, narodowych, nie dla sztuki czystej, bezinteresownej, dla tych wszystkich, co się wprzęgli w helocie jarzmo obowiązków, praw, a nie słuchają głosu wolnego natchnienia własnej pobudliwości. Oni tak dawniej ostrożni i powściągliwi w języku, sypią jak z rękawa, najśmielsze teorye, najmniej oczekiwane poglądy. Cały renesans to upadek sztuki—przewaga formy nad treścią, śmierć twórczości bezpośredniej. Rafael to zręczny rzemieślnik. Michał Anioł — zmanierowany komedyant, pokręcony do obrzydliwości w baroccznem rozwydrzeniu. Genialni naprawdę są tylko ich poprzednicy Giotto, Benozzo, Gozzoli a przedewszystkiem Botticelli.

Jedynie wielkie malarstwo jest dziś w Anglii: Burne-Jones, Rossetti, Millais, Leighton, Hunt.

Witold zna prerafaelizm angielski, nic nie ma przeciw znakomitym przedstawicielom tego kierunku, ale z drugiej strony...

— Żeby o tem sądzić — przerywają mu.— trzeba być artystą...

Przygryza wargi.

— Mój drogi — tłómaczą Gumowicze — czy to wszyscy, co wstępują do szkoły, mają wyjść na artystów, choćby tam nawet brali nagrody! Twórczość samodzielna, to zupełnie co innego. Przyjrzyj się karyerom naszych kolegów: Ten został fotografem, ów urzędnikiem na kolei, inny założył sklep galanteryjny, jeszcze inny znosi reporterskie wiadomości do kuryerów. Szkoła jest jak rzeszoto — przesypie się przez nią drobniejsze ziarno. Artyzm to daleka meta — stu odpadnie, jeden dobiegnie.

Zapewne i on odpadł wpół drogi!

Zastawia się wprawdzie, niby zasadniczo ugruntowanym nihilizmem estetycznym, występuje umyślnie kanciasto i jaskrawo przeciw sztuce w ogólności, nazywa ją jak Plato cieniem cienia, rzeczą niegodną uwagi myślącego człowieka.

Imponuje to trochę braciom Gumowiczom, ale ich zarazem drażni. Witold przesadza się w ironii nad ideałami tych niby kapłanów, drwi z ich świętości, a w duszy rodzi mu się ogromne, niepokonane pragnienie, spróbowania jeszcze sił swoich w wyścigu do owej dalekiej mety, przekonania pyszałków o swojej wartości.

— Ach wziąć się jeszcze do gliny!

Rozmowy takie, jakkolwiek prowadzone w tonie bezosobistym, wytwarzają między

dawnymi kolegami nastrój tajonego rozgoryczenia! Dyskusye zaostrzają się, przyprawa żółciowa staje się coraz bardziej wyczuwalną, rodzi się cicha niechęć, niemniej przecież ludzie ci szukają się wzajemnie.

Wybrali się razem do salonu obejrzeć „Bajkę“ malarza i „Topielicę“ rzeźbiarza, Gumowiczów.

Był to poranek niedzielny. Na dole w hali, przeznaczonej dla rzeźby, było już ludno. Przed wybitniejszemi dziełami tworzyły się liczniejsze grupy ciekawych. Należało przecisnąć się przez jedną z takich.

— Ach to Loreley Lefebre'a — zauważył Gumowicz, rzeźbiarz — warto zobaczyć.

Podeszli bliżej.

Witold poznał figurę, którą przed pięciu laty widział w pracowni artysty. Wykuta była z białego marmuru, zlekka polichromowana: ciało zabarwione tonem różowym, włosy miała żółte i niebieskie, jak niezapominajki oczy. U stóp postaci niewieściej leżała straszna głowa topielca, odlana z bronzu. Ta sama głowa, którą on kiedyś wymodelował podług Boneckiego, prawie niezmieniona, naszkicowana szeroko i ogólnie.

— Akt kobiecy poprawny — robią uwagę Gumowicze—ale tylko poprawny, za to głowa

faceta, niech go dunder świśnie — bajeczna, bo bierze!

— Przerażający wyraz! — słyszy w tłumie. — Co za oczy — *Epatant*!

Robi mu się ciepło, uczuwa skrzydła u ramion.

Czy ma się przyznać, że jest autorem tej głowy, że on ją ulepił w ciągu godziny, w chwili dobrego usposobienia?

— Nie, nie uwierzą. A choćby uwierzyli nie wypada!

Zrobiło mu się jednak lepiej na duszy i pogodniej.—Podobała się bardzo „Topielica", „Bajką" był zachwycony.

Wyszli z salonu w najlepszem usposobieniu, ale Witold czuł, że okoliczność ta rzuca go z powrotem na pastwę Chimery.

Model nagi stoi na podyum w pozie banalnej, podparty kijem. Mocny płomień gazowy z pod ogromnego reflektora oświetla go silnie, kontrastowo. Ciemne plamy cieniów rysują energicznie chude kształty pozującej dziewczyny; ostre połyski świecą na wypukłościach ciała. W sali pełno już. Siedzą za stalugami mężczyźni i kobiety — rysują.

Witold, skoro tu wszedł doznał dziwnego uczucia, odurzyła go poprostu atmosfera pracowni. Przypomniał sobie dawne czasy, kiedy chodził na wieczorne rysunki do „Zachęty". Jakie świetne wtedy roił plany, jakże mocno wtedy wierzył w świetlaną przyszłość swoją. Zrobiło mu się rzewnie.

— Nic to—mówi do siebie—spóźniłem się trochę, ale przecież ich dogonię, nie jestem jeszcze stary.

Od czasu bytności swej w Salonie z Gu-

mowiczami, od czasu, kiedy widział utwór swój wywołujący uznanie, uwierzył na nowo, iż posiada talent i może jeszcze próbować sił na drodze twórczości artystycznej.

Od czasu tego coraz ciężej mu było odsiadywać dziesięć godzin przy robocie kamieniarskiej, coraz potężniej szarpało pragnienie wyrwania się na wolność i czuł że lada dzień, ukłoni się grzecznie patronowi i zostanie szczęśliwym artystą... bez obiadu na jutro.

Wstrzymywał się jeszcze jednak pod pozorem najrozmaitszych okoliczności: A to dług niezapłacony u krawca, a to potrzeba zrobienia choćby najmniejszych zapasów... Tymczasem za radą Delahay'a zapisał się na wieczorne rysunki w szkole, którą municypalność utrzymuje w dzielnicy dla robotników. Po odpowiedniej próbie pozwolono mu rysować z natury.

Zaledwie ustawił stalugi, w jednym wolnym jeszcze kątku, rozpiął papier i zabierał się do rysowania, usłyszał obok siebie szelest jedwabnych spódnic i melodyjny, pieściwy głos kobiecy.

— Zająłeś mi pan moje miejsce.

Stała przed nim młoda, wysoka, smukła kobieta z włosami uczesanymi na uszy, jak święte dziewice w obrazach prerafaelitów.

Czarna obcisła suknia uwydatniała jej kształty smagłe, a przedziwnie harmonijne; długie obcisłe rękawiczki, rozszerzające się u dołu w kształt trąbek, obejmowały jej ręce, że zaledwie białe wypieszczone i nadzwyczaj cienkie palce były widoczne.

Spojrzał w oczy, duże, czarne, palące oczy i niewytłomaczony lęk ogarnął duszę. Poznał Julię Rigaud.

Przeprosiwszy ją w pomięszaniu, dość niezręcznie usunął się nieco w tył ze stalugami. Julia tymczasem siadła na wyplatanym słomą stołku i na kolanie w albumie kończyła zaczęty przedtem rysunek ołówkiem.

Witold zaś onieśmielony jej obecnością nie mógł zacząć swego modela. Narzucił węglem pierwsze rysy konturu i strzepał je natychmiast chustką. Zaczął powtórnie i powtórnie usunął wszelkie ślady pracy. Usiadł i wpatrzył się w postać kobiety, zgiętej nad rysunkiem.

Była drażniąco piękna w tym przegięciu.

— Więc to ta sama dziewczyna z Luwru— podlotek z cienkim warkoczykiem, w zadużych, grubych trzewikach.

Spojrzał na nogę małą, drobną nóżkę, ściśniętą w zgrabnym wytwornym pantofelku, nad którym widniało kawałek czarnej, jedwabnej pończochy. Prześliznął się wzrokiem po

całej postaci. Ubranie zdradzało zamożność, a zarazem smak najwykwintniejszy...

Prześliznął się wzrokiem po całej postaci i widział skończoną doskonałość proporcyi i niewypowiedziany wdzięk każdej linii.

Hypnotyzowało go.

Model odpoczywa. Na sali powstało zamięszanie, rysownicy wstali od robót swoich, zapalają fajki i przeciągają się po długiem siedzeniu.

Julia złożyła album na stołku i podeszła do stalug Witolda.

— Nie zaczął pan wcale? — zapytała swobodnie, tonem dobrego kolegi.

Witold, którego zapytanie to poraziło jak uderzenie piorunu, zawahał się z odpowiedzią. Wstyd mu było tej dziewczyny.

— To przez panią — rzekł wreszcie po polsku — czerwieniąc się cały.

— Ach, to pan mnie zna, pan wie, że ja polka...

I ją teraz z kolei oblał żar czerwieni i ona utraciła na chwilę swobodę i pewność siebie.

Co się z nimi dzieje? Stoją pomięszani oboje, nie wiedzą od czego zacząć.

Wreszcie Witold przemówił pierwszy.

— Widziałem panią na pogrzebie Plewińskiego i jeszcze przedtem w Luwrze.

— Ach *oui* je me rapelle, pamiętam pana —

pan mi powiedział... o pamiętam!... I nowa fala uderzyła jej do głowy. I znowu nastała ciężka chwila zażenowania.

— Co pan tu robi?

— Co pani tu robi?

— Ja, — zaczęła Julia, szukając z trudnością polskich słów—ja tu zabiegać... ja tu mam blizko atelier. Ciągle portrety, portrety, nudne... przychodzę rysować, pour ne pas perdre l'habitude... żeby nie tracić wprawę... Ach non, będę mówić po francuzku — i rzeczywiście po francuzku już tłomaczyła się, że od czasu śmierci wuja, nie ma z kim rozmawiać po polsku, że zupełnie zatraciła swobodę porozumiewania się w tym języku.

— Ja będę z panią mówił — dobrze?

— *Je veux bien* — odparła i podała mu przyjacielsko rękę — bardzo proszę.

Zaczęło się posiedzenie. Witold nie wiele narysował tego wieczora. Kiedy wychodzili, zbliżył się do niej.

— Od dzisiaj zaczniemy nasze lekcye — pozwoli się pani odprowadzić?

— O,—zaśmiała się — to takie zabawne... odprowadzić... Mieszkam niedaleko.

Wyszli razem.

— Widział pan moje obrazy w Salonie — spytała nagle.

— Pani już wystawia?

— Mam dwa portrety na Champs de Mars.

Uczuł się znowu onieśmielony, a jednak szedł za tą dziewczyną, ciągnięty jakąś przemożną siłą.

Stanęli przed bramą domu.

— Tu mieszkam z matką.

— Już?

Podała mu rękę, on ją dłużej zatrzymał.

— A demain.

— Do jutra!

Został sam na ulicy i już mierzył czas, jaki go dzieli od posiedzenia jutrzejszego wieczora i czas ten wydał mu się nieskończenie długi.

*

* *

Rzecz dziwna — nie powiedzieli sobie dotąd ani słowa, a czuli najmocniej, iż należą do siebie bezwzględnie, że nic już ich nie rozłączy. Przyjęli to oboje jako konieczność, narzuconą przez siły wyższe, zapisaną z góry, gdzieś w księgach przeznaczenia. Lecz przyjęli konieczność tę bez protestu i szemrania, owszem radośnie, niby objawienie czegoś oddawna tęsknie oczekiwanego. Przylgnęli do siebie, jakby dusze ich szukały się w przestworzach i nareszcie zbliżone, zlewają się w jedną nierozerwalną całość, siłą wzajemnego ciążenia.

Mistyczne ciążenie ku sobie mężczyzny i kobiety. Potężna, może straszna i tragiczna siła, może złośliwa i fatalna... Przemożna wola prabytu, bezwzględny nakaz istnienia!

Witold upatrywał tajemnych nici stosunku tego gdzieś okropnie głęboko i daleko. Widział niezawodne znaki przeznaczenia w tem ich spotkaniu się w Luwrze, kiedy oczy ich zestrzeliły się po raz pierwszy, kiedy uległ dziwnej fascynacyi pod wpływem ich blasku. A potem idzie omotany wraz z nią, niby przędzą pajęczą, tumanami smug deszczowych. Idzie za dziewczęciem nierozwiniętem — niezręcznem w tej swojej fazie poczwarczej, w przeczuciu przyszłych uroków. Prowadzi ich trumna Plewińskiego na cmentarz.

Wzdrygnął się.

Idzie za dziewicą w przepychu urody, co jak lilja smukła zakwitła nagle wdziękami i powabem. A ona rzuca mu na szyję niewidzialne sieci, owija się wraz z nim, otula niby płaszczem, mgławicą nienazwanych pragnień i ciągnie za sobą gdzieś w bezkresność. On idzie w poddaniu się, idzie szczęśliwy, bo mu dobrze za tą bezmateryalną oponą, co oddziela ich od reszty świata potężniej. niż warowne mury zamczyska... Są sami—płyną na obłoku.

Kochają się...

I niże na sznury wspomnień chwilę wspólnych rozmów, cichych westchnień i długie godziny tęsknoty. A jest w tem niby ton rzewnej przyjaźni, niby cieplej serdecznej życzliwości. Mówią swobodnie jak dobrzy przyjaciele i tylko czasem głos zadrga żywszem uczuciem, załamie się w namiętnem uniesieniu...

Płyną dni na tęsknem oczekiwaniu spotkania się, i na poufnych pogawędkach...

Ona pragnie wciągnąć przyjaciela na drogę pracy artystycznej.

Jakoż rzeczywiście pewnej soboty, Witold, zabrawszy swój tygodniowy zarobek, oświadczył, iż rzucił miejsce i poszukuje pracowni.

Julia klasnęła w ręce uradowana.

— Właśnie jest jedna wolna obok mojej. Weź ją pan.

Julia wprawdzie nie mieszkała ciągle z matką. w obec jednak licznych obstalunków na portrety, gdyż miała istotnie nadzwyczajny dar chwytania podobieństwa, wynajęła obszerną pracownię, jedną z wielu, ciągnących szeregiem wzdłuż bulwaru Arago. Sąsiednia była niezajęta, tam tedy zainstalował się Witold.

Odtąd widywali się ciągle; zabiegali do siebie pod najrozmaitszymi pozorami i zacieśnial się stosunek coraz bardziej.

Witold zrobił kilka szkiców pamięciowych, sprowadzil modela, ale robota nie szła.

Komponował z fantazyi idealną głowę mistycznej dziewicy z kwiatami lilii u skroni — myślał o Julii.

— Ja panu popozuję — zaproponowała.

Witold aż zachwiał się z radości. Przejęty wdzięcznością, rzucił się do całowania rąk.

— Jesteś moim dobrym geniuszem, mojem natchnieniem.

Było już dość późno, kiedy Julia skończyła ostatnie posiedzenie z jakąś lady angielską — za godzinę najdalej zacznie się zmierzchać... Wpadła do pracowni jego z głową ubraną kwiatami lilii — przecudna!

— No jestem, zaczynaj mistrzu — wołała wesoło, siadając na przygotowanem krześle. — Nie wiele mamy czasu.

On w długiej bluzie stał przy statywie, na którym modelował ową głowę idealną.

Stał nieruchomy, drżący, lęk dziwny obezwładnił go.

Model jest za piękny, za subtelny, zanadto kochany... Może palce jego zgrubiały w twardej pracy, odwykły od delikatnych dotknięć... Nie, on, nie będzie wstanie wyrazić tych nieskończenie wytwornych linii rysunku.

Ręce mu opadły — piękność jej onieśmiela artystę do utraty panowania nad sobą... On jej rzeźbić nie może — to byłaby profanacya.

Wahał się chwilę szarpany wewnętrzną

walką... Podbiegł nagle i wycisnął pocałunek na jej ustach.

Julia z kolei stanęła zalękniona. Zalały ją purpurowe ognie, spuściła powieki, długie jedwabiste rzęsy opadły na policzki, niby cień wstydliwości niewieściej. Nie broniła się jednak.

Chwycił ją mocno za ręce i głosem drżącym ze wzruszenia, pytał namiętnie.

— Moja, moja?

Podniosła wielkie czarne oczy, a paliła się w nich miłość, a lśniło łzawo bezwzględne poddanie się i zachwycenie.

— Kocham cię.

I śliczną ubraną w lilie głowę, oparła na jego piersi...

. . . .

Potem, o szarej godzinie, kiedy skończono robotę, siadywali głowa przy głowie, z rękami splecionemi uściskiem, marząc o wspólnej przyszłości.

Będą pracowali razem. Przez zimę przygotują dzieła do Salonu. Ona kompozycyę malarską, on wielką grupę, którą olśni świat cały.

Wtedy się pobiorą — sławny rzeźbiarz ze sławną malarką...

— O, poznają się przecież na jego talencie, ona w to nie wątpi... Ona wierzy w jego karyerę artystyczną...

. . . .

Deszcz padał na dworze, dudnił monotonnie w szyby okien na dachu, wiatr pogwizdywał melancholijnie, szeleściał nagiemi konarami kasztanów.

W olbrzymim żelaznym piecu, na środku pracowni palił się ogień, stale podsycany. Szara godzina przechodzi w wieczorne mroki, ciemności gęstnieją coraz bardziej, zapada noc ciemna i tylko świecą rozpalone do czerwoności boki pieca, niby brzuch fantastycznego smoka....

. . . .

Dnia tego Julia nie wróciła do domu matki...

Oświadczyny zastały panią Rigaud zupełnie nieprzygotowaną. Wysunęła głowę z pod czarnego sukna, okrywającego pulpit, na którym retuszowała klisze dla brata i mrugając, zmęczonemi oczami, jak człowiek z ciemnego lochu, nagle na jasność białego dnia wyprowadzony, mówiła wymijająco.

— Julia za mąż? Czy to możliwe?

Na postawione przez córkę, stanowcze żądanie oficyalnego pozwolenia, wymaganego przez merostwo, tudzież wydania papierów osobistych, biedna kobieta skrzywiła się boleśnie i trwożliwie wyjąkała:

— Muszę zapytać się ojca swego i brata— bez nich nic tu postanowić nie mogę.

Wtedy Julia z mocą przekonania, jako kobieta samodzielna, „une femme forte“, wystąpiła energicznie przeciw wszelkim radom familijnym, tam gdzie jedynie jej serce powinno

decydować. Ale matka z dziwną tkliwością całowała ją w czoło i ze łzami błagała.

— Pozwól, pozwól dziecko najdroższe, niech tu przyjdą... ja biedna, nieszczęśliwa, nic, nic ci powiedzieć nie mogę.

Nastąpiła scena przykra — płaczu, narzekań, tajemniczych półsłówek, których Witold nie rozumiał. Przygnębiał go płacz ten, ale i w duszy jego zagnieździły się niewytłomaczone niepokoje i wątpliwość.

Kochał miłością jakąś przekorną.

Zdawało się, że chwili jednej bez niej żyć nie byłby wstanie, że umarłby dnia tego, kiedyby ich rozłączono, a teraz kiedy ma związać swe losy z jej losami na zawsze, kiedy ma wobec świata nazwać ją swoją żoną, ogarniało go uczucie przykrego przymusu.

— Spełniam obowiązek honoru—wmawiał w siebie — spłacam dług zaciągnięty... Muszę...

To *muszę* sprawiało mu niewypowiedzianą przykrość.

Istotnie były przyczyny, które odpychały go instynktowo od tego kroku.

Julia stawała się malarką wziętą i przelicytowywano się o jej prace, a on tymczasem ciągle jeszcze żył nadziejami. Jakież będzie stanowisko jego, jako męża?

...Ha, ha, ha!—mąż primadonny, mąż praczki, mąż wielkiej artystki, brr!...

— Muszę — powtarzał i zmagał się z sobą — ażeby nie myśleć o przyszłości.

Tymczasem z rozpaczną jakąś rezygnacyą szedł do ostatecznych krańców przeznaczenia. Z apatyczną bezwładnością przyglądał się jak senny zajściom, jakie się rozgrywały dokoła najważniejszych spraw jego życia.

Zebrała się rada familijna.

Pawłowscy, ojciec i syn, przybyli do mieszkania matki Julii uroczyści, poważni, surowi.

Stary ślepiec stanął na środku pokoju, wyciągnął przed siebie ręce i sapał ciężko. Zwrócił się do córki z ostrą przemową.

— Pani Rigaud chce wydać dziecko za mąż—musi zasięgnąć rady męża swego, wyjednać pozwolenie... Ale pani Rigaud nie wie, gdzie się mąż jej podziewa.

Młody Pawłowski zamienił z siostrą porozumiewawcze spojrzenie i niechętnie wzruszył ramionami...

— Panie Ordon — mówił starzec do Witolda. — Pan się chce żenić z Julią — nie można. W danej chwili nie można... Szukamy jej ojca, od dwudziestu przeszło lat szukamy... Teraz się znajdzie z pewnością. Widzieli go tu w Paryżu... Jest... jeżeli pozwoli...

— Ojcu ciągle jeszcze dziwactwa po głowie chodzą — syknął młody — dosyć już tego...

Starzec zmarszczył groźnie brwi, krwawa

pręga wystąpiła na czoło, zaczerwieniła się blizna na głowie — był straszny. Stuknął potężnie laską o podłogę.

— Może powiesz, wyrodku jeden, że córka moja wcale męża nie miała — wołał w uniesieniu — może powiesz, że... że... że... No powiedz — ty jesteś cynik, ty jesteś człowiek wyzwolony...

Dało się słyszeć przytłumione, powstrzymywane siłą woli, łkanie kobiety.

— Płaczesz? — pytał twardo stary. — Ciągle płaczesz, przez dwadzieścia lat płaczesz. Ale ja przecież robię co mogę — szukam.

Tu zwracając się do Witolda, ciągnął tonem maniaka.

— Oni ci powiedzą, że Julia jest dzieckiem ojca niewiadomego, że nie ma nazwiska, że jest dziecięciem grzechu, ale ty im nie wierz, bo ja czuwałem nad honorem swojej córki... Plewiński patrzył na to... On wie... Nie wolno, słyszycie, nie wolno mówić, że Julia nie ma ojca!.. Ha, ha, ha! to by było okropne...

Młody, patrząc jak zawsze z podełba, wziął Witolda pod rękę i mruczał ponuro.

— Stary cierpi na obłęd — jakaś mania. Nie słuchaj pan jego bredni. W każdym razie trzeba żebyś poznał całą prawdę. Musimy pogadać obszerniej o pańskim małżeństwie. Julia rzeczywiście... rozumie pan... nie nazywa się Rigaud.

*
* *

W opowieści Pawłowskiego były jednak ciągłe luki i niedokładności—historya się rwała lub rozpływała w mętnych uogólnieniach.

Ojciec ich oślepły, zniedołężniały starzec, był niegdyś świetnym oficerem i zawołanym kawalerzystą, czego ślady pozostały do dzisiejszego dnia w marsowej postawie i całem zachowaniu się jego. Po kampanii czterdziestego ósmego roku osiadł na Węgrzech i tam ożenił się z córką pułkownika swego, jednego z przedstawicieli najstarszej arystokracyi węgierskiej.

Przybywszy w kilka lat potem do Paryża, z synem Władysławem i córką Maryą — dzieckiem prawie jeszcze w powijakach, żył już wyłącznie tylko z funduszów, jakie odziedziczył po kimś z rodziny w kraju.

Z magnatem węgierskim wszelkie stosunki były zerwane. Odtąd w opowieści niema już ani słówka o żonie oficera, to jest Matce Władysława i Maryi. Ojciec wychowuje oboje, jak najtroskliwsza piastunka otacza tkliwą opieką i pieczołowitością, ale zarazem tyranizuje, narzucając im arbitralnie we wszystkiem swoje zapatrywania i zasady, które z biegiem czasu i w odmiennych warunkach stawały się poprostu niemożliwe. Zwłaszcza kiedy podrośli, straszna duma ojca i nadczułość na punkcie

honoru, przy nieugiętej woli, stała się dla nich prawdziwą klęską i tamą do szczęścia.

— Wyobraź pan sobie — mówił z goryczą pan Władysław — żeśmy zeszli w końcu do stanowiska żebraków, a staremu ciągle tkwiły w mózgownicy ambicye szlachty polskiej i magnatów węgierskich, razem wziętych. Najboleśniej odczuła to Marya...

Pan Władysław Pawłowski był człowiekiem wyrobionym w twardej szkole życia, nie miał zda się sentymentalnych uprzedzeń i przesądów, ale tu widocznie szukał jakichś omówień, bo utknął w opowiadaniu, chrząknął, jakby dla odzyskania pewności siebie, wreszcie zmienił tok myśli.

— Kiedy się już fundusze miały ku końcowi, ojciec za ostatnie kilkanaście tysięcy kupił zakład fotograficzny i miał go sam niby prowadzić. Jakoż prowadził rzeczywiście, ale tak po pańsku, tak szeroko, że po kilku latach wyszliśmy literalnie z torbami. Marya wtedy dorastała... Et! — przerwał znowu. — Żeby zrozumieć położenie nasze, trzeba było patrzeć na te, jak Plewiński... Ojciec nagle oślepł... Ja z pogromu uratowałem jakiś kiepski aparat i trochę materyału i założyłem z tem nędzną budę fotograficzną. Byłem przecież jeszcze bardzo młody i nie mogłem podołać... Staremu się roiło wielkie państwo... Plewiński chciał

się żenić z Maryą — odmówił... Zjawił się potem aktor, komedyant, szubrawiec z pod ciemnej gwiazdy, rozkochał w sobie dziewczynę i... uciekli razem. Po dwóch latach wróciła z dzieckiem. Ojciec szalał z rozpaczy, ugodzony w najdrażliwszą strunę i zaprzysiągł, że nie spocznie, nie złoży kości do grobu, póki nie wynajdzie uwodziciela i nie zmusi do małżeństwa. To też zaczął się pościg po całej Europie. Ślepy starzec, prowadzony przez córkę, przebiegał z miasta do miasta, szukając tego nędznika Rigaud, po kawiarniach i budach jarmarcznych.

Dzieckiem zaopiekował się Plewiński: mnie wszystkie żyły wypruwano na koszta podróży. Nie było sposobu wytłomaczyć — stary się zawziął.

— Nie, moja córka nie zostawi dziecka bez nazwiska!—wołał. — Wiem, wiem kim jest ten człowiek... Od szubienicy bodaj odetnę...

Wyobrazić sobie życie tej kobiety!

Wreszcie złapał go gdzieś w Glasgowie i rewolwerem zmusił do zawarcia ślubu. Mieli wrócić potem razem i uregulować metrykę Julii, ale po drodze zdołał się nikczemnik ulotnić. Odtąd ojciec szuka daremnie, i szukanie to stało się jego manią, a nieszczęsny akt małżeństwa stanął na zawsze między Maryą i Plewińskim.

Och, to był niedołęga!

Witold słuchał historyi tej z wypiekami na policzkach, zdenerwowany, rozstrojony.

Po co oni mu to wszystko mówią, po co wywołują upiory przeszłości? Przecież się nie cofnie dla tego. Co ona temu winna? O ileż bardziej błogosławioną jest nieświadomość. On spotkał kiedyś tego Rigaud — ojca swej żony... Ale nie powie im tego, nie przyzna się... Niech wszystko co było pokryją raz na zawsze nieprzeniknione mroki, niech się zapadnie w otchłań niepamięci.

— Teraz, kiedy pan już wie wszystko, co się tyczy Julii — kończy zimnym urzędowym tonem Pawłowski — chcę się pana zapytać czy trwa w zamiarze...

— Tak — przerywa Witold z mocą.

— W takim razie mogę panu wręczyć metrykę urodzenia Julii Pawłowskiej i piśmienne pozwolenie matki na małżeństwo.

Podal papiery

Pójdziesz za mężem swoim...

Nie, pójdziemy razem — razem do sławy, uznania wielkości, hen, wysoko, wysoko...

Razem, ręka w rękę, obok siebie?..

Niepodobna. Jedno ustąpić musi. Dwie indywidualności, dwie dusze ambitne, żądne chwały, samoistności, żądne życia własnego, dwie dusze twórcze nie płyną swobodnie obok siebie. Uderzą się strasznie, jak dwie chmury gromowe, ujmą za bary niby dwaj groźni zapaśnicy i będą się zmagać okropnie...

Jednakie zamiary, dążenia, cele, jednakie drogi, środki, zasady, siły!.. Nie, ona idzie do sławy krokiem pewnym — wierzy w gwiazdę swoją. Nie, jej sprzyja szczęście, ślepe, głupie szczęście dzieci nieprawych...

Nienawidzę jej.

Kocham ją, stokroć, milion razy kocham, kocham bez liczby, miary, bez upamiętania.

Kocham białe słodkie ciało kobiety, krwi gorącej tętnienie, miękką falistość jej bioder, okrągłość piersi toczonej, przeczystość rysów jej twarzy, czarnych oczu aksamity, drobnych rąk, drobnych nóg, dziwną, niewypowiedzianą harmonię. Szaleję od woni jej włosów hebanowych, upaja mię oddech jej ciepły, wilgotny, pachnący. Pożądam, pragnę...

Pragnę pocałunków bez końca, uścisku ramion miłosnych, dotknięcia jedwabistej skóry. Pragnę patrzeć w jej oczy, kiedy je mgły rozkoszy zasnuwają.

Chcę wołać: moja, moja, moja! Chcę ją mieć w sobie, ze sobą do śmierci, do grobu. Nie, za śmierć, za mogilne mroki, dalej, dalej — w nieskończoność...

Gdyby ją po mnie miał wziąć kto w objęcia — z grobu wyjdzie upiór straszny z krwawą gębą, ze szklanemi oczyma i odepchnie obcą dłoń od jej łona.

Stanie między nimi przerażające widmo i zmrozi krew w żyłach tchnieniem trupiego chłodu. Ha, gdyby ją kto inny miał wziąć w swe objęcia!..

Ona idzie do sławy krokiem pewnym, pogodna, jaśniejąca w promienistej światłości szczęśliwej gwiazdy swojej, a jego spycha w mroczną otchłań wewnętrznej rozterki.

Ukuła w żarach bezbrzeżnego umiłowania, którem on dla niej płonie, straszliwe więzy z czarów kobiecości swojej i niby pierścieniem żelaznych ogniw obejmuje go coraz ciaśniej, coraz mocniej; krępuje, miażdży...

Przybywaj dumo męzka. O potężna pani, szlachetna wybawicielko z oków gnuśnej rozkoszy!

. . . .

Potworny szkielet z drzewa i żelaza stanął na środku pracowni. Witold w białej bluzie, z zawiniętemi za łokcie rękawami, z szaloną furyą, w gorączce niemal, obrzucał gliną nagie piszczele rusztowania, przygotowanego podług szkicu do olbrzymiej grupy. Miała ona być urzeczywistnieniem tyloletnich marzeń, ziszczeniem najśmielszych rojeń artysty.

Może nareszcie przystąpić do tej pracy ze swobodą, może rozwinąć skrzydła fantazyi w całej pełni, szybować, niczem nie krępowany, po niebie natchnienia. Ma glinę, dach nad głową, nie potrzebuje na razie myśleć o drobnych zarobkach, o życiu codziennem — wyręcza go w tem Julia. Ona ma taką masę doskonałych obstalunków. A przecież, kiedy skończy doskonałą kompozycyę, kiedy wystawi ją w salonie, zwróci na siebie uwagę całego

świata, wtedy i żona będzie dumna ze swego męża, ona, ta sławna malarka.

W głowie mu się paliło, paliła się też robotą pod palcami rzeźbiarza. Bryła rosła, kościec nabierał ciała, wylaniały się kształty postaci.

Chimera!..

Fabryka a potem małżeństwo wytrąciły zupełnie Witodla ze stosunków polskich. Weszli po trochu w środowisko międzynarodowe artystów i amatorów.

Tęsknił do swoich i kiedyś, w niedzielę po południu wstąpił na obiad do polskiej restauracyi, w nadziei, iż znajdzie kogoś z dawnych znajomych, z czasów, jak je nazywał, głodowych.

Zakład zmienił właściciela, zmieniła się też ogólna fizyognomia gości. Rozglądał się po sali, czy nie ujrzy Szarskiego, lub którego ze studentów, spotykanych u niego. Wszyscy oni już pokończyli studya, wrócili do kraju, lub też osiedli gdzieś jako praktycy w zapadłych kątach Francyi.

— Nowi ludzie, — uśmiechnął się do siebie smętnie.

Wtem z sąsiedniego zamkniętego pokoju,

doleciał gwar hucznego wiwatu, śpiewanego chórem, przy akompaniamencie brzęczenia trącanych o siebie szklanek. A nad wszystkiem królował niby ryk lwa, nad nikłemi głosami gawiedzi zwierzęcej, potężny bas Mirona.

— Niech żyje nam, niech żyje nam!

Niechaj żyje, niechaj żyje!..

Ciągnął przez wszystkich i po nad wszystkiemi aż dudniało w powietrzu jak echo oddalonego gromu.

— Kto jest w tym pokoju? — spytał przebiegającej właśnie służącej.

— Adyć malarze. Cięgiem jeno taki alas i armider bez nich w etablismencie — odparła tonem niezadowolonym — oni się nazywają: zatraceńcy.

Witold uśmiechnął się, bo po odpowiedzi tej zdało mu się, że jest w jakiejś trzeciorzędnej knajpce warszawskiej, a nie na bruku paryzkim.

— Niech pan nie idzie, tamuj są sami swoi i zamykają się, — tłómaczyła.

Ale w tem drzwi się otworzyły i przez kłęby dymu tytuniowego ujrzał rozbawioną, roześmianą twarz Mirona, obok za stołem siedział jeden z Gumowiczów.

Wsunął głowę i zawołał:

— Miron!

Ten porwał się od szklanki i biegł z wyciągniętemi rękami.

— Jak się masz, chłopie?

Podbiegli Gumowicze, przywlókł się, utykając i zataczając, bardzo pijany Bonecki. Wysunęła się z za stołu Klara.

Zbrzydła, zestarzała się, na górnej wardze wysypał się wcale pokaźny wąsik, figura cała przybrała formy mało eleganckiej, przysadkowatej gosposi.

— Aha, wrócił wreszcie kochany Tony? — spytał Witold. — Cieszy się pani?

— O, wszystko mi jedno — teraz jestem z Boneckim.

— Obskurne pijaczysko — ktoś zauważył.

— Trudno, żeby się Klara mogła dziś podobać trzeźwemu — śmiał się Miron. — Jak się to prędko psuje uroda u tych dziewczyn.

Witoldowi zrobiło się przykro. Pamiętał smutną scenę, kiedy ledwo powstrzymał dziewczynę tę od samobójstwa. Potem przyszła do niego schorowana, blada, wynędzniała, z dzieckiem na ręku, prosząc o adres człowieka, który stał się przyczyną jej nieszczęścia. Witold adresu wskazać nie umiał, wreszcie wiedział, iż na nic by się to z pewnością nie przydało, wygrzebał tylko kilkanaście franków na razie, potem posypał drobne sumki na opła-

cenie komornego, na umieszczenie dziecka, aż stracił ją z oczu...

A teraz?!

— At, co mnie to może obchodzić. — Machnął ręką.

Czas to nieubłagany wandal, ale też pocieszyciel nieoceniony.

— No, jesteś z nami, czy przeciwko nam,— pytają Gumowicze — artysta czy filister?

— Hygienista, czy zatraceniec — wtrąca się młody, bardzo jeszcze młody, sympatyczny chłopiec, wysmukły blondyn z binoklem na dużym nosie.

— Żonaty — odpowiada Miron. — Widzisz, ja o tobie miewałem wieści...

— Żonaty! — podrywa drugi młodzieniec, szatyn, straszliwie mizerny, straszliwie wychudzony, mały, drobny, pogięty cały i połamany, okazały okaz fizycznego dekadenta, z nadzwyczaj przyjemnym, niezależnie od tego wyrazem twarzy, — żonaty, więc rzeczywiście hygienista!

— Przepraszam, nie mam przyjemności znać tych panów.

— Ha, ha, — wybuchnęło ogólnie — ha, ha, ha! Niema przyjemności... Zróbcie mu do licha tę przyjemność.

— Marciniewski, — przedstawia się długi blondyn.

— Kozienicki, — mówi dekadent.

Tego Kozienickiego Witold znał kiedyś przed wyjazdem z Warszawy, jako małego chłopca, w mundurku szkolnym. Obecnie kolega, artysta, wyciąga poufale rękę i tonem zabawnie napuszonym, niby cynicznym mówi:

— No, nie masz się pan czego tak bardzo wstydzić, to się najuczciwszym waryatom zdarza. Miron wisiał też na fartuszku, ale się kanalia urwał z dobrym ochłapem w garści. Taki jak już co trzyma, to nie puści. Beatus qui tenet... Jak trzymam La môme fromage i nie puszczę.

Były w towarzystwie tem jeszcze dwie kobiety, prawdopodobnie modelki, niełądne, niemłode, o wyglądzie gminnym i manierach rubasznych dziewczyn z piwiarni. Kozienicki wziął jedną z nich za szyję i powtarzał.

— Trzymam i nie puszczę.

— Głupiś — mruknął Marciniewski — siedząc zgięty w kabłąk z nogami wyciągniętemi przed siebie. W zębach trzymał białą glinianą fajkę i pykał z niej apatycznie. — Głupiś — mówił—nie utrzymasz. Pij koniak! to jedynie ma sens przedni. Trzy są stopnie szczęśliwości prawdziwe: pijaństwo, obłąkanie i najwyższy — Nirwana; reszta wszystko to gipsatura. Miłość, pomidory faszerowane, symbolizm, maszyny do szycia Singera, pan poseł Dorabialski,

wykopaliska pompejańskie, Kant, woda Franciszka Józefa i wszystko, czego dostaniesz w aptece, uważasz, gipsatura.

— Młody człowiek popisuje się—pomyślał Witold. — W gruncie rzeczy musi to być i serdeczny chłopak.

Miron chwycił go za rękę.

— Zostajesz z nami. Panowie, przyjmijmy nowego zatraceńca.

Wzniósł kieliszek do góry. Powstali z miejsc, podano Witoldowi szklankę koniaku i huknęło, aż szyby się zatrzęsły.

— Niech żyje nam, niech żyje nam.

— Nie mówcie po polsku do licha — protestowały ciągle francuzki.

Miron pociągnął Witolda do siebie, gdyż jako przyjaciele, którzy się dawno nie widzieli, mieli sobie wiele do powiedzenia.

— Toś się doskonale ożenił — zaczął malarz — słyszę, ogromnie zarabia. Anglicy łokciami się rozpychają...

Poklepał go po ramieniu znacząco.

— Zkąd wiesz o tem wszystkiem?

— A to cała historya... Ja tu ciągle miałem czucie z Paryżem przez Sieradzkiego.

— Taka przyjaźń?!

— Ależ mój drogi, on mnie ożenił... miałem z nim rachunki. Jechałem ztąd wtedy, pamiętasz, jak w dym... Ci złodzieje mają

sieci rozstawione we wszystkich stronach świata...

— No?

— A no—zaśmiał się—odżeniłem się teraz i dostałem pięć tysięcy odczepnego. Jadę do Monaco.

Witold skrzywił się niechętnie, pytał jednak w dalszym ciągu.

— Od niego zatem wiesz?...

— Ach nic. Widziałem się z tym aktorem—Rigaud. Mówił mi... to jego córka.

— Rigaud? Znasz?.. — I nagle zbladł, stracił ochotę do dalszych pytań, wstał i zaczął się żegnać.

— Stanowczo hygienista! — zauważył Marciniewski.

Ten Miron ma nieznośny sposób obejścia się z kobietami. Oczywiście niepodobna posądzać Julii o jakikolwiek z jej strony nietakt, jakie słowo nieostrożne, ruch, giest, spojrzenie, któreby mogło ośmielić mężczyznę do swobodniejszego wobec niej zachowania się. U tego chłopca jest to poprostu wynikiem specyalnego wychowania, tej knajpowo-pracownianej kultury, ciągłego obcowania z modelkami i pannami od piwa, tej nonszalanckiej atmosfery cygaństwa, do której nawykł, którą przesiąkł do rdzenia... No, literalnie niepodobna wpuszczać go do towarzystwa, tak zwanych ludzi przyzwoitych.

Ma on zresztą swoje teorye, zasady.—Wierzy mocno, iż tylko pewność siebie, śmiałość, posunięta do bezczelności, lekceważenie i natarczywość może zaimponować kobietom: że są to środki strategiczne, które nigdy nie zawodzą zdobywców. Ha, ha, może?

W każdym razie jest to obrzydliwe, zwłaszcza w zastosowaniu do kogoś, co nas bliżej obchodzi.

A może... a może to tylko względem Julii?... Wszakże on zna jej przeszłość, urodzenie, zna tego przeklętego Rigaud... Czy on mu mówił o niej, co mówił?..

A może on ją ma za kobietę z tej sfery, w której pewne względy nie obowiązują, ze sfery gdzie... wszystko można...

Zmarszczył brwi, zacisnął zęby, aż po bokach twarzy, na szczękach, wyskoczyły dwa silne guzy i drgać nerwowo poczęły. Chodzi po pokoju, kurcząc gwałtownie pięści. Krew coraz silniej uderza do głowy, łupie w skroniach. Przyśpiesza kroku w swej okólnej wędrówce, wśród czterech ścian pracowni...

— Nie, psiakrew, ja tego nie zniosę; nie zniosę tych słów dwuznacznych, cynicznych konceptów, tego chwytania za ręce, za suknię, tej całej obrzydliwości... Nie zniosę — trzasnę w gębę durnia przy pierwszej zdarzonej sposobności, niech się to przecież skończy!..

. . . .

Stało się.

Całą winą Julii jest tylko to, że jest za piękna i ściąga na siebie pożądliwe spojrzenie takich bezwzględnych zmysłowców, jak Miron.

Zresztą odtrąciła przecież z oburzeniem ramię, którem ją chciał objąć...

Witold, zajęty pracą, dostrzegł jednakże ten ruch jego bezczelny; przypadł nagły jak piorun i wymierzył potężny policzek...

. . . .

Bili się na pistolety i Miron leży z przestrzelonem udem. Ot, drobnostka, — za jakie dni dziesiątek wstanie i będzie zdrów jak ryba.

Ależ to bajecznie głupia rzecz stać na warcie jak żóraw, koło pięknej żony—pistoletem odpędzać wielbicieli...

— Przecież to jest strasznie niemądre i upokarzające; poprostu wstyd mu przed tym dawnym kolegą i przyjacielem, na którego życie godził przed chwilą... Za co? Dla czego?

— Przecież to jest niewypowiedzianie nizkie — mówił do siebie, wracając powozem z lasku Vincennes, w którym odbył się pojedynek.—Przecież to jest policzek wymierzony godności kobiecej i Julia najzupełniejszą ma słuszność, okazując mi niechęć po owym wstrętnie brutalnym wybryku zazdrości. Fatalne rozdrażnienie!..

A może... I znowu zdało mu się, że żałuje, iż nie zabił Mirona na miejscu.

Czuć i myśleć to znaczy rzucić pęta na mowę i czyny?

„Natężenie stanów świadomości jest zawsze w stosunku odwrotnym do szybkości zamiany stanów tych w czyny“. Tak mówi Ribot.

Przeklęta świadomość!

Ach, zdobyć bezpośredniość odruchów człowieka pierwotnego, uparty obłęd halucynantów, zapaść w niezdrową psychozę, oszaleć. Tworzyć z podniet samorzutnych, najsilniejszych, bezwzględnych, począć we śnie jak Tartini swoją sonatę dyabelską.

Natchnienie, które ogarnia ducha i materyę, duszę i ciało, rozum i zmysły, która zawłada istotą twórcy absolutnie, z siłą przepotężną pcha go do poczęcia, trwa chwilę tylko, a potem zjawia się nudny pedant — zdrowy rozsądek i szydzi. Zaledwie zrodzi szkic — gorące słowo wieszcza, już zimna rozwaga

narzuca wymaganie formy, rozlewa chłód poprawności.

Wielki jest Rodin—Rodin, który każe marmurom dyszeć namiętnością ciał żywych, który każe krwi czerwonej w zmysłowem podnieceniu burzyć się pod powłoką zimnego kamienia—tytan, który olbrzymie twarde głazy jak wątłą tkaninę, skręca w gwałtowne kontorsye szalonych „pocałunków“.

Kamienni ludzie piją czar rozkoszy, jak gdyby wulkany w piersiach im gorzały, kamiennemi usty wsączają w siebie słodycz gorących tchnień swoich, żar bije i promienieje zachwyt od tych głazów rozpalonych żywiołową miłością, od tych rozkochanych marmurów.

Rodin jest wielki, bo się nie dał wciągnąć w sztywność poprawnej formy, ale z chaosu wyrwał w całej pełni wyrazistość wizyi swojej w najbardziej znamiennych jej rysach, w tych jedynych, koniecznych rysach i dlatego tak potężnie działa na wyobraźnię—suggestyonuje.

Witold przygląda się swojej kompozycyi niezadowolony, rozdrażniony, przybity.

Gdzie się podziała pierwotna jego koncepcya?

Julia z zachwytem i czcią niepojętą przyglądała się szkicowi. Imponował jej siłą wyrazu i śmiałością układu. Ona malowała przepyszne, doskonałe, nadzwyczaj podobne portrety,

zarabiała kolosalne sumy, skomponować jednak nic nie mogła, co niezmiernie drażniło jej ambicyę artystyczną. Na męża więc patrzyła z szacunkiem, jaki mają słabi dla silniejszych. Za to od czasu, kiedy rzeźbiarz przystąpił do wykonania dzieła i straszliwie biedził się z formą, zmieniał, przerabiał — szacunek ten przechodził potrochu w pewne niedowierzanie. Nie przypuszczając prawdopodobnie jak boleśnie rani artystę, udzielała mu rad tonem nieco żartobliwym:

— Widzisz, mistrzyku mój, znowu przebrałeś miarę w doskonaleniu. Widzisz — zawsze chcesz zrobić lepiej. Oto i teraz wystrugałeś „sztukę“ swoją jak z drzewa, a przedtem była żywa, chociaż, nieco brzydka, straciła zupełnie tę panterzą czy wężową elastyczność ruchu— zesztywniałe biedactwo.

Witold widział, iż ma racyę, i wściekał się. Ona starała się pomagać mu wszelkiemi siłami. Stanęła na podium naga. Wygięła się ruchem miękkim, falistym, piękniej stokroć niż ta wyśniona wizya jego, oddaje mu cały przepych, bogactwo całe, cały blask przedziwnej swej urody, wszystką harmonię kształtów, niewypowiedziany wdzięk wytwornej swej postaci. Ale on się uląkł, olśniony doskonałością, porażony promiennem jej pięknem.

— Kocham cię — wołał — zanadto kocham!

Jakże odmienne obrazy malowało mi marzenie... Zdawało mi się, że gdybym posiadł kobietę piękną, jak ty jesteś, gdybym ją ukochał jak ciebie kocham, zakląłbym ją w dzieło sztuki nieśmiertelne. Ale ja nie mógłbym, nie śmiałbym widzieć ciebie w nędznej lepionce z gliny, z zimnej gliny, ciebie, którą kocham żywą, bo wtedy znowu musiałbym cię ożywić jak Pigmalion i byłabyś znowu moją, moją, moją!..

I brał ją w objęcia...

Lekka zima paryzka miała się ku końcowi. Natura przecierała oczy po krótkiej drzemce— po efemerycznych śniegach i nieznośnych trwałych slotach zaświeciło jasne słonko.

Roześmiała się ziemia zieloną murawą, strzeliły z drzew pierwsze pęki, wionął wiatr ciepły od morza i przyniósł wieści o wiośnie. A kiedy pod wieczór miedziana tarcza Foeba zasuwała się na szczerbate mury miasta, wypływał blady księżyc i szedł sen nie przez pogodne niebo, niby romantyk, błądzący po bezdrożach i stawała się noc cicha, ciepła, pachnąca!..

W noc taką Witold siedział na schodach przed pracownią, zapatrzony w przeszłość. Widział tam mary swoje w przedziwnej potędze:

Jakieś ciała ludzkie skłębiły się w gwałtownych wygięciach, skrętach, zawrotach. Wydzierają się ręce, podnoszą głowy.

Do wyżyn, do wyżyn! Do tej pięknej, co stanęła wysoko — skrzydlata, ze słodkim obliczem, z powabnem łonem syreny... Do tej, o której śnił w młodzieńczych dumach swoich. Do tej okrutnej, nieubłaganej, krwawej zwodnicy...

Ale to wszystko pędzi, wiruje, kręci się, jakby siłą huraganu niesione; tańczy przed oczami nieuchwytne, szaleje w piekielnym, frenetycznym ruchu. Porywa ze sobą tumany kurzu, zabiera lotne puchy obłoków, owija się w ich strzępy i znowu pędzi, pędzi, pędzi!...

I patrzył na ten taniec szalony noc całą, a kiedy świtać miało, przymknął oczy, wszystko stanęło, zastygło nagle jak zaklęte. Widzi, czuje, dotyka...

Wpadł do pracowni. Dotychczasowa robota wydała mu się niedołężną.

Silnemi uderzeniami rąk zmieniał odrazu ruch i wyraz. Obrzucał świeżą gliną skończone już figury, subtelną modelacyę członków przykrywał grubymi warstwami innych szerokich płaszczyzn. Podniecenie dodawało mu sił — pracował z nadludzką niemal energią. Zrzucił surdut, rozerwał koszulę pod szyją, a pot zlewał czoło...

Zanim Julia wstała, grupa zmieniła się całkowicie...

Weszła do pracowni i przyglądała się zdumiona.

— Znakomicie — mówiła — co za siła, co za wyraz! Ale, ale, czy tylko zdążysz skończyć? To prawie wszystko na nowo...

Witold odwrócił się. Oparł się ramieniem o glinę i rozradowany, promieniejący — wołał tryumfalnie:

— Wszak widzisz — pali mi się pod ręką!

Był wtedy wspaniały. Oczy świeciły żywym blaskiem, policzki pałały, naga pierś silnie dyszała, na rękach nabrzmiały żyły od wysiłku. Julia wpatrywała się weń z zachwytem malarki.

— Jesteś doskonały w tej pozie. Nie ruszaj się chwilę—prosiła—sprobuję naszkicować.

Jakoż wzięła album i narzuciła kilku rysami bardzo trafną podobiznę rzeźbiarza.

A potem długo, długo przyglądała się rysunkowi, wreszcie udała się do swojej pracowni, gdzie wykończała do portretu, rozwieszone na manekinie koronki.

Po chwili wróciła z błagalnem wejrzeniem oczu.

— Mój drogi, złoty, kochany, mój cudowny mistrzyku — pozuj mi do portretu. Patrz, jak się to nadzwyczajnie komponuje na tle twojej grupy.

Pokazała mu rysunek.

Witold, który po kilkogodzinnej zbyt natężonej pracy, był nieco wyczerpany i odpoczywał właśnie, uśmiechnął się na tę propozycyę pobłażliwie, jak gdyby się jej gwiazdki z nieba zachciało.

— Dziecino kochana — jakże możesz wymagać tego odemnie, za miesiąc najdalej przypada ostateczny termin odsyłania prac do Salonu.

Ale ona rzuciła mu się na szyję i pocałunkiem zamknęła usta.

— Nie odmawiaj, nie odmawiaj! Rzucę do licha babskie fioki, loki, koronki, hafty, tiule, fałdy, tę całą dłubaninę godną modniarki, nie artysty i pokażę światu, jak wygląda mój mistrz natchniony. Krótko, króciutko — nalegała — dwa, trzy posiedzenia i będzie arcydzieło — zobaczysz.

Z wielkim impetem spadł ze stalug zaczęty portret damy, a jego miejsce zajęło czyste płótno. Witold stanął w pozie, ale już nie miał tej miny bohaterskiej, którą tak zachwycił malarkę.

— To nic — mówiła — ja cię pamiętam: Byłeś tak szatańsko piękny, tak ciekawy, taki artystyczny od stóp do głowy.

I zaczęło się malowanie...

. . . .

— Kończ, — wołał w pasyi — kończ, bo nie wytrzymam!

— Jeszcze, jeszcze chwilę, moje złotko!

Całowała go w usta, więc ulegał rozbrojony. Niecierpliwił się jednak do najwyższego stopnia. Pilno mu było do swego dzieła,

Natchnienie, które przejawiło się w tak potężnej sile narazie, teraz zda się opuszczało artystę—pracował z trudnością. Chwilami doznawał jakoby uczucia zazdrości, kiedy widział, jak pod energicznymi rzutami tej kobiety, żony jego, obraz nabiera życia, staje się prawdziwem dziełem sztuki. Dławilo go coś w gardle, przeżuwał przekleństwa, wściekał się.

Miał ochotę tłuc wszystko dokoła, rozbijać, niszczyć, albo porwać nóż, przebić obraz, ją, a potem siebie. Wołał wtedy przez zaciśnięte zęby:

— Kończ, kończ—i uciekał z pracowni.

Chodził podrażniony, zły, niezdolny do pracy. Przy grupie swojej prawie już nic nie robil. Kiedy zbliżala się godzina pozowania wpadał w rozpacz ostateczną. Zdawało mu się, iż Julia traktuje go jak zwykłego modela, bo w gruncie rzeczy przecież on żyje z jej zarobków. Nie mógł już dłużej wytrzymać i wybuchnął z całą gwałtownością.

— Nie chcę, psiakrew, nie chcę. Nie będę

twoim modelem — słyszysz. Dosyć mam tego, dosyć tej łaski. Stanę do roboty w fabryce.

Julia się nie obrażała, owszem, uspakajała najczulej, całując po rękach.

— Niedobry, niedobry.

Portret, nie, obraz przedstawiający natchnionego rzeźbiarza przy pracy — był gotów nareszcie i powędrował w bogatych ramach do pałacu sztuki.

* * *

Świat z wiosną czynił się coraz piękniejszy.

Witold borykał się z trudnościami, które sam sobie stwarzał. Trawił się wymaganiami jakiejś nadzwyczajnej doskonałości. Zbliżała się chwila ostateczna. Opuścił ręce. Niby gnany tęsknotą do natury, do zieloności, wychodził z domu na dni parę, błąkał się po okolicach Paryża, po lasach, polach. Chciał, ażeby przypadek zniszczył dzieło jego. Ale Julia troskliwie zlewała grupę wodą.

. . . .

Jutro dzień otwarcia Salonu...

. . . .

Po kilkogodzinnej włóczędze wpadł do pracowni, odsłonił mokre płachty, przyglądał się jakiś czas kompozycyi swej, swej Chimerze.

— Zgnębiła mnie, ha, ha, ha, zgnębiła!

I rzucił się z furyą na glinę, kopał nogami,

tarzał się. Rusztowanie wewnątrz pękło pod naciskiem jego ciała i cała ta masa runęła na ziemię, przygniatając go sobą.

Julia wybiegła z łóżka w koszuli, pomogła mu się wydostać z pod stosu mokrej ziemi i starała się uspokoić czułością, ale on odepchnął ją brutalnie.

— Czego chcesz odemnie—nienawidzę cię!

— Witold, Witold! — błagała.

— Niech się to skończy — to nikczemne, upokarzające położenie. Nie chcę twojej pomocy, twoich rad, twoich pieniędzy. Brzydzę się, pogardzam sobą! Wciągnęłaś mnie w to przeklęte koło mąk piekielnych; ambicyi zdeptanej nogami, trawiących pragnień, niszczonych nadziei... A tak mnie już dobrze było w błogiem uśpieniu szatańskiej dumy, kiedy zamilkła żądza wielkości, kiedy rozwiały się w nicość niepokojące widziadła, kiedy ustała straszna, wysuszająca mózg pogoń za omamieniem. Nienawidzę cię z całej duszy, słyszysz, nienawidzę!

Zakryła twarz rękami i płakała. A jego cieszyła ta słabość i łzy uznanej artystki.

— O, już się nie łudzę... Już się nie dam uwieść... Jutro staję do roboty u kamieniarza. Takie jest moje przeznaczenie... Znowu odzyskam siebie, znowu odzyskam godność ludzką...

. . . .

Nie poszedł jednak do kamieniarza.

Podrażniona miłość własna nadmierne sprawiała cierpienia. Nie spał. Nad ranem skoro świt, ubrał się, wziął rewolwer do kieszeni i wyszedł na miasto. Ciągnął przed siebie bez myśli, bez celu, bez czucia... Nastał wieczór. Znalazł się za rogatkami w lasku Vincennes. Maj rozkwitał w całej krasie, bił wonią i świeżością. I nagle przyszła okrutna niepokonana tęsknota do swoich...

— O ileż piękniejszy jest ten maj tam u nas, nad Wisłą. Bzy kwitną, czeremcha pachnie... Tyle lat... Tyle lat!.. Ach wracać zaraz, w tej chwili... Znaleść się tam natychmiast! Dwie doby, dwie długie doby... okropnie długa podróż... każda godzina wyda mu się wiecznością!

Ożywiony myślą powrotu, zawrócił się z drogi i biegł z początku co sił starczy. W miarę jednak zbliżania się do miasta, zwalniał kroku. Przychodziły refleksye.

Ucieknie, zostawi tu ją -- żonę swoją. Zostawi Julię swobodną, panią swej woli i kaprysu. Przyjdzie Miron i weźmie ją w objęcia. Czy odepchnie go wtedy — ona, córka pana Rigaud?... Nienawidzi jej, a jednak myśl ta przejęła go dreszczem zgrozy, aż zgrzytnął zębami. Nie wierzy jej. Przyjdzie Miron, albo kto inny, może pijany Bonecki i weźmie w obję-

cła żonę jego... Jakaś straszna klątwa ciąży nad kobietami rodu tego. Co Plewiński pisał do pani Rigaud?.. Co mu tak okropnie zwichnęło życie; co miała znaczyć ta zemsta?

Nienawidzi?

A jednak gdyby ktoś inny dotknął ust jej, białych ramion, liliowej cudnej szyi...

Ha, nie odbiegnie jej... nie zostawi bez stróża czujnego córki pana Rigaud... ha, ha, ha!..

Więc znowu życie z dnia na dzień, pospolity znój wyrobnika? Więc się usunie w cień zacisza domowego przy żonie, słynnej artystce?..

Szedł coraz wolniej, z głową zwieszoną... Kiedy wrócił do miasta, była już noc ciemna.

Na tle granatowego nieba zarysowała się czarna, fantastyczna sylweta kościoła Notre Dame. Na gzemsach, wyskokach murów, na szczytach kontrforsów siedziały potworne dziwolągi wyobraźni ludzkiej: dyabliki, smoki, gryfy... a tam wysoko z za wieży wysuwa obrzydły dziób Chimera.

Odwrócił oczy i wzrok jego padł na Morgę.

— Ponure schronienie trupów bez legitymacyi! Jakże tu strasznie, złowieszczo, tragicznie. A tam za górami, za lasami, maj pachnie, słowik śpiewa w Łazienkach... Ha, ha, ha, ale on ma adres, ma dom, ma żonę. Nie rzuci się w czarną toń rzeki, nie palnie sobie

w łeb, jak włóczęga, na ulicy... Pójdzie tam do siebie, do sypialni żony...

. . . .

Uchylił drzwi, nadstawił ucha: Cisza. Słychać tylko lekki, miarowy oddech śpiącej... I niewypowiedzianą radość sprawiała mu myśl, że wystrzałem spłoszy ten sen spokojny, przerazi straszliwie widokiem krwawego ciała na progu.

KONIEC.